Kiedy będziemy wolne

Szirin Ebadi

Moja walka o prawa człowieka

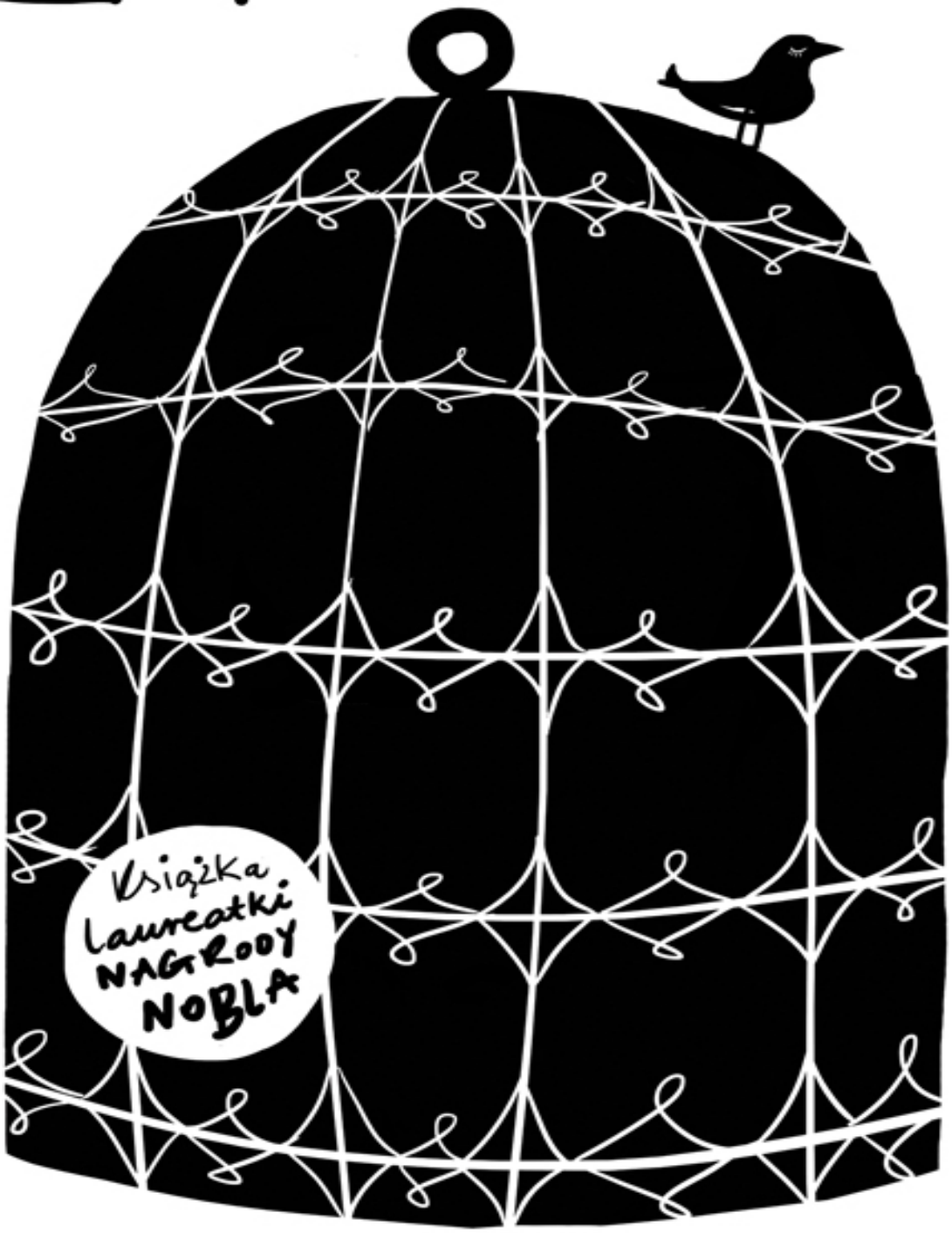

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Szirin Ebadi

Kiedy będziemy wolne
Moja walka o prawa człowieka

przekład Anna Maria Nowak

Wydawnictwo Znak Horyzont
Kraków 2017

A niebawem dowiedzą się ci,
którzy czynili niesprawiedliwość,
jakich przeciwności losu oni doznają!

Koran, XXVI, 227[1]

Toć wiadomo: nadziejami
karmi się wygnany człek.

Ajschylos, *Agamemnon*[2]

1 Koran, przeł. J. Bielawski, Warszawa 1986, s. 450.

2 Ajschylos, *Agamemnon*, przeł. S. Srebrny, w: *Antologia tragedii greckiej*, Kraków 1989, s. 139.

Książka
laureatki
NAGRODY
NOBLA

Prolog

LĘK O ŻYCIE

Nosiło mnie. Wieczór nie różnił się od innych – jedliśmy kolację u brata – ale odczuwałam dziwny, nieokreślony lęk. Przeszkadzała mi duchota, drażniło ostre światło, a dzieci wydawały się hałaśliwsze niż zwykle. Wyszłam na balkon odetchnąć. Niebo zasnuły chmury. Rozległ się grzmot i wreszcie na Teheran spadł upragniony deszcz, zmywając trujący smog. Oddychałam z trudem, choć przecież był kwiecień i wiatr powinien przepędzić już znad miasta zimowe, skażone powietrze. Niedawno jakiś urzędnik państwowy przyznał, że życie w tak zanieczyszczonym mieście należy porównać do „zbiorowego samobójstwa”.

Od tygodni ślęczałam nad raportem o wyrokach śmierci wykonywanych na dzieciach. Wszystkie inne państwa świata wycofały się z orzekania kary śmierci dla nieletnich, tymczasem Iran utrzymał ją za przestępstwa, takie jak morderstwo bądź nieumyślne zabójstwo w obronie własnej. W 2004 roku władze skazały 16-latkę na śmierć za seks przedmałżeński, czyli „zbrodnię przeciwko czystości”. Podobno sędzia wcielił się też w kata. Zaprowadził nastolatkę na szubienicę, przewiązał jej oczy i dał sygnał, by unieść ramię żurawia, na którym ją powieszono. Ciało dziewczyny wisiało jeszcze przez godzinę. Jej czarny czador powiewał na wietrze. Władze nie życzyły sobie, by sprawa nabrała rozgłosu – zwłaszcza w skali światowej – ale i ja, i moi koledzy usilnie zabiegaliśmy, by zwrócić uwagę na mechanizm tego zjawiska. Był to nasz bodaj najodważniejszy raport.

Wkrótce mieliśmy go przedstawić Organizacji Narodów Zjednoczonych, gdzie – nie było co do tego żadnych wątpliwości – Republika Islamska spotka się z potępieniem. Zapewne stąd ten niepokój, próbowałam sobie tłumaczyć. Wystarczy, że wrócę do domu i z herbatą w ręku siądę nad tekstem – przejrzę literówki, sprawdzę, czy nie wkradły się błędy rzeczowe – a natychmiast się uspokoję.

Postanowiłam wyjść wcześniej, więc pożegnałam się z bratem i jego rodziną. Na zewnątrz prawie nikogo nie było. Powietrze pachniało spalinami, gnijącymi liśćmi i deszczówką. Wsiadłam do samochodu. Ruszając, w świetle ulicznej latarni i strugach deszczu zauważyłam na budynku napis, który miał rozdrażnić Amerykę i Zachód: „Śmiało, nakładajcie sankcje. I tak sobie poradzimy”.

Jechałam przez opustoszałe miasto. Spokój zakłócał tylko plusk wody pod oponami. Skręciłam w swoją zaciszną, boczną uliczkę. Ludzie schronili się w domach przed ulewą, okolica wydawała się opuszczona bardziej niż zwykle. Mój mąż, Dżawad, jeszcze nie wrócił. Okna naszego domu były ciemne. Pomyślałam o raporcie czekającym na mnie na biurku, o koszmarnych obrazach dzieci wiszących na żurawiach. Niespokojnie obracałam w kieszeni klucze. Skupiona na omijaniu kałuż, co chwila z obawą zerkając przez ramię, kartkę zobaczyłam dopiero, kiedy wyrosła mi przed nosem. Wisiała przyczepiona do drzwi wejściowych. Biała kartka z wiadomością od kogoś, kto mnie obserwował:

> Jeśli dalej będziesz postępować tak jak teraz, będziemy zmuszeni pozbawić cię życia. Jeśli więc je cenisz, przestań oczerniać Republikę Islamską. Natychmiast skończ z rabanem, który podnosisz poza krajem. Zabić cię – to dla nas naprawdę banalnie proste.

1.
Zastraszanie

Historia Iranu jest zarazem historią mojego życia. Czasem zastanawiam się, skąd właściwie u mnie to przywiązanie do kraju. Dlaczego linia wzgórz Elburs widocznych z Teheranu budzi we mnie tę samą czułość co miękka linia policzka córki? Dlaczego poczucie obowiązku w stosunku do rodaków bierze górę nad wszystkim? Pamiętam, jak w latach 80. – w czasie wojny z Irakiem, kiedy z nieba spadał grad bomb, a policja moralna nowego jeszcze rządu islamskiego organizowała pierwsze patrole – u wielu moich przyjaciół i krewnych zniechęcenie wzięło górę i opuszczali kraj. Choć nie oceniałam ich decyzji, nie rozumiałam jej. Czyż można opuścić miasto, w którym przyszły na świat twoje dzieci? Czyż można porzucić ogród, w którym co roku sadziło się - drzewa, nie czekając, aż urodzą pierwsze granaty, orzechy i wonne jabłka?

Mnie nie mieściło się to w głowie. Kiedy weszłam do Sądu Najwyższego i nowe władze rewolucyjne oświadczyły, że kobieta nie może być już sędzią, zostałam. Zostałam, kiedy władze zdegradowały mnie do funkcji zwykłej urzędniczki w tym samym sądzie, któremu jeszcze niedawno przewodniczyłam. Zatykałam uszy, kiedy rewolucjoniści, którzy przejęli władzę nad sądownictwem, w mojej obecności powtarzali, jak płytkie i niezdecydowane są kobiety; jak nie nadają się do wymierzania sprawiedliwości, więc misja ta zostanie powierzona mężczyznom. Zostałam, kiedy irackie myśliwce bombardowały domy przy naszej ulicy, obracając je w ruinę. Zostałam, kiedy nowe władze obwieściły, że islam wymaga brutalnej sprawiedliwości; że w imię tej religii można wykonywać na dachach egzekucje na młodych mężczyznach i kobietach; że można wieszać ich za poglądy polityczne, a ciała wrzucać potem do zbiorowych grobów.

Tak jak nie potrafiłam opuścić Iranu, tak samo nie porzuciłam islamu. Gdybyśmy wszyscy spakowali się i wsiedli do samolotów, co zostałoby z naszej ojczyzny? Gdybyśmy pokornie schylili głowy i siedzieli w domach, pozwalając, by władza mówiła, że islam dopuszcza zabijanie pisarzy i wyroki śmierci na nastolatkach – co zostałoby z naszej wiary?

Na cienkiej przebitce, z której wtedy korzystało się, wysyłając listy pocztą lotniczą, pisałam długie listy do przyjaciół-emigrantów. Uspokajałam, że jakoś daje się przeżyć. W połowie lat 80. zrezygnowałam z pracy i wybrałam emigrację wewnętrzną, odcinając się od brutalnej polityki nowej władzy. Mimo nalotów i patroli moralności mąż i ja wychowywaliśmy swoje dwie córki, które – uczesane w kucyki – maszerowały do szkoły, gdzie uczyły się czytać. Co wieczór jedliśmy razem posiłek. Mąż, Dżawad, dalej pracował jako inżynier, ja zaś zajęłam się dziewczynkami, zastanawiając się, jaki nowy pomysł znaleźć na siebie, skoro sądownictwo stało się monopolem mężczyzn.

Na początku lat 90., kiedy wojna się skończyła, dzieci podrosły i już tak mnie nie potrzebowały. Przez jakiś czas próbowałam pracować w sądach rodzinnych, ale szybko zorientowałam się, że pod rządami Republiki Islamskiej działały one zupełnie inaczej niż za szacha. Choć kobiety mogły być adwokatami, nowy system i procedury całkowicie uniemożliwiały prowadzenie sprawy. Wielokrotnie nie mogłam nawet przejrzeć dokumentacji związanej z danym procesem. Kiedy urzędnik orientował się, że nie zamierzam wręczyć mu „napiwku” za przyniesienie akt (w krajach, gdzie kwitnie korupcja, lista eufemizmów na łapówkę jest doprawdy imponująca), oświadczał: „Przykro mi, gdzieś się zawieruszyły. Proszę wrócić jutro”. Następnego dnia oznajmiał: „Niestety, nie miałem kiedy poszukać”. Dopiero trzeciego, czwartego dnia docierało do niego, że się nie

poddam, i wreszcie dawał mi papiery. Tyle że ja, nie chcąc „posmarować”, traciłam dwie albo trzy dniówki.

W sądach było jeszcze gorzej. Tam wygrywał ten, kto więcej zapłacił. O sprawiedliwość się nie walczyło ani się nie spierało. Kupowało się ją. Na znak protestu w końcu wywiesiłam przed swoim gabinetem wielką tablicę: „W związku z obecnym wrogim nastawieniem sądów przestaję brać klientów. Mogę jedynie udzielać porad prawnych”. Nie uważałam tego wówczas za żaden śmiały gest ani manifestację. Po prostu szczerze przedstawiałam sytuację. Nie występowałam przeciwko państwu. Teraz już wiem – stopniowo zaczęłam to dostrzegać – jak potężną bronią może być pozbawiony agresji akt obywatelskiego nieposłuszeństwa. Z czasem zaczęły do mnie trafiać osoby, które nie było stać na adwokata. Często byli to ludzie oskarżeni o przestępstwa polityczne.

Po rewolucji 1979 roku sytuacja w prawie karnym wyglądała bardzo poważnie. Republika Islamska zlikwidowała cywilny kodeks prawny obowiązujący za rządów szacha i oparła wymiar sprawiedliwości na szariacie – zasadach prawnych ukształtowanych w VII wieku zgodnie z naukami islamu. Do dziś pamiętam sprawę, która w pełni uświadomiła mi, jak chory i okrutny jest to system.

Zadzwoniła do mnie moja przyjaciółka, Szahla Szerkat, czołowa irańska feministka, pisarka i redaktor naczelna, prosząc, bym udzieliła porady rodzinie 11-letniej Leili. Pewnego dnia, kiedy dziewczynka zrywała kwiaty na wzgórzach w pobliżu wioski, z ukrycia wyskoczyło na nią trzech mężczyzn i zaatakowało ją. Napastnicy zgwałcili ofiarę, wielokrotnie też zadawali jej ciosy w głowę, a wreszcie zabili, zrzucając z pobliskiej skały. - Zostali aresztowani przez miejscową policję. Jeden w tajemniczych okolicznościach powiesił się w celi. Pozostała dwójka stanęła przed sądem oskarżona o gwałt i morderstwo. Ponieważ obowiązujące wówczas prawo

wyżej ceniło życie mężczyzny skazanego za zabójstwo niż dziewczynki zgwałconej i zrzuconej do przepaści, jej rodzina miała zapłacić rekompensatę za egzekucję. A kiedy okazało się, że jej na to nie stać, winnych wypuszczono. Republika Islamska tłumaczyła, że islamiczne prawo wymaga odszkodowania za przelaną krew; moim zdaniem jednak wypaczono tu myśl, która przyświecała twórcom szariatu.

Rodzina Leili straciła wszystkie pieniądze, szukając sprawiedliwości w sądzie. Zdesperowana matka co dzień siadała przed budynkiem ubrana na biało. W ręku trzymała tablicę, na której opisała historię córki. Dokładniej przedstawiłam ją w swojej książce *Broniłam ofiar. Pamiętnik z Iranu*: przyjęłam sprawę, a choć nie udało mi się wywalczyć nawet minimalnej sprawiedliwości, koszmar tej rodziny pomógł mi wypracować linię obrony, którą potem wykorzystywałam w innych procesach. Choć sędzia zarzucał, że wypaczam religię, kontrowałam jego argumenty, opierając się na islamskim prawie i zasadach wiary. Wtedy również uświadomiłam sobie, jak słabo znają założenia islamskiego prawodawstwa sędziowie Republiki Islamskiej. Dotarło też do mnie, że Iranki nie mają pojęcia, jak bezczelnie są dyskryminowane przez wymiar sprawiedliwości. Dopiero kiedy życie doprowadzało je na rozdroże i zderzało z mroczną rzeczywistością: rozwód, śmierć dziecka, walka o spadek – uświadamiały sobie, jak niewiele znaczą przed sądem.

Starałam się nagłośnić sprawę Leili: pisałam artykuły, przy każdej okazji mówiłam o tym publicznie. Historia nie schodziła z łamów irańskiej prasy, wywołując powszechne oburzenie. W jednym z tekstów przypomniałam, że w świetle obecnego kodeksu mężczyźnie, który doznał uszczerbku na zdrowiu obejmującego uszkodzenie jąder, przysługuje odszkodowanie identyczne jak za śmierć kobiety. A zatem, argumentowałam, jeśli kobietę z doktoratem przejedzie samochód, jej życie

jest warte tyle samo, co jądra oprycha-analfabety, który wdał się w jakąś burdę. Czy naprawdę, pytałam, właśnie tak Republika Islamska postrzega kobiety?

Po raz pierwszy od rewolucji kwestia równości kobiet znalazła się w centrum uwagi. Zobaczyłam wtedy, jak bardzo irańskie społeczeństwo jest wyczulone na niesprawiedliwość i jaką moc ma powszechny wybuch niezadowolenia. Nic skuteczniej nie zmusza rządu, by zaczął się liczyć z głosem obywateli. Właśnie wtedy weszłam na ścieżkę, którą idę do dziś. Szukam sprawiedliwości, broniąc praw najsłabszych: kobiet, dzieci, dysydentów i mniejszości. W walce o zmianę prawodawstwa wykorzystuję siłę opinii publicznej.

Republika Islamska ma niezliczone słabości i wady. Sprawuje władzę absolutną za pośrednictwem przywódcy niewyłonionego w wyborach powszechnych. Prześladuje niezależnych duchownych, którzy ośmielają się podać w wątpliwość religijne korzenie jej surowych rządów; równocześnie prowadzi też politykę ideologicznego radykalizmu, sprzeczną z interesami narodu irańskiego. Jak każdemu reżimowi zależy jej przede wszystkim na utrzymaniu władzy, dlatego czasem reaguje na potępienie ze strony społeczności międzynarodowej i wrzenie własnych obywateli. System, który dziś obowiązuje, to owoc zmian dokonanych niechętnie w latach 90. i na początku XXI wieku. Uporczywa walka moja i moich kolegów o poszanowanie praw człowieka oraz aktywność środowisk kobiecych zmusiły Republikę Islamską do złagodzenia najokrutniejszych i najbardziej nieludzkich przepisów. Drążenie – innej drogi nie widzieliśmy. Alternatywą było spakowanie walizek i emigracja. W tamtym okresie kraj opuściło tysiące obywateli, ale zarówno ci, którzy wyjechali, jak i ci, którzy zostali, szczycili się, że noszą miano Irańczyków. Choć Iranem rządzili dyktatorzy, królowie, a teraz duchowni, nasza historia sięga korzeniami aż do Cyrusa II

Starszego, twórcy imperium perskiego, który na glinianym cylindrze kazał zapisać pierwsze w dziejach naszej cywilizacji prawa obywatelskie. Z tym etapem naszej historii się identyfikowałam; czułam się dziedziczką wielkiej perskiej poezji epickiej, której fragmenty czytałam córkom na dobranoc. Jak większość rodaków byłam ogromnie rozczarowana dzisiejszym Iranem – właśnie dlatego, że taką miłością i podziwem darzyłam jego przeszłość.

W październiku 2003 roku otrzymałam Pokojową Nagrodę Nobla za walkę na rzecz demokracji i w obronie praw człowieka. Mogłoby się wydawać, że to wsparło moje działania w Iranie i zapewniło niechętny szacunek władz, tymczasem naciski i kontrola tylko przybrały na sile. Irański rząd robił, co w jego mocy, by wieść o wyróżnieniu mnie się nie rozniosła. W rządowych mediach nie mogło pojawić się moje nazwisko ani wzmianka o nagrodzie. Kiedy dziennikarz spytał ajatollaha Mohammada Chatamiego, ówczesnego prezydenta i przedstawiciela skrzydła reformatorskiego, dlaczego mi nie pogratulował, ten odparł: „To nie jest ważna nagroda. Liczy się wyłącznie Nobel w literaturze”.

Iran jednak, jak to Iran, zawsze znajdzie sposób, by ominąć oficjalną cenzurę. Ważne wiadomości jakoś docierają do tych, do których powinny. Na uroczystość wręczenia Nagrody Nobla zaprosiłam kurdyjski zespół muzyczny, by uświetnił ceremonię. Irański reżim od lat dyskryminował kurdyjską mniejszość, nie pozwalając jej uczyć się we własnym języku ani podkreślać w życiu publicznym swojej tożsamości. Za pośrednictwem telewizji satelitarnej irańscy Kurdowie w całym kraju oglądali występ swoich ziomków i płakali z dumy. To był drobny, lecz symboliczny gest. Wśród irańskich Kurdów zaczęła nawet krążyć plotka, jakobym miała

kurdyjskie korzenie. Owszem, rząd ostentacyjnie ignorował moją Nagrodę Nobla – wyraz uznania dla wszystkich, którzy bronią praw obywateli i próbują w pokojowy sposób zmienić Iran od środka – ale na szczęście dożyliśmy czasów, gdy dzięki telewizji satelitarnej i mediom cyfrowym nie można już utrzymywać narodu w niewiedzy.

Moja nagroda nie umknęła też uwadze innych, zwłaszcza Iranek, które od lat zabiegały o równouprawnienie. W decyzji Komitetu Noblowskiego dostrzegały znak poparcia dla swoich zmagań; potwierdzenie, że świat widzi i docenia ich wysiłki. Zahra Rahnaward, rektor żeńskiego uniwersytetu noszącego imię córki Mahometa, poprosiła, żebym wystąpiła z wykładem na temat statusu prawnego kobiet. Rahnaward – pierwsza od rewolucji islamskiej kobieta-rektor uczelni wyższej – była cenionym naukowcem i aktywistką. Świat usłyszał o niej w 2009 roku, kiedy pojawiła się na pierwszych stronach gazet jako żona Mira Hosejna Musawiego, przywódcy opozycyjnego Zielonego Ruchu. Tamtego dnia, w 2003 roku, Rahnaward przywitała mnie przed wejściem do wysokiego budynku z żółtej cegły, w którym mieściła się aula. Wokół rozciągał się duży trawnik. Pod sykomorami siedziały młode dziewczęta pogrążone w lekturze. Przed aulą wiła się kolejka. Setki studentek chciało dostać się do środka, choć w pomieszczeniu pełnym rozgadanych kobiet nie dałoby się już wcisnąć szpilki. Rozmawiałyśmy, gdzie ustawić mój pulpit, kiedy drzwi w głębi gwałtownie się otworzyły i do środka wdarła się grupa może trzydziestu rozjuszonych kobiet w czarnych czadorach.

– Jeśli dziś przychodzicie na wykład Ebadi, jutro będziecie się domagać George’a Busha! – krzyczały, przepychając się w kierunku sceny, przed

którą stałam z Rahnaward. Od razu było widać, że to nie studentki, tylko bojowniczki nasłane przez władze. – Wykład jest odwołany!

Studentki z pierwszego rzędu wstały i otoczyły mnie, zasłaniając przed prowokatorkami. Rahnaward zaś ruszyła w ich stronę z wściekłością.

– Ten wykład odbywa się za wiedzą i zgodą władz uniwersytetu. Nie macie prawa go zakłócać – oświadczyła. – Natychmiast opuśćcie salę.

Z grupy wyskoczyła kobieta i chwyciła czador Rahnaward.

– Nie zasługujesz, żeby go nosić! – krzyczała, szarpiąc za chustę przyczepioną do abai.

Natychmiast przyłączyły się do niej pozostałe prowokatorki. Krąg moich obrończyń ze mną w środku zaczął dyskretnie przesuwać się w głąb auli.

– *Chanom* Ebadi – ponaglały. – Trzeba panią stąd wyciągnąć. Niech pani idzie z nami.

Odgrodziły mnie i Rahnaward od napastniczek i przesuwały się, popychając nas do wyjścia, a potem na długi korytarz. Stamtąd zaprowadziły nas do niedużej sali wykładowej i zamknęły drzwi, które zabarykadowały krzesłami i stolikami. Wkrótce usłyszałyśmy krzyki, tupot i wołanie:

– Tu są! Schowały się w tej sali!

Po chwili rozległ się łomot. Napastniczki waliły w drzwi, próbując je wyważyć. Rahnaward z komórki zadzwoniła po policję.

– Zmusiły mnie do czegoś, czego nigdy nie chciałam zrobić. Uważam, że nie wolno wpuszczać służb bezpieczeństwa na teren uniwersytetu, ale nie miałam wyjścia.

Zjawili się policjanci i siłą usunęli prowokatorki. My w tym czasie ustaliłyśmy, że najbezpieczniej będzie odwołać wykład. Podziękowałam pani rektor i jej współpracownicom za zaproszenie, a także za szybką

reakcję dziewcząt na atak. Pożegnałyśmy się serdecznie, po czym dwóch policjantów odeskortowało mnie z uczelni. Na tym sprawa się zakończyła. Nie doszło do aresztowań; nigdy też nie dowiedziałyśmy się, kto właściwie przysłał wichrzycielki. Rahnaward groziła dymisją, jeśli władze nie ustalą odpowiedzialnych za całe zajście i ich nie ukarzą. Te jednak pozostały głuche na jej apele. Po wygranej Ahmadinedżada pani rektor sama ustąpiła ze stanowiska lub została do tego zmuszona – tego do dziś nie wiem. Choć dyskusja na temat równouprawnienia kobiet w Iranie nigdy nie przebiegała łatwo, tamten incydent stanowił zapowiedź nowych metod zastraszania i prześladowania.

2.
Ślub

Choć mój Nobel rozdrażnił irańskie władze, pieniądze związane z nagrodą ogromnie się przydały. Kupiłam lokal, który stał się siedzibą Centrum Obrony Praw Człowieka. Organizację tę założyłam, by zjednoczyć irańskich prawników broniących więźniów politycznych oraz starających się upowszechnić wśród obywateli wiedzę o przysługujących im prawach i przywilejach. Ośrodek okazał się najskuteczniejszym narzędziem walki z prześladowaniami politycznymi. Pozwolił też uformować krąg obrońców, do których mogli zwracać się dysydenci i ofiary represji. Dzięki nagrodzie mogliśmy stawiać sobie znacznie ambitniejsze cele, realizować bardziej wymagające programy.

Część pieniędzy umieściłam na wysoko oprocentowanym rachunku w Iranie. Odsetki przeznaczałam na pomoc dla rodzin więźniów politycznych, które ogromnie potrzebowały wsparcia, zwłaszcza że najczęściej za kratkami lądował jedyny żywiciel. Odłożyłam też niewielką sumę na koncie we Francji, by w ten sposób sfinansować naukę córek. Kiedy w 1980 roku władze odebrały mi tytuł sędzi, przestałam zarabiać i nie mogłam oszczędzać na ich wykształcenie. Swoją działalność adwokacką, którą podjęłam w latach 90., broniąc dzieci i kobiet, prowadziłam zazwyczaj nieodpłatnie.

Jako adwokaci rezygnowaliśmy z honorarium przede wszystkim dlatego, że tak nakazywała zwykła przyzwoitość, to oczywiste. Ale przyświecał nam również inny cel: chcieliśmy zachęcić ludzi, by śmiało wyrażali swoje opinie. Zależało nam, by wiedzieli, że jeśli zostaną aresztowani na skutek działań w obronie demokracji albo za ostre wypowiedzi na temat praw człowieka lub w innych drażliwych kwestiach, będą mieli dostęp do prawników, którzy nie tylko mogą ich reprezentować

pro bono, ale także zaopiekują się ich rodzinami. Mieliśmy na przykład zespół psychiatrów i lekarzy oferujących darmowe leczenie krewnym naszych klientów.

Drugi kluczowy element naszej pracy stanowiły cokwartalne raporty. Kosztowały nas sporo wysiłku, bo poświęcaliśmy im wiele czasu i uwagi. Umieszczaliśmy w nich wyłącznie dobrze udokumentowane i sprawdzone przypadki naruszenia praw obywatelskich, takie jak bezpodstawne zatrzymania i nękanie działaczy. Były to pierwsze raporty publikowane w Iranie, przez irańską organizację. Szybko stały się podstawowym źródłem informacji dla ONZ oraz innych międzynarodowych instytucji broniących praw człowieka, co z kolei sprowokowało władze do jeszcze ostrzejszej i agresywniejszej kontroli działań ośrodka. Organizowaliśmy szkolenia dla tych, którym – ze względu na pochodzenie lub działalność – szczególnie groziły aresztowania: działaczy studenckich, przedstawicieli mniejszości wyznaniowych i etnicznych oraz dziennikarzy. Informowaliśmy ich, jakie prawa im przysługują w razie aresztowania, a także jak wykorzystywać procedury sądowe, by wywalczyć sobie przepustkę lub, przy dużym szczęściu, przedterminowe zwolnienie.

Zakładając Centrum, nawet nie marzyliśmy, że będziemy się z tego utrzymywać. Olbrzymim wysiłkiem zapewniliśmy podstawową infrastrukturę: znaleźliśmy lokum, zdobyliśmy kilka biurek i sprawnych telefonów. Zależało nam tylko, by stworzyć miejsce, dokąd ludzie będą przychodzić ze swoimi smutnymi, tragicznymi życiorysami. Teraz, dzięki pieniądzom z Nagrody Nobla, nasi prawnicy wreszcie zyskali lokal, gdzie mogli się spotykać i pracować.

Tego samego roku, gdy zdobyłam Nobla, na burmistrza Teheranu wybrano mało znanego polityka. Większość Irańczyków – ba!, większość mieszkańców stolicy – nigdy wcześniej nie słyszała o Mahmudzie Ahmadineżadzie, inżynierze budownictwa pochodzącym z niezamożnej rodziny robotniczej mieszkającej na południe od Teheranu. Tamte wybory samorządowe miały bodaj najniższą frekwencję w historii miasta. Do urn udało się zaledwie 12 procent mieszkańców; niemal wszyscy oni należeli do radykalnej, bardzo konserwatywnej mniejszości przywiązanej do rządu. Większość Irańczyków, rozczarowanych biernością prezydenta Mohammada Chatamiego, który nie przeprowadził obiecanych reform, nie wzięła udziału w wyborach. Bez umiarkowanej większości konserwatyści mieli otwartą drogę do zwycięstwa. Rada miasta złożona z twardogłowych tradycjonalistów powierzyła ster miasta Ahmadineżadowi.

To, co się wydarzyło później, zdumiało wszystkich. Szczególnie zaś Irańczyków takich jak ja, którzy – choć w życiu prywatnym przestrzegali zasad islamu – uważali, że religia powinna pozostać kwestią osobistą i nie wolno jej wykorzystywać do jakichś szaleńczych gestów politycznych. Otóż Ahmadineżad ogłosił, że męczennicy wojny irańsko-irackiej zasługują na dobitniejsze podkreślenie ich zasług oraz pamięci. Dlatego rozkazał, by znalezione niedawno szczątki poległych pochować w 72 miejskich parkach i placach. Tak oto Teheran – miasto mojej młodości i studenckich lat, po którego parkach chodziłam na romantyczne spacery ze swoim przyszłym mężem, na którego place zabaw prowadzałam swoje córeczki – miał się zmienić w chaotyczne cmentarzysko.

Najbardziej oburzeni byli młodzi. Zielone parki stanowiły jedno z nielicznych miejsc, gdzie można było swobodnie się spotykać. A jeśli wziąć pod uwagę surowe normy społeczne wprowadzone przez państwo: embargo na zachodnie filmy i muzykę, kontrolę Internetu oraz częste naloty

na kafejki, parki były wyjątkowo cenne. Mimo to Ahmadineżad nie zamierzał ustąpić. Wysyłał przykryte flagami trumny ze szczątkami poległych nawet na teherańskie uniwersytety, co doprowadziło do starć między wściekłymi studentami a policją i miejskimi przedsiębiorcami pogrzebowymi. Do największej konfrontacji doszło na elitarnym Uniwersytecie Technologicznym im. Szarifa, kuźni kadr amerykańskiego Uniwersytetu Stanforda i innych prestiżowych uczelni Zachodu. W Iranie, podobnie zresztą jak na całym świecie, uczelnie to miejsca, gdzie aż wrze od polityki. Studenci zdawali sobie sprawę, że pochówek jest przesłaniem skierowanym wprost do nich: swoboda intelektualna, edukacja i sam teren uniwersytetu stanowią własność rewolucji oraz jej męczenników.

Stopniowo Teheran zamieniał się w płótno, na którym Ahmadineżad malował swoją radykalną wizję państwa. Pewnego popołudnia, jadąc przez miasto, zauważyłam na ścianie budynku gigantyczny mural. Przedstawiał palestyńską bojowniczkę-samobójczynię, która w jednej ręce trzymała karabin, a drugą tuliła do siebie synka. Najwyraźniej państwo tylko w tej sferze opowiadało się za prawdziwą równością płci. W budynkach rządowych bowiem Ahmadineżad polecił wydzielić windy dla mężczyzn i kobiet. Masowo zwalniał też podległych sobie urzędników, którzy okazali się za mało religijni lub za słabo oddani ideologii.

Oczywiście Teheran zmieniał się już od zwycięstwa rewolucji w 1979 roku. Jednak sposób, w jaki Ahmadineżad przekształcał miasto, by odpowiadało jego ekstremistycznym poglądom, napełniał mnie smutkiem. Doskonale pamiętałam kosmopolityczną stolicę z lat 70.; z czasów moich randek z Dżawadem. Szykowne restauracje, wypieszczone ogrody może i odzwierciedlały nierówności społeczne, ale zarazem symbolizowały dążenia większości teherańczyków: ich marzenia o wygodnym, cywilizowanym życiu. Dżawad też z niepokojem obserwował to, co działo

się teraz w mieście. Jako inżynier nadzorował liczne inwestycje budowlane. Jego największym marzeniem i ambicją było postawić nowoczesne miasto z jasnymi, przestronnymi szpitalami i masztami radiowymi.

Dżawada poznałam w 1974 roku u przyjaciół rodziny. Miałam wtedy 27 lat. Kilka tygodni później ubrany w biały garnitur wkroczył do mojej sali rozpraw pod pozorem szukania rady w jakiejś niejasnej kwestii prawnej. Był inżynierem elektrykiem. Jego zawód nie wymagał szczegółowej znajomości prawa karnego, ale zależało mu, byśmy lepiej się poznali.

Spodobała mi się jego postawa. W tamtych czasach wciąż często się zdarzało, że rodzice sami wybierali dzieciom partnerów. Moi jednak byli postępowi i niczego mi nie narzucali; pozwalali, bym sama o sobie decydowała. Już na początku znajomości, w czasie wieczorów spędzanych wspólnie w teherańskich restauracjach, widziałam, że Dżawadowi nie przeszkadza moja niezależność. Więcej, podoba mu się moja buńczuczna, niepokorna natura. To dużo dla mnie znaczyło, ponieważ niewielu Irańczyków potrafiło zaakceptować, że kobieta może realizować się zawodowo. W latach 70. sporo Iranek z zamożnej, wykształconej klasy średniej pracowało zawodowo, ale podejście do roli kobiety w życiu rodzinnym właściwie się nie zmieniło. Tymczasem Dżawad uważał za całkowicie naturalne, że pracuję jako sędzia. Cenił moją niezależność. Mnie zaś pociągała jego wiara w siebie. Pobraliśmy się pewnego wiosennego dnia. Jednym ze świadków był naczelny prokurator. Do ślubu szłam z bukietem białych róż.

Nasze małżeństwo wytrzymało liczne próby, na jakie zostało wystawione. Dżawad niezachwianie mnie wspierał. Zarówno wtedy gdy pozbawiono mnie tytułu sędziowskiego, jak i na początku lat 90., kiedy podejmowałam się obrony pokrzywdzonych. Łączyły nas dwie córeczki, które wspólnie wychowywaliśmy, i dom z niewielkim ogrodem – nasz azyl;

mieliśmy też obowiązki wobec swoich rodziców i rodzeństwa. A choć dzieliły nas zainteresowania – Dżawad lubił sport i grę na tradycyjnych perskich instrumentach muzycznych, podczas gdy ja nocami przesiadywałam do późna nad dokumentami i chodziłam na górskie wyprawy z przyjaciółmi-poetami – nasz związek przetrwał, nawet kiedy córki już dorosły. Stało się tak zapewne dlatego, że opierał się na solidarności, którą oboje ceniliśmy, a także na skarbcu pełnym wspólnych trosk, doświadczeń i żartów zrozumiałych tylko dla nas.

W latach 90., gdy moja działalność na rzecz kobiet i dzieci zyskała ogólnokrajowy rozgłos, władze zaczęły bacznie mnie obserwować. Raz, kiedy nasza linia telefoniczna w biurze szwankowała, monter zajrzał do gniazdka w ścianie i zobaczył podsłuch: dwie pluskwy wielkości baterii do zegarka przyczepione do przewodów. Usunął je szczypcami i trzymał w powietrzu, przypatrując się z niedowierzaniem.

– Mam przejrzeć pozostałe gniazdka, *chanom*? – spytał.

– Nie, nie trzeba – odparłam. – Niech sobie słuchają.

Nie przeszkadzało mi, że władza podsłuchuje moje rozmowy służbowe. Nie miałam nic do ukrycia. Jeszcze zanim monter pokazał mi pluskwy, wiedziałam, że jesteśmy na podsłuchu. Kiedy w 2000 roku spędziłam trzy tygodnie w celi, przesłuchujący bezwstydnie odwoływali się do moich prywatnych spraw: kontaktów z przyjaciółmi i szczegółów koleżeńskich sprzeczek, które mogli poznać wyłącznie dzięki podsłuchowi. Po otrzymaniu Nobla nadzór się wzmógł. Państwo, rzekomo w trosce o moje bezpieczeństwo, przydzieliło mi dwóch ochroniarzy, którzy nie odstępowali mnie na krok. Formalnie mieli mnie chronić, ale wiedziałam, że tak naprawdę chodziło o to, by znać każdy mój ruch; wiedzieć, z kim się spotykam i z kim rozmawiam. Kiedy szłam z Dżawadem do restauracji, moi strażnicy też się tam udawali i siadali przy pobliskim stoliku.

Nadzór sprawiał, że coraz częściej zostawaliśmy w domu. Wieczorem szykowaliśmy sałatkę, siadaliśmy przy stole z laminatu i rozmawialiśmy o najnowszym zleceniu Dżawada – budowie szpitala Milad, największego w mieście – i o moich procesach. Zaraz po przyjściu do domu zdejmowałam z głowy chustę, a potem wyjmowałam z komórki baterię. Telefony komórkowe – nawet po wyłączeniu – mogą służyć do podsłuchu. Jak większość irańskich rodzin mieszkaliśmy w jednym budynku z krewnymi. Ilekroć odwiedzałam mamę, która zajmowała mieszkanie pod nami – a wpadałam do niej niemal co wieczór po kolacji – zastanawiałam się, czy tu też umieścili pluskwy, żeby poznać każdy ruch i zdanie 70-letniej kobiety.

Najgorsza była świadomość, że ktoś słucha wszystkich moich rozmów z dziećmi. Starsza córka, Negar, przygotowywała się do magisterki w Montrealu, na Uniwersytecie McGilla. Codziennie się z nią kontaktowałam. Którejś nocy, niedługo po Nagrodzie Nobla, telefon zadzwonił o trzeciej. Chwyciłam go spanikowana, strącając zegarek i budząc Dżawada. Z dudniącym sercem wcisnęłam guzik z zieloną słuchawką. Co mogło się stać? Nie opuszczał mnie wtedy podskórny lęk o męża i córki, bo zdawałam sobie sprawę, że rząd bez wahania wykorzysta ich przeciwko mnie. Wiedziałam o tym od owego pamiętnego dnia w 1999 roku, kiedy przygotowując się do obrony rodziny pary zamordowanych dysydentów, przeglądałam akta rządowe i zobaczyłam swoje nazwisko na liście osób przeznaczonych do likwidacji. To była bodaj najbardziej przerażająca chwila w moim życiu, ale potem nieraz dziękowałam Bogu, że dał mi zobaczyć tę listę. Wtedy zrozumiałam, z jak bezwzględnym wrogiem się mierzę; jakiej czujności i hartu ducha może wymagać dalsza walka.

– Co się stało? – spytałam bez powitania.

– Nic! To znaczy... Przepraszam, że tak późno dzwonię, ale dziś oświadczył mi się Behnud i tobie pierwszej chciałam powiedzieć.

Opadłam na poduszkę i głęboko odetchnęłam, ruchem ręki pokazując Dżawadowi, że to nic niepokojącego. Behnud był młodym Irańczykiem. Poznałam go w Kanadzie, kiedy odwiedzałam Negar. Wiedziałam, że się lubią, ale Behnud wyjechał do Stanów Zjednoczonych robić doktorat na Georgia Tech.

– Przecież Behnud mieszka w Georgii – zdziwiłam się.

Jak przystało na niecierpliwych młodych, zakochani już wszystko sobie zaplanowali. Negar skontaktowała się z uczelnią, gdzie poinformowano ją, że może liczyć na finansowanie dalszych badań naukowych. Próbowałam ją wspierać i udawałam zapał, ale jej plany budziły we mnie niepokój. A jeśli jej nie przyjmą? A jeśli nie dostanie stypendium? Co wtedy wybierze? Czy zrezygnuje z miłości? Albo rzuci studia i przeniesie się do Georgii, licząc, że z czasem przyjmą ją na studia? Pożegnałyśmy się, zgasiłam światło i zakopałam się pod kołdrą, zostawiając rozwiązanie tych problemów Bogu. Na szczęście dość szybko dostaliśmy wiadomość, że Negar przyjęto na Georgia Tech i wkrótce przeniesie się do Stanów, gdzie ona i Behnud zaczną wspólne życie.

Pojawiła się tylko jedna drobna komplikacja. Musieli pobrać się jak najszybciej, ponieważ Negar będzie wjeżdżać do Stanów z wizą studencką – a w tamtym okresie amerykański rząd przyznawał irańskim studentom wizę bez prawa wielokrotnego przekraczania granicy. Oznaczało to, że tysiące Irańczyków, którzy co roku przyjeżdżali do Ameryki na studia magisterskie lub podyplomowe, nie miało wyboru: do zakończenia edukacji byli uziemieni, nie mogąc odwiedzić rodziny w ojczyźnie. Lata wrogości między Iranem a Stanami Zjednoczonymi nie zgasiły zapału młodych Irańczyków, którzy wciąż chcieli studiować w Ameryce. Płacili za to jednak

wysoką cenę. Tak już jest z polityką: na kłótniach rządów najbardziej cierpią zwykli obywatele. Ani Negar, ani Behnud w ogóle nie brali pod uwagę ślubu w Stanach Zjednoczonych, ponieważ rodzina pana młodego nie dostałaby wizy i nie mogłaby uczestniczyć w uroczystości.

Na początku lata Negar wróciła do Teheranu. Ślub odbył się w dużym sadzie na obrzeżach stolicy, bo tylko tam można było zorganizować mieszaną imprezę. Większość stołecznych par pobierała się w domu albo wynajmowała ogrody specjalnie urządzone na tę okoliczność – łącznie z altanką dla państwa młodych, stołami i pełną zastawą. W świetle prawa hotele ani restauracje nie mogły organizować przyjęć, na których kobiety i mężczyźni bawiliby się razem. Wyjątków nie robiono nawet dla wesel. Często władze organizowały naloty na imprezy organizowane w prywatnych mieszkaniach, wlepiając grzywny, aresztując gości albo domagając się łapówki.

W czasie wesela na chwilę zaszyłam się w mroku, by z daleka popatrzeć na córkę. Wkrótce podszedł do mnie Dżawad. Uśmiechał się czule. Staliśmy tak razem, rozkoszując się ciepłem wieczoru. Muzyka na moment ucichła, słychać było dzwonienie cykad. Między nami przebiegła niewypowiedziana myśl: *A jednak wszystko dobrze się skończyło.*

Z sercem pełnym wdzięczności prosiłam Boga, by dalej strzegł nas przed tymi, którzy chcą nam zaszkodzić.

3.

Człowiek,
który chciał kupić wirówkę

W większości irańskich miast znajduje się co najmniej jeden sklep oferujący protezy nóg. Bierze się to stąd, że plasujemy się na drugim miejscu na świecie pod względem liczby min przeciwpiechotnych. Nasz kraj jest nimi dosłownie naszpikowany. Szacuje się, że po wojnie z Irakiem zostało ich w ziemi 16 milionów. Każda tylko czeka, by eksplodować pod ciężarem Bogu ducha winnego rolnika albo dziecka. Rząd nie zrobił prawie nic, by rozwiązać ten problem. Swoje zaniedbania tuszuje, cenzurując w mediach informacje o zgonach i okaleczeniach na skutek wybuchu. W rezultacie większość Irańczyków żyjących poza zagrożonymi terytoriami nie ma pojęcia, że ich własny kraj szykuje na nich takie pułapki.

Założyłam więc Stowarzyszenie Współpracy na rzecz Usuwania Min, pierwszą taką organizację pozarządową w Iranie. Zależało mi przede wszystkim, by miny stały się tematem codziennych rozmów. Wiedziałam z doświadczenia, że kiedy jakaś poboczna sprawa urasta do rangi ogólnokrajowego problemu, ludzie zaczynają poruszać tę kwestię w codziennych rozmowach, a wtedy pojawiają się też rozwiązania; poza tym wzrasta presja na rząd, by podjął konkretne działania. Władze podeszłyby wówczas poważniej do tej kwestii, może nawet podpisały traktat ottawski nakładający na kraje członkowskie zakaz produkcji oraz stosowania min przeciwpiechotnych. Drugim naszym celem była pomoc finansowa dla rannych i poszkodowanych, ponieważ ofiarą min często padają najubożsi, dla których sam koszt protezy to ciężar nie do udźwignięcia, nie wspominając już o utracie zdolności do pracy. Kwestia min przeciwpiechotnych coraz mocniej przebijała się do świadomości społecznej. Z marginalnego zagadnienia urosła do problemu, który nie

dawał obywatelom spokoju. Liczyłam, że dzięki temu rząd bardziej zdecydowanie zajmie się usuwaniem śmiertelnych pułapek.

Pewnego pochmurnego południa w lutym 2004 roku do mojej prywatnej kancelarii adwokackiej mieszczącej się na parterze naszego bloku zgłosił się jakiś mężczyzna w średnim wieku. Przedstawił się jako urzędnik rządowy. Towarzyszył mu inny mężczyzna, który był ponoć jego amerykańskim współpracownikiem, wykładowcą Uniwersytetu Stanforda. Poczęstowałam gości herbatą i ciastkami z rodzynkami. Urzędnik zaczął szczegółowo wyjaśniać, jak bardzo władzom zależy na rozwiązaniu problemu min przeciwpiechotnych. Niestety, i tu się zasmucił, piętrzyły się przed nimi problemy. Chodziło o nowoczesny sprzęt do usuwania min. Najskuteczniejsze, najbardziej zaawansowane technologiczne urządzenia, tłumaczył, podpadały pod kategorię towaru „o podwójnym zastosowaniu". Oznaczało to, że hipotetycznie Iran mógłby wykorzystywać je również do celów wojskowych, a zatem – w związku z międzynarodowymi sankcjami – uniemożliwiało to ich import. Urzędnik wielokrotnie podkreślał, że właśnie stąd wynikają trudności rządu z usuwaniem min.

Słuchałam cierpliwie, wtulona w kwiecistą tapicerkę beżowego fotela. Zastanawiałam się, dokąd prowadzi ten przydługi wstęp. Mężczyzna zapewnił, że ma wieloletnie doświadczenie w usuwaniu min i osobiście zaprojektował narzędzie, które pozwoli skutecznie wykrywać je na pustynnych terenach zachodnich prowincji kraju.

– Sęk w tym, że w jeden z kluczowych elementów musiałbym się zaopatrzyć za granicą, a żaden producent nie chce mi go sprzedać – skarżył się. – Nie ufają rządowi. Boją się, że wykorzysta go do innych celów.

Amerykanin, tłumaczył dalej urzędnik, miał pomóc w produkcji wykrywacza min. Niestety, nie znał perskiego. Siedział jak manekin, beznamiętnie przysłuchując się naszej rozmowie.

– Gdyby to pani, *chanom* Ebadi, zechciała złożyć zamówienie na tę część, oczywiście pokryłbym wszelkie koszty – zapewnił mój gość.

– Dlaczego właściwie nie chcą panu sprzedać tej części? – spytałam.

– Cóż, jest też wykorzystywana do produkcji wirówek.

Wtedy jeszcze irański program nuklearny i wszelkie towarzyszące mu problemy techniczne nie stanowiły elementu codziennej debaty medialnej, więc hasło „wirówka” nie uruchomiło we mnie sygnału alarmowego.

– Wirówki mają również zastosowanie militarne, a przez te diabelne amerykańskie sankcje nie możemy kupić tego, co nam potrzebne. Gdybyśmy kupili tę część, Iran mógłby produkować swoje własne, skuteczne wykrywacze min.

Amerykanin usiadł wygodniej, przesuwając długie nogi. Niczym nie zasygnalizował, że rozumie, co jego towarzysz mówi o roli, jaką jego ojczyzna odegrała w problemach Iranu z rozminowywaniem.

Mężczyźni pożegnali się i poszli do taksówki, która czekała przed budynkiem. Zostałam sama w gabinecie. W ręku ściskałam jakiś świstek. Z góry dobiegały przyciszone odgłosy radia. Ogarnął mnie niepokój tak silny, że aż ścisnęło mnie w żołądku. Założyłam tę organizację pozarządową, żeby dzieci mogły bawić się na polu bez obawy, że wylecą w powietrze. Ta sprawa budziła we mnie bardzo silne uczucia. Nie mogłam się pogodzić z tak bezsensownymi zgonami i okaleczeniami, których w dodatku łatwo można było uniknąć. I oto wreszcie, wydawać by się mogło, pojawiła się szansa, by zrobić w tej sprawie coś konkretnego. A jednak coś mi nie pasowało w moich gościach: w milczącym, wysokim Amerykaninie ze Stanforda ani w urzędniku, który tak gwałtownie potrzebował owej części do wykrywacza.

Tydzień później uczestniczyłam w Paryżu w seminarium. Tam rozmawiałam ze starym znajomym, doktorem Karimem Lahidżim, który

później stanął na czele Międzynarodowej Federacji Praw Człowieka (FIDH), o mężczyznach i ich prośbie. Poradził, żebym nie dała się wciągnąć w takie układy, a jedynie skupiła się na udzielaniu pomocy nieszczęsnym ofiarom min. Rada wydawała się rozsądna. Zwłaszcza że nie posiadałam żadnej wiedzy technicznej w tej dziedzinie. Zresztą nie miałam nawet pojęcia, jak zabrać się do poszukiwania i kupna – do tego w ilościach hurtowych! – jakiejś tajemniczej części pasującej również do wirówki.

Po moim powrocie do Teheranu urzędnik zadzwonił, chcąc umówić się na kolejne spotkanie. Wyjaśniłam, że szukanie sprzedawcy rzeczonej części jest dla mnie po prostu zbyt skomplikowane. Więcej się już nie odezwał. Po co wciągnęli w to Amerykanina? Co to był za człowiek? Tego już nigdy się nie dowiem. Może należało wykazać się wtedy większym sprytem, ale dopiero po kilku latach – kiedy irański program jądrowy stał się przedmiotem międzynarodowej dyskusji, a Zachód na każdym kroku wyrażał zaniepokojenie z powodu posiadania przez Iran wirówek do wzbogacania uranu – dotarło do mnie, że owi tajemniczy mężczyźni mogli pracować w wywiadzie. Chcieli wykorzystać mój międzynarodowy status, by przeprowadzić szemraną transakcję zakupu zakazanych części, w które sami nie mogli zaopatrzyć się na Zachodzie. Czy zastawiali na mnie pułapkę? A może faktycznie liczyli, że uda się mnie wykorzystać i za moim pośrednictwem kupić część, której nie mogli zdobyć? Choć pochlebiam sobie, że po latach ciągłego nadzoru oraz szykanowania nauczyłam się czujności, a w podejrzanych splotach okoliczności i dziwacznych sytuacjach potrafię dostrzec rękę irańskiego wywiadu, który próbuje mnie podejść – przyznam, że tym razem omal nie dałam się złapać. Historia z „wykrywaczami min” uświadomiła mi, że choćbym miała się na baczności, Republika Islamska zawsze znajdzie najmniej spodziewany chwyt, żeby mnie podejść i wykorzystać. A to była dopiero przygrywka.

Choć przez walkę z minami przeciwpiechotnymi naraziłam się rządowi, dzięki tej inicjatywie otworzyły się przede mną zdumiewające możliwości. Kiedy Jody Williams, która w 1997 roku otrzymała Pokojową Nagrodę Nobla za swoje działania wymierzone w rozwiązanie problemu min, zorientowała się, że ja również zajmuję się tą kwestią, w 2004 roku zaprosiła mnie do Nairobi na konferencję Międzynarodowej Kampanii na rzecz Walki z Minami Przeciwpiechotnymi (ICBL). Wystąpiłam z referatem na ten temat, a także zapoznałam uczestników z sytuacją w Iranie. Inną prelegentką okazała się Wangari Maathai, Kenijka, która rok po mnie, w 2004 dostała Pokojową Nagrodę Nobla za działalność na rzecz ochrony środowiska, m.in. za swoją walkę z wycinką drzew w Afryce.

Tak oto, zupełnie przypadkowo, trzy noblistki znalazły się w tym samym czasie w tym samym miejscu. Zaproponowałam Jody i Wangari, żebyśmy połączyły siły i założyły instytut, gdzie jako laureatki Nagrody Nobla koordynowałybyśmy wysiłki na rzecz poprawy sytuacji kobiet na całym świecie. Obie z radością przyjęły mój pomysł i wystąpiłyśmy w trójkę przed dziennikarzami, unosząc w górę połączone dłonie. Pozostałe żyjące noblistki – z wyjątkiem Aung San Suu Kyi, która wtedy przebywała w areszcie domowym – entuzjastycznie podeszły do tego projektu i w 2006 roku formalnie rozpoczęła działalność Inicjatywa Noblistek. Byłam dumna, że należę do tej wspaniałej kobiecej społeczności, bez której – jak się później okazało – nie mogłabym kontynuować swojej działalności w Iranie.

Pewnego popołudnia wiosną 2005 roku jechałam do więzienia w Ewin odwiedzić klienta. Miasto i więzienie znajdują się u podnóża gór Elburs. Jasno świecące słońce podkreślało kontrast nieskazitelnie białych zboczy z burą breją, w którą zamieniły się ulice. Samochód skręcił w drogę prowadzącą do więzienia. Mijając betonowe, przysadziste budynki i biały z pustaków – niegdyś hotel sieci Hilton – starałam się odepchnąć od siebie wyblakłe wspomnienia więzienia w Ewin. W 2000 roku spędziłam tam trzy tygodnie, kiedy sąd oskarżył mnie o rozpowszechnianie dowodów udziału władz w ataku na studentów rok wcześniej. Jadąc, przypominałam sobie, jak po wyjściu na wolność wróciło jąkanie: koszmar, z którym zmagałam się od dzieciństwa, a który z wielkim trudem i dzięki wsparciu psychologa zdołałam pokonać jako nastolatka. Przez kilka tygodni uczęszczałam na terapię i robiłam ćwiczenia, dzięki czemu znów udało mi się z nim wygrać, ale nigdy nie opuści mnie wspomnienie wstrząsu, jaki przeżyłam, kiedy dawna ułomność ponownie dała o sobie znać.

Podchodząc do wejścia, próbowałam się skupić na swoich klientach. Wobec większości już nie toczyło się żadne postępowanie, ale – podobnie jak wielu prawników zaangażowanych w walkę o prawa człowieka – nadal zaglądałam do nich raz albo dwa razy w miesiącu, żeby podtrzymać ich na duchu, sprawdzić, jak sobie radzą, a czasem przekazać wiadomość od krewnych albo rodziny. Upór, z jakim odwiedzałam więźniów, najwyraźniej drażnił władzę. Zaledwie dwa tygodnie wcześniej otrzymałam wezwanie przed Trybunał Rewolucyjny. W piśmie nie podano, jakie zarzuty zamierza mi postawić – jeśli w ogóle jakieś ma. Ponieważ to wbrew irańskiemu kodeksowi karnemu, nie zareagowałam na rozkaz. Potem nie wydarzyło się nic szczególnego. Rzecznik prasowy wymiaru sprawiedliwości oświadczył dziennikarzom, że Trybunał Rewolucyjny rozesłał wezwania przez

pomyłkę, a wszystkim zajmie się sąd powszechny. Więcej o sprawie nie słyszałam.

Tamtego dnia, siedząc w poczekalni więzienia w Ewin, zauważyłam czającego się w korytarzu drobnego, żylastego mężczyznę o płonącym wzroku: Akbara Gandżiego, znanego dziennikarza-reformatora, skazanego za artykuły, w których obnażył udział państwa w serii zabójstw. Podobnie jak wielu zwolenników reform wywodził się z samego jądra systemu. Ten dawny Strażnik Rewolucji w niepojęty sposób przeszedł przemianę w irańskiego Boba Woodwarda, dziennikarza, który przyczynił się do ujawnienia afery Watergate. W 2000 roku władze aresztowały Akbara, zarzucając mu, jakoby pogwałcił prawo prasowe i naraził bezpieczeństwo kraju. Został skazany na dziesięć lat więzienia. Teraz, zapomniany przez wszystkich, wyglądał, jakby nie spodziewał się żadnych gości. Już wcześniej zwróciłam na niego uwagę, kiedy raz czy dwa siedział bez ruchu w poczekalni.

– Spędził pan w więzieniu cztery i pół roku – zagadałam. – Jak to możliwe, że nikt do pana nie wpada? Gdzie pański adwokat?

– Kiedy ostatnio się widzieliśmy, adwokat nawet się ze mną nie przywitał.

– Chce pan, żebyśmy zajęli się pańską sprawą? Zawsze moglibyśmy chociaż spróbować ponownej apelacji.

Oczy mu błysnęły. Przysunął się do mnie.

Otworzyłam aktówkę, napisałam na miejscu pełnomocnictwo. Gandżi podpisał je i zajęliśmy się jego sprawą.

Po tym, jak zostałam jego prawniczką, odwiedziłam go trzy, może cztery razy. Pewnego popołudnia, kiedy przywiozłam mu książkę, powiedział, że zamierza rozpocząć strajk głodowy. Gdy powiadomił o tej decyzji władze więzienia, te zabroniły mi spotkań z Akbarem.

Jego strajk wzbudził uwagę na świecie, co doprowadziło do furii ówczesnego irańskiego prokuratora generalnego Saida Mortazawiego. W świadomości rodaków Mortazawi utrwalił się jako ten, który z bezwzględnym okrucieństwem i niemal sadystyczną rozkoszą karał dysydentów i swoich krytyków. Powszechnie uważa się, że to on w 2003 roku zorganizował w więzieniu napaść na irańsko-kanadyjską fotoreporterkę Zahrę Kazemi, która potem zmarła na skutek obrażeń. Większość dziennikarzy i polityków, którzy trafili przed sąd za jego rządów, opowiada o jego okrutnych, podłych, a często wręcz idiotycznych wystąpieniach na rozprawach. Chyba dość śmiało można zaryzykować tezę, że nie przepadał za mną jako prawniczką.

Kilka dni po tym, jak Gandżi rozpoczął strajk głodowy, Mortazawi publicznie oświadczył dziennikarzom, że w świetle irańskiego prawa jest to nielegalne, dlatego za karę więzień zostaje pozbawiony przywilejów, takich jak rozmowy telefoniczne i wizyty. Oczywiście było to jawne kłamstwo. Przy najbliższej okazji, spytana o tę sprawę, przywołałam historię ulicy Bobby’ego Sandsa. W 1981 roku nowe islamskie władze przechrzciły bulwar Churchilla, przy którym znajdowała się ambasada brytyjska, na ulicę Bobby’ego Sandsa. Ten bojownik IRA, który prowadził strajk głodowy, został wtedy okrzyknięty przez rewolucjonistów „wojownikiem o wolność”.

– Dlaczego władze wybrały Bobby’ego Sandsa na patrona jednej z największych arterii Teheranu? – pytałam. – Jak to możliwe, że strajk głodowy poza krajem jest postrzegany jako bohaterski i heroiczny wyczyn, a w samym Iranie okazuje się nielegalny?

Po tym wystąpieniu sędzia Mortazawi wpadł w furię. Oskarżył mnie o rozpowszechnianie kłamstw, po czym zakazał mi opuszczania Teheranu.

Następnie całkowicie zmienił front, tłumacząc, że Gandżi w ogóle nie prowadzi strajku głodowego i że to wszystko wyłącznie twór mojej wyobraźni, a Gandżi odsiaduje wyrok najedzony i zadowolony z życia.

– W takim razie proszę tego dowieść – odparowałam. – Proszę pozwolić mi go odwiedzić, żebym przekonała się o tym na własne oczy.

Naturalnie władze nie wyraziły na to zgody, ale sprzyjający naszej sprawie pracownik więzienia sfotografował wychudzonego i wycieńczonego Akbara na łóżku szpitalnym. Zdjęcie natychmiast obiegło świat. Przedstawiało Gandżiego z głową na fioletowej poduszce. Ramię miał chudziutkie jak u dziecka, skórę wiotką i pomarszczoną. Robiłam, co mogłam – jak zawsze gdy niemożliwe było sięgnięcie po środki prawne. Udzielałam wywiadów, rozpoczęłam intensywną kampanię medialną, żeby sprowokować świat do reakcji. Kiedy wreszcie do więźnia dopuszczono jego żonę, mówiła, że wyglądał jak trup, który czasem się poruszał.

Wyniszczony, ledwo żywy Gandżi na szpitalnym łóżku stanowił coś więcej niż obraz jednego człowieka gotowego oddać życie za zmiany. Dla mnie symbolizował miliony Irańczyków zdesperowanych tym, co dzieje się w kraju. Oto co przyniosło osiem lat rządów Mohammada Chatamiego, prezydenta, który doszedł do władzy, obiecując reformy. U szczytu okresu reformistycznego, kiedy Irańczycy wciąż wierzyli, że system można zmienić pokojowo od wewnątrz, Gandżi żarliwie wspierał te wysiłki. Zachowało się jego zdjęcie: stoi na kładce dla pieszych nad placem Hafte Tir, niedaleko budynku redakcji, w którym rozpoczął swoje śledztwo dziennikarskie. Uśmiecha się szeroko, w oczach widać figlarny błysk. Teraz, w 2005 roku, z Gandżiego został tylko cień człowieka. Gazetę zlikwidowano, nie mogłam nawet go odwiedzać, a kadencja Chatamiego dobiegała końca. Wielu moich rozmówców zastanawiało się, po co w ogóle

głosować w zbliżających się wyborach prezydenckich, skoro najwyraźniej nic się nie zmieni.

4.
Nocny gość

W przeddzień wyborów prezydenckich 2005 roku w zlewie pełnym wody spokojnie płukałam natkę pietruszki i kolendrę. Na kolację miało być ulubione danie mojej młodszej córki Nargess. Telefon dzwonił co rusz. Już cztery razy odrywałam się od zlewu, wycierałam ręce i odbierałam. Tym razem jednak zignorowałam dźwięk. Dziennikarze z całego świata wypytywali, na kogo jutro zagłosuję i kto, moim zdaniem, wygra.

– Nie głosuję na żadnego kandydata – powtarzałam do znudzenia.

Wtedy natychmiast padało pytanie, czy to forma bojkotu – dziennikarze zawsze chętnie szufladkowali, przypisując każdemu najprostszą motywację – na co cierpliwie przedstawiałam swoje stanowisko. Żaden z dwójki umiarkowanych kandydatów – Mehdi Karubi, były przewodniczący parlamentu, ani Akbar Rafsandżani, były prezydent – nie wzbudzał mojego zaufania. Nie wierzyłam, by pod ich przywództwem Iran wszedł na drogę, którą, według mnie, powinien kroczyć. Praworządność, reformy, poszanowanie praw obywatelskich – wszystko to ogromnie ważne problemy strukturalne. Ich zmiana wymaga wizjonera, a nie lojalisty, który – owszem – może myśleć pragmatycznie, ale nie jest zdolny do fundamentalnej naprawy systemu. Zerkając jednym okiem na stojący na kuchence rondel, tłumaczyłam też rozmówcom, na czym polega problem z samym procesem wyborczym.

W tamtym okresie Iran stanowił wyjątek w regionie, ponieważ w szranki stawało kilku kandydatów. Tymczasem w większości państw Bliskiego Wschodu dyktatorzy albo w ogóle nie organizowali wyborów, albo urządzali farsę: wybory ignorowane przed naród, w których dostawali 99,9 procent poparcia. W Iranie utrzymano rywalizację polityczną

i przyznano wyborom wystarczająco konstytucyjny charakter, by elektorat całkiem licznie uczestniczył w głosowaniach. Od rewolucji 1979 roku stosunkowo rzadko znano z góry ich wynik – całkowity lub częściowy. Same wybory w Iranie są na ogół dość czyste. To w dużej mierze zasługa procesu weryfikacji kandydatów: na listę wyborczą trafiają jedynie ci, którzy zyskali akceptację przywódców religijnych. W rezultacie między kandydatami istnieje faktyczna rywalizacja, ale sam proces wyborczy absolutnie nie spełnia wymogów demokracji. Dziennikarzom, którzy dzwonili do mnie tamtego wieczoru, powtarzałam, że nie uważam go za uczciwy ani sprawiedliwy, dlatego nie zamierzam w nim uczestniczyć.

Kiedy znów zadźwięczała komórka, rozdrażniona spojrzałam na ekran, ale okazało się, że tym razem dzwoni Nargess. Wracała do domu z Bagh-e-Gilas, kafejki w północnej części Teheranu, do której chętnie wpadała z przyjaciółmi. Nargess wciąż mieszkała z nami. Choć została przyjęta na Uniwersytet McGilla w Montrealu, gdzie miała studiować prawo międzynarodowe, przekonałam ją, żeby zdała na miejscu egzamin adwokacki, a dopiero potem wyprowadziła się za granicę. Aby praktykować prawo w Iranie, najpierw trzeba zdać egzamin adwokacki, a potem zaliczyć staż. Dlatego Nargess zdecydowała się na rok przerwy przed studiami w Kanadzie. Po cichu marzyłam, że zrobi tam doktorat, a potem wróci do Iranu i razem ze mną zaangażuje się w walkę o obronę praw człowieka. Wiedziałam jednak, że – podobnie jak starsza siostra – inaczej wyobrażała sobie przyszłość.

Część młodych lepiej znosi dwulicowość i kompromisy, jakich wymaga życie w Iranie. Nargess jednak nigdy nie potrafiła się pogodzić z ograniczeniami narzuconymi przez państwo. Dusiła się w atmosferze zastraszenia. Była energiczną, pełną życia młodą kobietą; gadatliwą, zawsze skorą do żartów i śmiechu. Złościła się, ilekroć hamowałam ją, gdy

śmiała się głośno w towarzystwie. Nie chciałam, by wzbudzała uwagę policji obyczajowej, ale ją gniewało, że karcę ją za tak naturalne zachowanie. Miała wrodzoną wrażliwość na brak sprawiedliwości. Drażniły ją krzywdzące i nieuzasadnione ograniczenia. Jedną z jej ulubionych rozrywek stanowiły wypady z koleżankami do pobliskiej kafejki, gdzie piły koktajle mleczne. Właściciele – zgodnie z przepisami rady miejskiej – po godzinie wypraszali gości. Koleżanki bez oporów przenosiły się po prostu do innego lokalu, ale Nargess nie potrafiła zaakceptować takich ograniczeń. Wiedziała, dlaczego je wyprowadzono. Te niesprawiedliwe restrykcje stanowiły ingerencję w życie młodzieży. Ona jedna zawsze miała odwagę głośno pytać: dlaczego? I walczyć o swoje. Taka była od dziecka. W okresie ramadanu, kiedy obowiązywał zakaz publicznego spożywania posiłków, zawsze narzekała, że musi chować głowę w torbie, żeby ugryźć kęs kanapki.

– Utknęłam w korku – tłumaczyła teraz przez telefon. W tle słyszałam trąbienie samochodów. – Będę później, niż się umawiałyśmy.

Rozłączyło nas, zanim zdążyłam odpowiedzieć – co w Teheranie stanowiło normę. Nargess nie zamierzała głosować. Podobnie zresztą jak reszta rodziny. W tych kwestiach zasadniczo mówiliśmy jednym głosem.

W końcu Nargess dotarła, a tuż po niej Dżawad. Spożyliśmy kolację, która wtedy wydawała się czymś naturalnym: nasza trójka siedziała przy stole, w świetle lampy odbijającym się we wzorzystym linoleum kuchni i na granatowym, bawełnianym obrusie pod naszymi talerzami. Rozmawialiśmy o Negar, która postanowiła przeprowadzić się do Georgii, i o planach samej Nargess, zamierzającej studiować prawo. Nakładaliśmy marynowane warzywa z ciemnoniebieskich ceramicznych miseczek, kupionych w czasie wakacyjnej wyprawy do Kaszanu, kiedy dziewczynki były jeszcze małe. Do dziś mam przed oczami tę scenę. Uświadamia mi

ona, jak piękna bywa teraźniejszość, a zarazem jak rzadko potrafimy ją docenić.

Tamtego wieczoru nawet słowem nie wspomnieliśmy o Mahmudzie Ahmadineżadzie, co świadczyło o tym, jak nikłą pozycję zajmował wówczas w debacie politycznej. Jego nazwisko nie padło w naszej dyskusji, ponieważ nikt nie dawał mu żadnych szans. Dopiero później Irańczycy zaczęli analizować, co Ahmadineżad kombinował przez tamten tydzień.

Kiedy kładliśmy się spać, podawano, że w wyborach prowadzi Mehdi Karubi. Tymczasem po przebudzeniu dowiedzieliśmy się, że – ponieważ żaden kandydat nie uzyskał połowy głosów – o wyniku końcowym przesądzi druga tura. Zmierzą się w niej Rafsandżani i, niewiarygodne!, Mahmud Ahmadineżad. Oszołomieni, jeszcze w piżamach, chłonęliśmy tę zdumiewającą informację. Jak ogłuszona wstawiłam wodę i wsypałam neskę do gorącego mleka. Aż do tej pory kampania Ahmadineżada, która dopiero na finiszu wzbudziła co najwyżej umiarkowane zainteresowanie, wydawała się tanią, populistyczną zagrywką. Kandydat w sfatygowanej wiatrówce pojawiał się w niedużych, prowincjonalnych miasteczkach i narzekał na bogatą elitę polityczną, dojącą uciskanych biedaków.

– Dzięki mnie petrodolary wreszcie trafią do obywateli, na ich stoły – obiecywał, pozując na skromnego człowieczka w podniszczonej kurtce. Zupełnie jakby nie był burmistrzem Teheranu, cieszącym się olbrzymimi wpływami.

– Może to prowincja na niego zagłosowała? – zastanawiałam się na gorąco, kiedy siedliśmy z Dżawadem do śniadania. W końcu intelektualiści i zwolennicy reform z dużych miast nie byli wyczuleni na nastroje mieszkańców wsi i prowincjonalnych miasteczek. Z drugiej strony jednak trzeba pamiętać, że Iran jest w 70 procentach zurbanizowany. Wieś nie mogła więc przesądzić o wynikach ogólnokrajowych wyborów.

Choć perspektywa drugiej tury niepokoiła, nikt w ogóle nie brał pod uwagę przegranej Rafsandżaniego. Dlatego kiedy kilka dni później zwyciężył Ahmadineżad, byliśmy w szoku. Rafsandżani ogłosił, że wyniki sfałszowano, ale ponieważ nikt – rozumiał przez to najwyższego przywódcę – nie zareaguje na jego protesty, skarżyć będzie się tylko Bogu.

Kilka miesięcy później parlamentarna frakcja reformatorska opublikowała ustalenia, z których wynikało, że Ahmadineżad wydał na kampanię pieniądze z kasy ratusza. Początkowo nikt nie wiedział, co właściwie oznacza dla Iranu zwycięstwo tego polityka. Niepokoił jednak fakt, że w kwestiach religijnych zaliczał się do konserwatystów, a politykiem był twardogłowym, chorobliwie wręcz podejrzliwym wobec Zachodu. Uparcie też – wbrew woli większości Irańczyków – dążył do zwiększenia obecności religii w codziennym życiu. Wszystko to zaś źle wróżyło na przyszłość nam, prawnikom z Centrum Obrony Praw Obywatelskich, oraz naszej działalności.

Niedługo po wyborach moja starsza córka Negar przyjechała z ostatnią wizytą przed przeprowadzką do Georgii. Jej odwiedzinom zawsze towarzyszyła wzmożona fala życia towarzyskiego, ponieważ cała rodzina pragnęła ją zobaczyć, a i Negar zależało na spotkaniach z koleżankami ze szkoły średniej. W rezultacie przez dwa tygodnie w południe podejmowaliśmy rodzinę, a wieczorami odbywały się przyjęcia. Z jednego z nich po północy wracałam taksówką z dziewczętami. Kiedy wysiadłyśmy, z cienia pobliskiego budynku wynurzyło się dwóch młodych mężczyzn.

– Pani Ebadi? – odezwał się jeden z nich.

Włosy mieli gładko zaczesane i lśniące od żelu. Jeden był ubrany w luźną kraciastą marynarkę, pod którą coś niepokojąco się opinało.

– Tak, a pan? – odparłam krótko.

Myślałam teraz wyłącznie o stojących za mną córkach, których sukienki wieczorowe przykrywał tylko lekki płaszczyk.

– Przyjechaliśmy po poradę prawną – odparł ten w marynarce, przysuwając się niepokojąco blisko. – Możemy zająć pani chwilę?

– Sprawy przyjmuję tylko w ciągu dnia. Proszę zadzwonić do kancelarii i umówić się na spotkanie.

– Ale przyjechaliśmy z bardzo daleka – zawołał drugi, też robiąc parę kroków w naszą stronę.

W tej samej chwili drzwi pobliskiej restauracji energicznie się otworzyły, a na ulicę wysypali się ludzie. Byli wystrojeni, ewidentnie wychodzili z przyjęcia weselnego. W ciągu kilku minut na ulicy stała setka rozgadanych, rozbawionych gości, rozglądających się za taksówkami i samochodami. Naszych rozmówców wyraźnie to spłoszyło. Zaczęli się wycofywać.

– Dobranoc panom – rzuciłam, nawet się nie obejrzawszy. We trzy odwróciłyśmy się i ruszyłyśmy do domu.

W środku dziewczęta odwiesiły płaszcze *manto*, zdjęły chustki, a po chwili beztrosko gawędziły, plotkując o przyjęciu. Zupełnie nie przejęły się spotkaniem pod domem. Przyglądałam się, jak rozpinają sandały. Patrzyłam na ich paznokcie w kolorze sukienek, próbując ukryć przygnębienie i niepokój. Byłam pewna, że mężczyźni nie szukali porady prawnej. Od lat odwiedzali mnie krewni osób, które potrzebowały pomocy, i zachowywali się zupełnie inaczej: natychmiast opowiadali swoją historię i traktowali mnie uprzedzająco grzecznie. Tych dwóch zaś nie okazywało ani troski, ani atencji. Czekali w środku nocy, zaczajeni przy budynku naprzeciwko,

akurat w ten weekend, gdy gościły u mnie obie córki. Nie miałam wątpliwości, że zamierzali wyrządzić mi krzywdę. Zaszyłam się w sypialni – bardziej zła niż wystraszona. Przypomniały mi się słowa jednego ze śledczych, który przesłuchiwał mnie w Ewin. Spędziłam wtedy w karcerze tylko trzy tygodnie, ale dziewczęta były młodsze i nie mogłam się doczekać, by do nich wrócić.

– Nie tęskni pani za córkami? – zapytał wtedy, patrząc na mnie pogardliwie, jakbym zasłużyła na więzienie jakimś podłym uczynkiem; jakbym była nie tylko przestępczynią, ale gorzej – wyrodną matką.

Tamtej nocy długo nie mogłam zasnąć. Jeszcze dwukrotnie zakradałam się do pokoju, by popatrzeć na śpiące córki.

Irańskie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych mieści się w przytłaczającej, burej budowli w stylu lat 70., przy ulicy Fatemiego. Hossein Fatemi był politykiem, który na początku lat 50. XX wieku pomagał premierowi Mohammadowi Mosaddeghowi w nacjonalizacji irańskiej ropy i gazu. Dzięki tej śmiałej inicjatywie Mosaddegh wyrósł na bohatera narodowego. Zaaranżowany przez CIA zamach stanu z 1953 roku, który doprowadził do jego obalenia, stanowił prawdziwy cios dla całego mojego pokolenia. Straciliśmy ukochanego, demokratycznie wybranego przywódcę. Straciliśmy poczucie, że jesteśmy samoistnym, niezależnym państwem. Nabraliśmy za to przekonania, że Stany Zjednoczone nie życzą dobrze Iranowi. Po zamachu ludzie szacha aresztowali i rozstrzelali Fatemiego. Po rewolucji 1979 roku większość ulic Teheranu przemianowano, nadając jej imiona szyickich świętych, islamskich rewolucjonistów, a potem męczenników wojennych. Fatemi jednak został Fatemim. Moja rodzina –

podobnie jak wiele innych – ogromnie przeżyła tamten zamach i dotkliwie odczuła jego skutki. Mój ojciec, gorący zwolennik Mosaddegha, po 1953 roku stracił eksponowane stanowisko w Ministerstwie Rolnictwa. Do urzędu wrócił dopiero wiele lat później, ale już tylko na nieznaczące posady. Często myślałam o nim, gdy zostałam pozbawiona stanowiska sędziowskiego. Nie mogłam uciec od refleksji, że losy Iranu potoczyłyby się zgoła inaczej, gdyby Stany Zjednoczone nie obaliły Mosaddegha, który próbował wprowadzić kraj na drogę autentycznej niezależności.

Piełam się po stopniach, patrząc na flagę Republiki trzepoczącą w podmuchach ciepłego wietrzyku typowego dla początku teherańskiego lata. Przyszłam tu na spotkanie z Abdulem Wahedem Musawi-Larim, ówczesnym ministrem spraw wewnętrznych, by spytać, dlaczego Centrum Obrony Praw Obywatelskich wciąż nie otrzymało formalnej zgody na funkcjonowanie. Ośrodek założyliśmy w 2001 roku i w świetle konstytucji nie musieliśmy występować o pozwolenie na prowadzenie działalności. Jednak – jak niemal we wszystkich sferach życia – władze podchodziły do przepisów wybiórczo, powołując się na te, które akurat im odpowiadały, ułatwiały osiągnięcie celów politycznych bądź pozwalały uciszyć przeciwników. Ja nie występowałam przeciwko państwu. Domagałam się jedynie poszanowania praw człowieka, a w swojej krytyce zawsze powoływałam się na obowiązujące prawo. Autorytarne rządy zaś nigdy nie lubiły różnych odcieni szarości; z założenia nie tolerują najmniejszej krytyki. Dlatego spodziewałam się, że – wcześniej czy później – władza zacznie ingerować w działalność Centrum.

Wystąpiliśmy o oficjalne zezwolenie tuż po założeniu ośrodka i w oczekiwaniu na decyzję rozpoczęliśmy działalność. Minęły cztery lata, a ta wciąż nie docierała. Wiedziałam, że Ministerstwu Spraw Wewnętrznych przekazano polecenie przyznania nam zgody, ale sam

dokument do tej pory się nie zmaterializował. Kiedy dwa lata wcześniej domagałam się tego aktu, urzędnik zbył mnie słowami:

– Przecież prowadzi pani swoją działalność. Nikt wam nie przeszkadza. Po co wam jakiś świstek?

Może i byłam uparta, ale po latach życia w Republice Islamskiej nauczyłam się, że brak konkretnego umocowania prawnego oznacza ciągłą niepewność i stan zawieszenia. Chciałam dostać ten „świstek", mieć go w ręku. Naciskałam i urzędnik obiecał mi go za tydzień. Tydzień zmienił się w dwa lata. Był już czerwiec 2005 roku, a my ciągle niczego nie dostaliśmy. Lada moment władzę miał przejąć Ahmadineżad. Ostatni tydzień prezydentury Chatamiego to być może ostatni moment, by uzyskać dokument. Warto było zawalczyć.

Kiedy zapowiadałam się w biurze Lariego, rzucił mi się w oczy zdumiewający brak kobiet. Wszędzie tylko mężczyźni. Młodzi i starzy odbierali telefony, pracowali przy komputerach. I nigdzie ani jednej kobiety. W Teheranie to rzadkość, więc natychmiast stałam się podejrzliwa. Owszem, kobiety nieczęsto awansowano na wyższe stanowiska ministerialne, ale wśród personelu biurowego stanowiły liczną grupę. Poza tym biuro Lariego niczym nie różniło się od innych ministerstw: przestronne, choć skromnie urządzone, z wydzieloną niedużą poczekalnią.

Siadłam przed ministrem: duchownym w czarnym turbanie zarezerwowanym dla potomków proroka Mahometa. Na blacie stał kalendarz z panoramicznym zdjęciem turkusowego meczetu w Isfahanie i ciężki przycisk do papieru.

– Dlaczego nie daje nam pan licencji? – zaczęłam ostro. – A gdyby tak na skutek jakichś zawirowań politycznych w przyszłości trafił pan do więzienia, kto by pana bronił? Powinien pan na wszelki wypadek umożliwić ośrodkowi działanie.

Uśmiechnął się, ale pewnie potrząsnął głową.

– Taka chwila nigdy nie nadejdzie – oświadczył.

Uspokoił mnie równocześnie, że otrzymamy zgodę. Siedziałam, słuchając, jak wydaje sekretarzowi polecenie, by zajął się tą sprawą.

– Już wkrótce ktoś się z panią skontaktuje – zapewnił.

Zbyt często słyszałam tę obietnicę, by liczyć, że cokolwiek znaczy. I, oczywiście, moja wizyta u ministra niczego nie dała. Może reformiści po prostu za nami nie przepadali: w wielu raportach piętnowaliśmy ich wykroczenia i lekceważenie prawa. Mimo to – choć nasza działalność była im cierniem w boku – tolerowali nas. Tolerowali mnie i moich współpracowników. Dopóki byli u władzy, naszą działalność postrzegano jako jeden z aspektów życia w Iranie.

Prosto z ministerstwa wróciłam do domu, gdzie wieczorem spodziewałam się gościa. Ahmed al-Dżalabi – iracki polityk, który przekonał Stany Zjednoczone, że trzeba obalić Saddama Husajna – poprosił mnie o rozmowę. Dżalabi utrzymywał bliskie kontakty z irańskim rządem, dlatego dziwiło mnie, że w prasie nie znalazłam nawet wzmianki o jego przyjeździe do Teheranu. Kiedy zbliżała się pora naszego spotkania, zadzwonił telefon. To był Dżalabi. Dość płynną perszczyzną przeprosił, że nie zdoła stawić się osobiście. Wyjaśnił, że zamierzał prosić, bym zechciała zasiąść w trybunale osądzającym Saddama Husajna. Pod koniec 2003 roku amerykańskie wojsko schwytało dyktatora. Od tamtej pory przebywał w więzieniu, czekając na sąd za okrucieństwa, których dopuścił się w czasie wieloletnich rządów, począwszy od wykorzystania broni chemicznej przeciwko irackim Kurdom, a na brutalnej pacyfikacji szyickich wiosek na południu kończąc.

– Nie możecie sądzić go w Iraku – zaoponowałam. – Musi stanąć przed międzynarodowym trybunałem, sądem z prawdziwego zdarzenia.

– Trybunał nie skaże go na śmierć – protestował Dżalabi.

– Cóż, jeśli jeszcze przed procesem postanowiliście, że zawiśnie, ja nie przyłożę do tego ręki.

Na tym rozmowa się skończyła. Oczywiście byłoby niezwykle symbolicznym gestem, gdyby irańska sędzia, a przy tym szyitka, decydowała o losie Saddama Husajna. Nie mogłam jednak firmować własną twarzą tej parodii sądu. Zwłaszcza że właśnie z takim nadużyciem prawa od lat walczyłam w Iranie. Następnego dnia nie znalazłam w prasie informacji o wizycie Dżalabiego w Teheranie. Pomyślałam, że to bardzo wymowne. Oto Stany Zjednoczone całkowicie polegają na człowieku, który utrzymuje ścisłe związki z irańskim rządem; człowieku, który bez śladu przemknął przez Teheran i na tyle biegle władał perskim, że mógł osobiście prowadzić negocjacje.

5.
W cieniu Ahmadinežada

We wrześniu 2005 roku nowo wybrany prezydent Ahmadineżad wkroczył na mównicę Zgromadzenia Ogólnego i oświadczył, że Iran ma prawo do energii jądrowej oraz sprzeciwia się amerykańskiemu „apartheidowi nuklearnemu”. Wystąpienie zakończył modlitwą, w której zapowiadał, że wkrótce pojawi się ostatni imam szyickiego islamu. Siedząc w swoim salonie w Teheranie, oglądałam to z rosnącą zgrozą. Ten nieszczery grymas udający uśmiech, ta mina pełna niemal triumfalnej obojętności kontrastująca z niesmakiem i zawodem malującymi się na twarzach przywódców światowych... Oto stał przed nami człowiek uwielbiający konfrontację, uważający ów gest lekceważenia za olbrzymi sukces. W dodatku mniemanie to podzielali jego stronnicy, wyznawcy tej samej ideologii. Ta scena pozostała żywa w mej pamięci, ponieważ właśnie wtedy narodził się we mnie fizyczny niepokój, który nie opuszczał mnie już ani na chwilę. Od tej pory nie miałam wątpliwości, że sprawy najprawdopodobniej potoczą się źle – a może nawet tragicznie.

Reformiści tolerowali moją działalność w obronie praw człowieka, a za ich rządów Iran utrzymywał dosyć stabilne stosunki z resztą świata. Owszem, trudno było je nazwać dobrymi, ale przynajmniej pozostawały przewidywalne. Zachód zdecydowanie krytykował bliskowschodnią politykę Iranu, obawiał się też jego ambicji nuklearnych. Dopóki jednak Ahmadineżad nie przejął steru państwa, Iran nie szukał guza. A choć nowy prezydent doszedł do władzy pod hasłami poprawy gospodarki kraju oraz warunków życia najuboższych mieszkańców zarówno miast, jak i terenów wiejskich, teraz najwyraźniej interesowała go polityka konfrontacji z Zachodem.

Nadchodziły niepewne czasy. Jedyną pociechę stanowiła dla mnie obecność Nargess, która wciąż z nami mieszkała. Pod koniec 2004 roku zmarła moja matka – osoba już w podeszłym wieku – ale także moja najdroższa starsza siostra, Mina, którą zabrał rak. Bliskość córki w tych trudnych chwilach była prawdziwym błogosławieństwem. Wieczorem Nargess często rozkładała na stole swoje podręczniki prawnicze i pracowałyśmy ramię w ramię. Od czasu do czasu któraś wstawała, by zaparzyć herbatę albo przynieść miseczkę suszonej morwy. Niekiedy w drugim końcu pokoju Dżawad przygrywał na *tarze*, tradycyjnym irańskim instrumencie strunowym; w inne wieczory wracał ze swoich zajęć śpiewu.

– Jaka pracowita para: mama i córka – mawiał z czułością, patrząc, jak siedzimy pochylone nad książkami, i całował Nargess w czubek głowy.

Teraz, gdy córki dorosły, nasz związek nabrał spokojniejszego, bardziej przyjacielskiego charakteru.

Nargess szykowała się do egzaminu adwokackiego. Kiedy studiowała na uniwersytecie Shahid Beheshti – gdzie znajdował się najlepszy wydział prawa w kraju – z zainteresowaniem przeglądałam jej podręczniki i program studiów. Ciekawa byłam, jak uczy prawa Republika Islamska. Za moich czasów, w latach 60., wnikliwie zgłębialiśmy podstawy szariatu, choć szach wprowadził świecki kodeks cywilny i karny. Narzucało się, że po rewolucji program nauczania szariatu zostanie poszerzony i pogłębiony. Tymczasem Nargess nie uczyła się nawet połowy tego co ja. Dlaczego? Przede wszystkim dlatego, że twórcy systemu oświatowego Republiki Islamskiej nie chcieli zapoznawać studentów z subtelnościami i zawiłościami nie tylko szariatu, ale również filozofii i tradycji. Dobrze wykształceni erudyci dysponowaliby bowiem wystarczająco głęboką wiedzą, by zabiegać o świeższą, nowocześniejszą interpretację prawa

religijnego. Republika zaś wolała tępych muzułmanów, niezdolnych do pogłębionej analizy ani dyskusji prawnej. Zdawała sobie sprawę, że muzułmanin dobrze znający swoją religię stanowi potencjalne zagrożenie dla władzy. Stąd wypowiedź jednego z duchownych na forum irańskiego parlamentu: „Potrzebujemy prawników całkowicie poddanych Republice Islamskiej. Uczelnie nie mogą kształcić, a potem wypuszczać w świat ludzi takich jak Szirin Ebadi”.

Jakże zawiedziony byłby ów duchowny, gdyby wiedział, że stale przybywa mi pracy. Nieustannie udzielałam wywiadów, zgłaszali się do mnie coraz to nowi klienci szukający sprawiedliwości, którzy – bardziej niż kiedykolwiek – widzieli we mnie ostatnią deskę ratunku. Najczęściej zwracali się do mnie ci, którzy stracili już nadzieję na sprawiedliwy wyrok sądu. Niemal każdy, kto przekraczał próg mojego gabinetu, słyszał ode mnie to samo: „Sądy w naszym kraju przestały być niezawisłe, dlatego proszę na wiele nie liczyć. Nie jestem cudotwórczynią, ale wykorzystam wszelkie kanały i możliwości, jakimi dysponuję, aby nagłośnić państwa sprawę tak, żeby usłyszał o niej świat”.

Wieczorami Nargess i ja często przerywałyśmy pracę, by obejrzeć wiadomości – zarówno oficjalne, państwowe, jak i perskiego BBC – i dowiedzieć się, co się dzieje w świecie. Media narodowe często pokazywały Ahmadineżada podróżującego po kraju. Kamera nieodmiennie filmowała prezydenta ściskającego dłonie starych, pomarszczonych rolników w dotkniętym suszą regionie Iranu. Chmary żółtego pyłu podkreślały tragedię chłopów, tworząc krajobraz ruiny i zniszczenia, które Ahmadineżad – przedstawiany jako zbawca narodu – wkrótce przywróci do życia. W czasie owych wizyt Ahmadineżad przemawiał do zachwyconych prostych ludzi. Wymachiwał przed kamerą ich listami, obiecując, że państwo pociągnie winnych do odpowiedzialności. Często też kroczył

wśród tłumów i rozdawał ludziom koperty, w których znajdowało się po 100 tysięcy *tomanów* (wówczas stanowiło to z grubsza równowartość pięćdziesięciu dolarów).

Wprowadzanie do obrotu takiej ilości gotówki groziło inflacją. Irańscy ekonomiści byli przerażeni. Publikowali w ogólnokrajowej prasie artykuły, wieszcząc nieuchronny kryzys gospodarczy. Nawet szef banku centralnego ostrzegał, że polityka Ahmadineżada wywoła galopującą inflację. Ich skargi jednak rozbrzmiewały w próżni. Przeciętni, zubożali Irańczycy widzieli w Ahmadineżadzie – który wygłaszał płomienne mowy i rozdawał grube koperty z gotówką – niemal zbawcę. W sumie trudno im się dziwić. Koperty – zupełnie jak narkotyk – przynosiły krótkotrwałą ulgę, ale w dalszej perspektywie tworzyły poważne zagrożenie dla skarbu państwa.

Przez pierwsze dwa lata czteroletniej kadencji Ahmadineżad cieszył się olbrzymią wolnością. Mógł liczyć na bezwarunkowe poparcie najwyższego przywódcy, któremu irańska konstytucja przyznaje pełnię praw, a także twardogłowego establishmentu. Kiedy w 1979 roku duchowni przejęli w Iranie władzę, stworzyli system prawny zapewniający im władzę absolutną. W ich hierarchii zaś gospodarka zajmowała odległą pozycję. Jak mawiał ajatollah Chomejni: „W tej rewolucji nie chodzi o cenę arbuzów”. Podobną postawę przyjął jego następca ajatollah Chamenei, który zgoła nie przejmował się gospodarczymi krętactwami Ahmadineżada.

Nowy prezydent nie tylko oczarowywał biedaków kopertami z gotówką. Równie skutecznie rozpalał wrodzoną dumę narodową Irańczyków. Pewnego wieczoru siedzieliśmy w salonie, oglądając wiadomości. Państwowa telewizja transmitowała przemówienie Ahmadineżada poświęcone młodym, obiecującym naukowcom.

– Do dyrektorki szkoły zgłosiła się dziewczynka – konfabulował – i powiedziała: „*Chanom*, odkryłam w domu energię nuklearną. Może pani

coś z tym zrobić?”.

Po czym zaczął się rozwodzić nad tym, jak wysłał naukowców z Irańskiej Organizacji Energii Atomowej, by zbadali domniemane odkrycie.

– Udali się do niej i zobaczyli, że dzięki pomocy starszego brata z części, które kupiła na targu, rzeczywiście wyprodukowała w kuchni energię jądrową!

Słuchałam tego jak ogłuszona. Spojrzałam na Dżawada i Nargess. Oboje też wyglądali na osłupiałych. To była jedna z tych chwil – coraz liczniejszych w Iranie – gdy nie wiedzieliśmy: śmiać się czy płakać. Czyż to nie zabawne? Oto prezydent twierdzi, jakoby nastolatka potrafiła dokonać w kuchni fuzji jądrowej. Równocześnie jednak budziło głęboki niepokój, do jakich chwytów zniżał się prezydent; jak bardzo naginał rzeczywistość, by przekonać rodaków, że Iran ma prawo do energii nuklearnej. W następnej edycji wiadomości podano informację, że Ahmadineżad wysłał strażników, by strzegli bezpieczeństwa genialnej nastolatki oraz jej kuchennego laboratorium – choć nigdy nie poznaliśmy ani jej nazwiska, ani szczegółów jej zdumiewającego odkrycia.

To była zupełnie zwykła środa. Właśnie skończyłam południowy posiłek. Spojrzałam na zegarek i uświadomiłam sobie, że lada moment powinien zjawić się na umówione spotkanie pan Mahdawi, agent irańskiej służby bezpieczeństwa. Od czasu do czasu przychodził do kancelarii, by podzielić się swoimi „obawami”. Zawsze telefonicznie zapowiadał swoją wizytę i zachowywał się z uprzedzającą grzecznością. Wiedziałam, że Mahdawi to

nie jest jego prawdziwe nazwisko – wszyscy agenci ukrywali autentyczną tożsamość. A choć niczego nie mogłam zarzucić jego manierom, sam fakt, że mam do czynienia z kimś posługującym się fałszywym nazwiskiem, budził mój niepokój. Tydzień wcześniej dostałam e-mail z pogróżkami i teraz zastanawiałam się, czy wspomnieć o tym panu Mahdawiemu. Dżawad ogromnie się zaniepokoił. Tym bardziej więc czułam, że powinnam zareagować. List brzmiał: „Jeśli dalej będziesz prowadzić swoją działalność, zajmiemy się tobą i twoją córką Nargess”.

Nie wspomniałam o nim Nargess. I tak przestrzegała wszelkich obostrzeń, które uważałam za niezbędne dla jej bezpieczeństwa. Nie chciałam, żeby czuła się zagrożona albo gorzej: żeby w tak młodym wieku pojawiła się u niej uraza. Jeszcze zdąży zgorzknieć i rozczarować się polityką, spokojna głowa.

Ostatecznie uznałam, że Mahdawi może nie mieć pojęcia o liście i zapewne lepiej, by tak pozostało. Irańskie służby bezpieczeństwa były niezwykle złożone. Niektóre sekcje działały brutalniej niż inne, a wszystkie między sobą rywalizowały. Jeśli jakaś postanowiła ostrzej się ze mną rozprawić, lepiej żeby komórka Mahdawiego nie poczuła się w obowiązku jej dorównać.

Wsunęłam do teczki przeglądane dokumenty, zarzuciłam na głowę chustę i czekałam na dzwonek. Wreszcie rozległ się – zaledwie parę minut po ustalonej godzinie, ale Mahdawi i tak przeprosił za spóźnienie. Był to schludny mężczyzna średniego wzrostu, ze starannie przystrzyżoną brodą. Wyglądał trochę na prawnika. Wszystko skrupulatnie zapisywał w żółtym notesie i dopytywał się o szczegóły.

Po krótkiej wymianie uprzejmości wyartykułował pierwszą „obawę” związaną z moją działalnością. Na początku 2005 roku zgodziłam się bronić Ruzbeha Mirebrahimiego, dziennikarza i blogera aresztowanego

w 2004 roku. Przedstawiono mu dyżurny zestaw zarzutów, po który zwykle sięgano w odniesieniu do pracowników okrojonej, ale wciąż funkcjonującej niezależnej prasy. Zgodziwszy się go reprezentować, wielokrotnie powtarzałam publicznie, że irański wymiar sprawiedliwości i system karny są głęboko wadliwe. Mahdawiemu oraz jego przełożonym z Ministerstwa Wywiadu takie uwagi nie mogły się podobać.

– *Chanom* Ebadi, przecież doskonale pani wie, na czym polega problem – oświadczył, zakładając nogę na nogę i przypatrując mi się uważnie. – Ameryka to nasz nieprzyjaciel. Nie omieszka wykorzystać pani krytycyzmu.

– Ależ ja mówiłam tylko szczerą prawdę.

– To proszę zwracać się z takimi sprawami bezpośrednio do nas, zamiast rozmawiać o tym z mediami. W ten sposób naraża się pani, że wróg wykorzysta pani słowa.

Nie zliczę, który już raz przeprowadzaliśmy tę rozmowę. Za każdym razem Mahdawi powtarzał te same apele, a ja udzielałam tych samych odpowiedzi.

– Jeśli państwo przestanie zachowywać się skandalicznie, wtedy zamilknę. Znikną też powody, by ktokolwiek cokolwiek wykorzystywał. A jeśli moje słowa są wykorzystywane, u źródeł problemu leży zachowanie władz.

Owej środy Mahdawi spojrzał na mnie z pewnym rozczarowaniem. Wzruszyłam ramionami. Nie miałam nic do dodania. Byłam sędzią, teraz zostałam prawniczką. Dla prawa zaś liczą się wyłącznie zamiary oraz ich skutki. Jeśli państwo rzeczywiście chce działać dla dobra obywateli, musi tego dowieść poprzez to, jak ich traktuje. Wystarczy, że przestanie aresztować dziennikarzy, wysyłać ich do więzień, poddawać najróżniejszym torturom psychologicznym oraz stosować wobec nich

przemoc. Wtedy nie będzie musiało przysyłać do mnie agenta, który będzie mi głosić kazania o Ameryce „wykorzystującej” mój sprzeciw wobec takich praktyk.

– Mogę jedynie ponownie zaapelować. Proszę, niech pani nie wypowiada się w sposób szkodliwy dla władzy – oświadczył Mahdawi, wstając i zmierzając do wyjścia.

Zamknęłam za nim drzwi i siadłam za stołem. Zastanawiałam się, jak długo jeszcze będą formułować te żądania jako prośbę.

Rok 2005 niepostrzeżenie przeszedł w 2006. Tej zimy Ahmadineżad jeszcze bardziej rozszerzył sieć prześladowań. Zimnego, lutowego popołudnia w świętym mieście Kom, w święto Aszury – największy dzień żałoby w szyickim islamie – w tamtejszej musalli, sali modlitewnej, pojawiły się setki wyznawców sufizmu. Ubrani na czarno opłakiwali męczeństwo imama Husajna Ibn Alego, wnuka Mahometa, poległego w bitwie pod Karbalą, który do dziś stanowi kluczową postać szyizmu. Mężczyźni rytmicznie uderzali się w tors i powtarzali żałobne zawołania ku czci imama Husajna. Ich głosy łączyły się, przybierając na sile.

Tymczasem na zewnątrz, pod drzwiami musalli zebrało się kilkudziesięciu brodatych, rozchełstanych mężczyzn. Koszule wychodziły im ze spodni, twarze wykrzywiała wściekłość. Czekali na hasło, by zakłócić żałobną uroczystość. Na znak swojego przywódcy wyważyli drzwi i natarli na wiernych. Pędzili naprzód z głośnymi okrzykami, popychając i kopiąc każdego, na kogo trafili. Wyrwani z modlitewnego transu mężczyźni

chwiali się i przewracali. Rozległy się strzały. Nie wiadomo, skąd padły, ale rozległy się krzyki:

– Dostał! Jest ranny!

Zapanował chaos. Napastnicy i żałobnicy rozpierzchli się na wszystkie strony.

Tuż po tym, jak wszyscy uczestnicy ceremonii uciekli, do akcji wkroczyli kolejni mężczyźni. W opustoszałej musalli rozrzucali butelki po whisky i damską bieliznę. Na posadzce wciąż widać było plamy krwi zostawione przez rannych, ale ignorowali je, całkowicie skupieni na prokurowaniu kompromitujących materiałów.

Wreszcie zjawił się buldożer. Z łoskotem toczył się ulicą, po czym zaczął walić szczękami we fronton budynku. Oderwał kawał głównego wejścia, potem zaatakował ściany boczne, zostawiając po sobie ziejące otwory i kurz. Mieszkańcy Kom i setki sufickich pielgrzymów wyległo na ulice, patrząc na dym unoszący się z ruin sali modlitewnej. Po paru godzinach z musalli zostały jedynie popiół i gruzy. Tego samego wieczoru państwowa telewizja podała, że sufi zbezcześcili święty dzień Aszury, swoją salę modlitewną, zamieniając w miejsce picia alkoholu i rozpusty. Właśnie dlatego – tłumaczył prowadzący wiadomości – musallę zdewastowano.

Minął zaledwie rok od wyboru Ahmadineżada, gdy jego administracja i kolesie dali całkowicie wolną rękę fundamentalistom, zasilającym szeregi państwowych bojówek. Ich członkowie zasadniczo nie otrzymywali żołdu, ale za to cieszyli się innymi przywilejami, chociażby takimi jak niskooprocentowane pożyczki czy możliwość korzystania z rządowych pojazdów. Nie nosili mundurów, ale w każdej chwili mogli liczyć na wsparcie państwowych służb bezpieczeństwa. Często też działali niezależnie od policji. Bojówkarze nieraz tworzyli samozwańcze straże

obywatelskie, zakłócając wykłady bądź inne wydarzenia – w ich mniemaniu – krytyczne wobec władzy. Działali też niczym policja obyczajowa, na własną rękę organizując kontrole, napastując młodzież, która miała w samochodach alkohol bądź zachodnie płyty, a także organizując naloty na przyjęcia. Dopóki u władzy był prezydent Chatami, starał się on hamować bojówkarzy i żądał od nich większego szacunku dla prawa oraz prywatności obywateli. Ahmadineżad wręcz przeciwnie: zamiast stopować, podpuszczał, zachęcając do skrajnej nietolerancji; wysyłał subtelne sygnały, że jeśli postanowią ukarać tych, którzy nie podzielają ich fundamentalistycznej wizji islamu, państwo nie będzie wchodzić im w drogę. Irański wymiar sprawiedliwości, kierowany przez osobę wyznaczaną bezpośrednio przez najwyższego przywódcę, tylko wspierał ten narastający radykalizm.

Sufizm, czyli mistyczny odłam islamu, który narodził się w VIII wieku, nie stanowił dla państwa realnego zagrożenia, choć miał dość liczną grupę wyznawców. Sufi Gonabadi, nazywani tak od północno-wschodniego regionu Iranu, skąd pochodził ich założyciel, brzydzili się polityką i za nic nie chcieli się w nią mieszać. Pragnęli jedynie w spokoju ducha, po swojemu praktykować islam. Mieszkali w całym kraju, pracując jako lekarze, prawnicy, pisarze itp., i różniąc się jedynie obrzędami religijnymi. Rządzące, twardogłowe duchowieństwo nie akceptowało sufich. Uważało ich za odstępców – podobnie jak każdego, kto przyjmował bardziej tolerancyjną i elastyczną wersję islamu. Władze zakazały sufim ich tradycyjnego tańca derwiszów, a także innych, najbarwniejszych praktyk, takich jak chodzenie po ogniu, któremu nie towarzyszyły oparzenia czy nakłuwanie ciała bez utoczenia kropli krwi.

Znałam mistrza – inaczej morszeda – sufich, pana Tabandeha, sprzed rewolucji, z czasów, kiedy jeszcze byłam sędzią. Nie mieściło mi się

w głowie, że – jak twierdziły rządowe środki masowego przekazu – jego współwyznawcy mogliby pić i oddawać się rozpuście w sali modlitewnej. I to w święto Aszury. Niezależna prasa, która wówczas ciągle funkcjonowała, obiektywniej przedstawiała wydarzenia z Kom, ale nawet ona jedynie wspominała o nalocie i dewastacji, nie próbując zbadać, co właściwie tam zaszło.

Parę dni później w moim biurze pojawiło się trzech mężczyzn. Powiedzieli, że kilku poszkodowanych sufich złożyło w sądzie w Kom skargę na napastników, których tożsamość dało się ustalić, a także na osoby odpowiedzialne za napaść. Ledwo jednak prokurator zobaczył wniosek, odmówił jego rejestracji i wszczęcia dochodzenia. Gorzej, na oczach mężczyzn podarł dokument, po czym oświadczył, że jako winnym nie przysługuje im postępowanie prawne. Kiedy usłyszał o tym przywódca sufich, pan Tabandeh, poradził, by zwrócili się do mnie.

– Zgłoście się do pani Ebadi i poproście, by nas reprezentowała. Jeśli ona będzie prowadzić waszą sprawę, prokurator nie odważy się podrzeć wniosku.

Poprosiłam przybyszów, żeby wyjaśnili, o co naprawdę poszło. Powiedzieli, że ostatnio sufizm przyciągał coraz liczniejsze rzesze wyznawców. Zwykle byli to Irańczycy wierni islamowi, którzy jednak unikali oficjalnych meczetów, ponieważ kojarzyły im się one z zepsuciem i hipokryzją rządzących. W salach modlitwy sufich nie było obowiązkowej sześciominutowej modlitwy o zdrowie najwyższego przywódcy i innych wysoko postawionych urzędników. Coraz więcej pobożnych Irańczyków odwracało się od meczetów i oficjalnych modlitw, w sufizmie znajdując to, czego szukali: żywą, tętniącą autentyzmem wiarę.

Tłumy gromadzące się w sufickim *hosseiniyeh* tak rozdrażniły jednego z wpływowych duchownych z Kom – człowieka cieszącego się aprobatą

i sympatią najwyższego przywódcy – że wystosował ostrzeżenie. Ponieważ jego nabożeństwa i kazania nie były popularne wśród wiernych, zażądał, by *hosseiniyeh* przekazano pod jego zarząd. Sufi odmówili, powołując się na posiadane dokumenty, w których precyzyjnie określono procedury dotyczące funkcjonowania *hosseiniyeh*. Ostatecznie kipiąca zazdrość i wściekłość grupy wpływowych duchownych sprowokowała bojówkarzy wspieranych przez rząd oraz ich duchowych przywódców, by tamtego dnia zaatakować modlących się sufich.

Natychmiast zgodziłam się reprezentować w sądzie poszkodowanych. Poprosiłam też dwójkę kolegów, by pomogli mi w prowadzeniu sprawy. Jednym z nich był prawnik z Kom, Mohammad Seyfzade. Przyznam, że liczyłam na wpływy, jakie miał w mieście. Następnego dnia złożył on wizytę w biurze prokuratora Kom, gdzie przedstawił pełnomocnictwo podpisane przez nas oboje oraz trójkę przybyszy z Kom. Zobaczywszy moje nazwisko, prokurator niczego nie podarł i bez szemrania założył sprawę. Seyfzade, który za swą działalność zostanie później skazany na sześć lat więzienia, zażądał natychmiastowej obdukcji poszkodowanych, aby lekarz sądowy spisał ich obrażenia, zanim rany się zagoją. Sąd jednak grał na zwłokę i kazał prawnikowi wrócić następnego dnia. Kiedy Seyfzade karnie się pojawił dzień później, usłyszał, że akta wysłano do Teheranu, by sprawą zajął się specjalny sąd dla duchownych. Formalnie nie wyklucza to obdukcji, ale prokurator świadomie przeciągał procedury, by obrażenia zdążyły się zagoić.

Przekazanie sprawy Teheranowi trwało dwa miesiące, po czym usłyszeliśmy dokładnie to, czego się spodziewałam: ani ja, ani moi koledzy nie możemy reprezentować powodów, ponieważ nie jesteśmy duchownymi. Sprawą zaś zajmie się specjalny sąd dla duchownych. Ta odrębna instytucja miała oczywiście za zadanie chronić duchownych przed wymiarem

sprawiedliwości; działała trochę jak immunitet dla dyplomatów, dzięki któremu unikali odpowiedzialności za wszelkie podejrzane postępki. Tak oto finał tej bolesnej i tragicznej sprawy był z góry przesądzony. Zaraz też nastąpiło gwałtowne pogorszenie sytuacji sufich. W całym Iranie aresztowano setki wyznawców sufizmu. Nawet ta łagodna, pokojowo nastawiona społeczność padła ofiarą prześladowań. Tylko dlatego, że została namierzona przez państwo i uznana za wroga.

6.

Kobiety, które odważyły się działać

12 czerwca 2006 roku w bezchmurne, letnie popołudnie na plac Hafte Tir zaczęły ściągać działaczki walczące o prawa kobiet. Plac Hafte Tir jest duży i rozległy, stanowi jedną z największych przestrzeni publicznych Teheranu. Okalają go sklepy, biura, kwiaciarnie. Nieustannie słychać tam szmer samochodów, bo o północną część placu zahacza trasa wyjazdowa z miasta.Dzień był ciepły. Część kobiet miała na nogach sandały, a na głowach przewiewne, skromne szajle. Choć nad Hafte Tir zwykle wisi gęsty, brunatny smog, tego dnia powietrze było przejrzyste. Zielone trawniki na wysepkach wyglądały na bujne i zdrowe. Wokół słychać było trąbienie taksówek i mruczenie autobusów.

Wcześniej aktywistki przemaszerowały ulicami, rozdając ulotki zatytułowane „Dlaczego obecnego prawa nie uważamy za sprawiedliwe”. Tekst był uroczy i rozbrajający. Prostym, naturalnym językiem – posługując się anegdotami – autorki wyjaśniały, dlaczego prawodawstwo Iranu, „nad którym często nie zastanawiamy się, dopóki nie wpadniemy w tarapaty”, stanowi dla kobiet realne zagrożenie. Kobiety niosły w torebkach transparenty, których jeszcze nie rozwijały, by nie przykuć uwagi, dopóki nie zbierze się wystarczająco liczna grupa. Na razie pojawiło się bodaj 70 osób. Kręciły się na środku i południowych obrzeżach placu, rozmawiając i czekając na kolejne uczestniczki. Tamtego popołudnia przechodziłam przez Hafte Tir, ale nie przyłączyłam się do demonstracji. Dopiero wieczorem dowiedziałam się od organizatorek, co się wydarzyło.

Parę minut przed czwartą organizatorki, które dotarły wcześniej, zauważyły nadciągający z północy niewielki konwój zielono-białych wozów policyjnych. W tej samej chwili, jakby na rozkaz, z bocznej uliczki we wschodniej części placu wyjechali na motocyklach policjanci

w kaskach. Z samochodów policyjnych zaczęły wyskakiwać policjantki od stóp do głów spowite w czarne, surowe czadory. Pędem ruszyły przez plac, wymachując pałkami. Demonstrantki próbowały wtopić się między samochody. Uciekały na chodniki i szukały schronienia wśród przechodniów. Wtem jak spod ziemi wyrośli policjanci, którzy wrzeszcząc, kazali tłumowi się rozproszyć, a równocześnie nie wypuszczali nikogo. Funkcjonariuszki brutalnie chwytały uczestniczki demonstracji i wlekły je do czekających suk policyjnych. Funkcjonariusze zaś atakowali mężczyzn. Nad placem eksplodowały chmury gazu łzawiącego.

– Moje oczy! Moje oczy! – wołali przechodnie.

Niektóre kobiety zginały się wpół, chwytając za twarz.

Szczególnie agresywna była jedna policjantka: masywna, z burym nakryciem głowy. Przypominała kata, opowiadały później manifestantki. Miotała się po placu z wrzaskiem, wbijając pazury w ramiona demonstrujących. Z wściekle wykrzywioną twarzą rzucała się od ofiary do ofiary. Kiedy zaś kobiety mdlały od gazu łzawiącego, chwytała je za chusty i wlokła chodnikiem do wozów policyjnych.

Władze zdławiły protest, jeszcze zanim wybuchł, miażdżąc go z niespodziewaną agresją. Ucierpiały liczne uczestniczki, aresztowano głównych organizatorów manifestacji, a nawet Alego Akbara Musawiego Choeiniego, byłego parlamentarzystę z obozu reformistów, który zjawił się na placu w geście solidarności z kobietami. Kilka dni po zdławieniu protestu teherański prokurator okręgowy oświadczył, że aresztowanym postawiono zarzuty zakłócania porządku publicznego, budzenia napięć i niepokojów oraz rozpowszechniania kłamstw. Naturalnie policja doskonale wiedziała o planowanej demonstracji. Przekonane, że nie mają nic do ukrycia, organizatorki na swojej stronie internetowej podały jej datę i godzinę. Okazało się jednak, że reżim nie zamierza tolerować takich

zgromadzeń, nawet jeśli miały charakter pokojowy. W ten sposób jawnie łamał konstytucję, która stanowiła, że obywatelom przysługuje prawo do swobodnego gromadzenia się, a także do organizowania demonstracji pod warunkiem, że uczestnicy nie będą uzbrojeni, a zasady ani przykazania islamu nie zostaną naruszone. Taka postawa władz: atak na demonstrantów i aresztowania, z bolesną klarownością uświadomiły organizatorkom, z którymi byłam w kontakcie, że muszą zmienić strategię.

Wkrótce po nieudanej demonstracji działaczki spotkały się, by omówić, co się wydarzyło na placu Hafte Tir, i wymyślić nową taktykę, którą państwo będzie tolerować. W tym wypadku skuteczność oznaczała trzymanie się ram wytyczonych przez władzę. Czym bowiem jest ruch feministyczny, który nie może się organizować ani działać, bo jego członkinie siedzą w aresztach i więzieniach? Dotychczasowe doświadczenie działaczek wskazywało, że należy się skupić na dążeniu do reformy prawa, ale dopiero jatka na placu Hafte Tir wskazała im nowy kierunek poczynań. Zadziałał tu podobny mechanizm, który sama nieraz odkrywałam: im mocniej miażdży cię władza, tym skuteczniej zbierasz strzępy godności, bierzesz się w garść i zastanawiasz nad kolejnym krokiem.

Bodaj miesiąc później w moim biurze zjawiły się dwie najaktywniejsze działaczki ruchu obrończyń kobiet. Korony drzewa za oknem porastały gęste, zielone liście, a słońce świeciło tak mocno, że zgasiłam światło. Podczas gdy Nuszin Ahmadi Chorasani i Parwin Ardalan zdejmowały *manto* i chustki, nalałam dla nich herbatę i czekałam, aż pękną pęcherzyki powietrza na bursztynowym naparze. Parwin – z szopą kręconych czarnych włosów, wielkimi ciemnymi oczami i łukowatymi brwiami – wyglądała na urodzoną przywódczynię. Nuszin była drobniejsza, nie tak dominująca. Obie miały po trzydzieści kilka lat i olbrzymie doświadczenie

w dziennikarstwie oraz działalności samorządowej. Tamtego dnia tryskały energią bardziej niż zwykle. Kiedy usiadłyśmy wokół ciemnego, dębowego stołu, wyjaśniły, że planują nową, ważną kampanię.

– Będzie się nazywać Milion Podpisów – wyjaśniła Nuszin. – Naturalnie będzie to przede wszystkim protest przeciwko prawnej dyskryminacji kobiet, ale poza tym zmusi nas do ruszenia się z miejsca. Będziemy stukać do drzwi domów w całym kraju i rozmawiać o prawach kobiet.

Obie popatrzyły na mnie wyczekująco.

– To jak, *chanom* Ebadi? Popiera pani nasz pomysł? – spytała wreszcie Nuszin. – Pomoże nam pani?

Milczałam, bo wzruszenie odebrało mi mowę. Oto wreszcie – prawie po 30 latach – zobaczyłam owoce wysiłków kobiet takich jak ja, które zaraz po rewolucji walczyły z dyskryminacją i systemowym zastraszaniem kobiet. Irański feminizm stanowił jedno z najbardziej zdumiewających zjawisk w naszym kraju. Mimo bezwzględnych represji reżimu – począwszy od przepisów dopuszczających kamienowanie i poligamię, a na łapankach policji obyczajowej napastującej niewystarczająco tradycyjnie ubrane kobiety kończąc – w Iranie działał silny, dynamiczny ruch obrony praw kobiet, a co najważniejsze, cieszył się poparciem we wszystkich - środowiskach. Nie stanowił jedynie kliki zamożnych przedstawicielek wyższej klasy średniej, które studiowały w Europie i mogły liczyć na wsparcie mężczyzn. Był to prawdziwy, aktywny ruch, mający własne ośrodki, organizujący seminaria i praktyczne szkolenia zatytułowane na przykład: „Jak radzić sobie w czasie przesłuchania”. Nie chcę przypisywać sobie szczególnych zasług, ale wiele wskazuje na to, że moja Nagroda Nobla z 2003 roku stała się dla feministek dodatkowym bodźcem do działania. Fakt, że w ten sposób doceniono wysiłki kobiety takiej jak one –

kobiety, którą znały, która na ich oczach latami toczyła boje sądowe w Republice Islamskiej – uświadomił im, że świat widział i doceniał ich starania. Na ogół swoją batalię toczyły samotnie, ale historia też dostrzegała ich walkę.

Dzięki swojej pozycji mogłam podróżować po krajach Bliskiego Wschodu. Tym bardziej więc doceniałam wyjątkowość tego ruchu. W żadnym innym państwie regionu nie zrodziły się podobne inicjatywy. Większość państw arabskich nadal zachłystywała się politycznym islamem, a w krajach takich jak Arabia Saudyjska kobiety po prostu nie były zainteresowane otwartą walką z systemowym patriarchatem. Pod tym względem więc Iran znacznie wyprzedzał sąsiadów, a ruch feministyczny rozkwitał, choć u władzy był nieprzychylny mu polityk – Ahmadineżad.

– To fantastyczny pomysł – odezwałam się wreszcie. – Śmiały, ambitny, trafiony. Myślę tylko, że powinnyście bardzo uważać, jak go przeprowadzicie, aby nie zmarnować jego potencjału. To musi być inicjatywa, która przemówi także do środowisk tradycyjnych, zwłaszcza do duchownych. Nie możecie ograniczać się wyłącznie do świeckich.

Moje rozmówczynie przyznały mi rację, ale zastrzegły, że powinny omówić ten aspekt akcji z komitetem odpowiedzialnym za promocję kampanii. Zanim przystąpią do modyfikacji jej elementów, będą musiały zyskać akceptację dla wszystkich kluczowych założeń. Z przyjemnością obserwowałam naturalne, demokratyczne podejście działaczek, które nie przyjmowały w ciemno proponowanych rozwiązań, ale wolały przedyskutować je z koleżankami i zyskać ich akceptację. Życzyłam im powodzenia i zapewniłam, że będę niecierpliwie czekać na początek akcji.

Następnego tygodnia Parwin i Nuszin wróciły do mnie z roboczą wersją podręcznika Kampanii Miliona Podpisów oraz wstępem naszkicowanym przez ich zespół prawny. Wprowadziłam kilka kosmetycznych zmian, by

każde zdanie można było wybronić w sądzie. Potem wyznaczono datę rozpoczęcia kampanii na 27 sierpnia.

Od jakich praw dyskryminujących kobiety należałoby zacząć? – radziła się mnie Parwin. Prawa rozwodowego i poligamii? Dziedziczenia majątku i opieki nad dzieckiem? Odparłam, że moim zdaniem powinny wyznaczyć sobie tylko jeden cel: reformę wszystkich dyskryminujących przepisów. Czy jednak w Republice Islamskiej w ogóle można osiągnąć taki cel? – zastanawiały się.

– To musi być wasze marzenie, ideał, dążenie – powiedziałam. – Ideał jest niczym słońce na niebie. Może i nikt nie zdoła tam dotrzeć, ale nie wolno zapominać o jego obecności. Jeśli zaś chodzi o dziedzinę, którą zajmiecie się najpierw... Myślę, że powinnyście spytać o to sygnatariuszki.

Władze nie zgodziły się, by inauguracji kampanii towarzyszyło zgromadzenie w miejscu publicznym albo w dużej auli. Działaczki musiały więc rozpocząć ją w biurze jednego ze zwolenników ruchu. Miała to być krótka uroczystość połączona z ogłoszeniem celów akcji. Niestety, dwie godziny przed rozpoczęciem spotkania służby bezpieczeństwa ostrzegły właściciela budynku, że nie może się ono odbyć.

Nie było czasu, by powiadomić wszystkich zaproszonych. Stopniowo zaczynaliśmy się zbierać i zatrzymywaliśmy się przed zamkniętymi drzwiami, gdzie stały wściekłe Nuszin i Parwin z rękami zaplecionymi na piersi. Pozostali niespokojnie zerkali na oddziały, które zablokowały wylot ulicy. Napływało coraz więcej gości, tworząc na ulicy gęsty tłum, w którym

dostrzegłam też kilku dziennikarzy. Wtem ze środka grupy rozległo się wołanie młodej dziewczyny:

– Nie powstrzymacie nas! Kampania rozpocznie się tutaj! Na środku ulicy!

Zebrani nagrodzili oklaskami jej inicjatywę, a organizatorzy zaczęli rozdawać formularze do podpisania. Godzinę później wszyscy się rozeszli, a siły bezpieczeństwa wycofały się zadowolone, sądząc, że nie dopuściły do zgromadzenia.

Miesiąc później wyjechałam do Stanów Zjednoczonych na seminarium, w którym uczestniczyli Desmond Tutu, Dalajlama i wszystkie kobiety-laureatki Pokojowej Nagrody Nobla. Rozdawałam tam naszą petycję i prosiłam o jej podpisanie. Wkrótce w mediach pojawiła się informacja, że wszystkie wybitne osobistości wsparły inicjatywę Iranek.

Choć kampania nosiła nazwę „Milion Podpisów”, organizatorkom nie chodziło jedynie o gromadzenie podpisów. Ich podstawowym celem było pokazanie, jak bardzo irańskie prawo dyskryminuje kobiety, i sprowokowanie powszechnej debaty o tym, jak je unowocześnić lub zmienić. Kampania, w którą zaangażowali się również mężczyźni, stała się pretekstem do spotkań. Przy okazji zbierania podpisów działacze podkreślali, że ich wysiłki mają charakter pokojowy. Odwiedzali instytucje rządowe, prosili o podpisy w metrze i na dworcach autobusowych. Organizowali spektakle uliczne, stukali do drzwi domów, podróżowali po całym kraju. Akcja cieszyła się poparciem i szybko rozprzestrzeniła się, obejmując nie tylko Teheran, ale i inne miasta, gdzie aktywiści ze stolicy prowadzili „szkolenia dla szkoleniowców”, by lokalni działacze kontynuowali dzieło zapoczątkowane przez centralę w Teheranie.

Ten żywy odzew uświadomił rządzącym niepokojącą prawdę: reformy przepisów domagały się kobiety w całym kraju, we wszystkich klasach –

bez względu na miejsce zamieszkania i pochodzenie społeczne. To właśnie największy sukces kampanii: udało się obudzić w kobietach zainteresowanie kwestiami prawnymi i uwrażliwić na kluczowe problemy, takie jak równe prawo do dziedziczenia czy waloryzacja posagu. Zmian w tych dziedzinach domagały się zarówno zwolenniczki konserwatywnego, jak i bardziej świeckiego państwa. To, w połączeniu z wieloma tysiącami podpisów, coraz bardziej niepokoiło reżim.

Mniej więcej w tym czasie zaczęły się aresztowania. W całym kraju władza polowała na działaczki: od przywódczyń ruchu po przypadkowe uczestniczki. Prokurator generalny oskarżył je o „spisek przeciwko bezpieczeństwu narodowemu" oraz „szerzenie kłamstw". Innych zarzutów nie mógł postawić. Wcześniej bowiem rządowi prawnicy bacznie przeczytali podręcznik, instrukcję i wszystkie materiały opublikowane przez feministki, ale nie znaleźli ani jednego zdania, które stałoby w sprzeczności z zasadami islamu. Dlatego władze nie mogły sięgnąć po argument, że kampania podważa fundamenty wiary. Nawet duchowny z rządowej listy płac nie mógł uznać działaczek za bluźnierczynie. Właśnie tego spodziewałam się od samego początku. Od pierwszej chwili – od kiedy Nuszin i Parwin przyniosły mi szkice dokumentów – uważnie czytałam każde zdanie, by nie wpadły w tę pułapkę.

Kiedy zaczęły się procesy aktywistek, kilka z nich reprezentowałam w sądzie. W czasie jednej z rozpraw ostro obaliłam twierdzenie oskarżyciela, jakoby ich działania miały zagrozić bezpieczeństwu narodowemu.

– A zatem kobieta oświadcza, że nie życzy sobie, by mąż miał drugą żonę. Odmawia zgody na to, by wprowadził do ich łoża małżeńskiego inną. Czy Wysoki Sąd zechce mi wyjaśnić, jak to ma doprowadzić do ataku Izraela na Iran?

Sędzia nie był duchownym, ale nosił obowiązkową szczecinę i bez przerwy przesuwał w palcach sznur bursztynowych paciorków.

Oskarżenia były absolutnie bezpodstawne i śmiechu warte, jednak w systemie, który dawno już stracił niezależność, całkowicie podporządkowując się kaprysom wyższej, represyjnej władzy, fakt, że przeprowadzono proces sądowy, o niczym nie świadczył. Sądy skazały na trzy lata więzienia zarówno Nuszin, jak i Parwin. Inne działaczki też otrzymały wyroki. Wiele z tych, którym udało się uniknąć więzienia, potem tak prześladowano i napastowano, że ostatecznie wybrały emigrację.

Mimo to akcję feministek uważam za sukces. Nowe działaczki podjęły przerwane dzieło i dalej zbierały podpisy. Dzięki kampanii kwestia dyskryminacji prawnej stała się przedmiotem ogólnokrajowej debaty społecznej. Społecznej – to właśnie kluczowy aspekt, ponieważ organizatorki kampanii zdołały uniknąć uwikłania kwestii kobiecej w politykę i konflikt Wschodu z Zachodem, Iranu z resztą świata, Republiki Islamskiej z demokracją. Poruszały tematy, takie jak równy dostęp do oświaty, odszkodowanie za przelaną krew czy poligamia – sprawy, które przemawiały do zwykłych kobiet i były dla nich ważne, przez co w kolejnych kampaniach wyborczych zajmowały coraz ważniejsze miejsce w programach kandydatów.

Pojawiały się też drobne zwycięstwa. W 2008 roku pod naciskiem społecznym parlament zmienił przepisy dotyczące dziedziczenia, dzięki czemu kobiety mogły już przejmować majątek po zmarłym mężu. W tym samym roku Zgromadzenie Konsultatywne przyznało też kobietom prawo do równego odszkodowania za wypadki wypłacanego przez firmy ubezpieczeniowe. Deputowani zdołali też zablokować 23 oraz 25 artykuł ustawy oochronie rodziny zgłoszonej w 2007 roku przez rząd Ahmadineżada. Na jej mocy mężczyźni mogliby brać kolejne małżonki bez

zgody pierwszej żony. Ustawa narzucała też na kobiety obowiązek odprowadzenia podatku od *mahru* (daru małżeńskiego) od narzeczonego. Ustępstwa te oczywiście nie oznaczały, że irańscy ustawodawcy nagle stali się liberałami zatroskanymi o równouprawnienie kobiet. Okazali tylko dość politycznego rozsądku i wrażliwości na opinię publiczną, by dostrzec, że w społeczeństwie nasilają się postawy progresywne. Po raz kolejny Irańczykom udało się szturchnąć reżim albo pociągnąć go za sobą – sama nie wiem które – by wymusić zmiany.

7.
Szpieg u wrót

To się wydarzyło w przedostatni dzień 2006 roku. Dochodziła pierwsza w nocy, panował nieprzenikniony mrok. Moja dobra przyjaciółka Hale Esfandiari – Iranka z podwójnym, amerykańskim obywatelstwem, wykładowczyni waszyngtońskiego Woodrow Wilson International Center for Scholars – jechała taksówką trasą Teheran–Kom w kierunku lotniska im. Chomejniego. Hale dwa, trzy razy w roku odwiedzała matkę, - Austriaczkę, która mieszkała w Iranie od kilkudziesięciu lat i tak go pokochała, że została w nim nawet po śmierci męża – Irańczyka, ojca Hale. Taksówka Hale mknęła autostradą, kiedy nagle samochód z sąsiedniego pasa zaczął niebezpiecznie zbliżać się do pojazdu. Przysuwał się, potem oddalał, żeby za chwilę znów podjechać bardzo blisko. Kobieta kurczowo chwyciła się klamki i krzyknęła do taksówkarza. Ten zaniepokojony zwolnił i machnął do drugiego kierowcy, jakby pytał: „Próbujesz nas zabić?”. Tamten jednak coraz bardziej naciskał, aż taksówka zjechała na pobocze, a w końcu się zatrzymała. W paskudnej, rudej poświacie latarni z wozu wyskoczyło dwóch mężczyzn i ostrym szarpnięciem otworzyli drzwiczki auta. Chwycili torebkę i walizkę Hale, wskoczyli z powrotem do samochodu, po czym odjechali, błyskawicznie znikając w mroku.

Wstrząśnięta Hale, która nie mogła wylecieć do Stanów, bo w skradzionej torebce znajdował się jej irański paszport, wróciła do matki, a następnego ranka udała się na komisariat, by zgłosić incydent. Policjanci skierowali ją do jakichś agentów bezpieczeństwa. Ci zadali kilka pytań o pracę Hale i puścili ją wolno. Obiecała stawić się za kilka dni, by odpowiedzieć na pozostałe pytania. Kiedy pojawiła się znowu, została aresztowana. Od tej chwili nie ulegało już wątpliwości, że napad na

autostradzie zaaranżowano, by w ten skomplikowany sposób uniemożliwić jej powrót do Waszyngtonu.

W zaistniałej sytuacji mąż Hale, Szaul Bachasz, szanowany wykładowca George Mason University, który – podobnie jak żona – był przed rewolucją znanym dziennikarzem, skontaktował się ze mną. Hale zbliżała się do emerytury. Nikt, kto ją znał, nie wyobrażał sobie tej kruchej, delikatnej kobiety – babci – w irańskiej więziennej celi. Zaniepokojony, choć zachowujący spokój Szaul zapewnił, że jeśli zgodzę się reprezentować jego żonę, zapłaci każdą sumę, choćby najwyższą. Odparłam, że z zasady nie biorę honorarium od więźniów politycznych, ponieważ ich obronę traktuję jak swój święty obowiązek nakazany przez Boga. Czy wolno żądać pieniędzy za pełnienie woli Najwyższego? Szaul podziękował, a ja wzięłam się do pracy. Niestety, jak zwykle uniemożliwiano mi wizyty u Hale; nie otrzymałam też do wglądu akt jej sprawy. Nie sposób było ustalić, na czym – zdaniem władz – polegała jej wina. O co właściwie ją oskarżono? Po co zaaranżowano napad na autostradzie? Dlaczego po prostu nie zażądano od prokuratora nakazu aresztowania i nie zgarnięto jej z domu?

Adwokat takiej klientki czuje się, jakby nagle trafił w sam środek filmu szpiegowskiego i nie znał scenariusza ani nawet miejsca akcji. Nieraz miałam wrażenie, że miotam się w ciemnościach, rozbijając się o drzwi, goniąc za nieuchwytną kluczową postacią: człowiekiem, który ujawniłby, o co właściwie chodzi. W sprawie Hale władze uniemożliwiały mi kontakt ze śledczymi, którzy regularnie ją przesłuchiwali. Naturalnie nie było też mowy, bym wytropiła oficerów wywiadu, którzy zajmowali się sprawą i podejmowali wszelkie decyzje. Nie wiedziałam, gdzie w ogóle ich szukać. Do dziś lokalizację siedziby Ministerstwa Wywiadu w Teheranie znają jedynie ci, którzy w nim pracują, oraz garstka wtajemniczonych na najwyższych szczeblach władzy. Wszelkie rozmowy z agentami odbywały

się w moim biurze. Nigdy nie zdradzali, skąd przychodzą ani dokąd wracają.

Niewiele mogłam zrobić, ale naturalnie nie siedziałam z założonymi rękami. Udzielałam wywiadów – często nawet co godzinę – opowiadając o tej sprawie. Wystosowałam pismo do Wysokiego Komisarza ONZ ds. Praw Człowieka – tamtego roku w komisji zasiadał Irańczyk i liczyłam, że uwolni Hale, by uniknąć skandalu, jaki wywołałoby poruszenie tej kwestii na najbliższych obradach. Wkrótce rzeczywiście Hale uwolniono. Jej waszyngtońscy przyjaciele i rodzina prowadzili w zachodnich mediach intensywną kampanię, naciskając na rząd, by ją uwolnił, i akcja rzeczywiście przyniosła skutek. Hale opuściła Teheran i wróciła do Waszyngtonu. Nigdy więcej nie przyjechała do Iranu.

Następne miesiące i lata przynosiły kolejne zatrzymania i aresztowania innych irańskich obywateli z drugim, amerykańskim paszportem. Irański rząd chciał w ten sposób zapewnić sobie kartę przetargową w kontaktach ze Stanami Zjednoczonymi. Hale i ci, których uwięziono po niej, byli po prostu zakładnikami; sprawami, które amerykańska administracja poruszała w rozmowach z pośrednikami – a potem już w bezpośrednich kontaktach z irańskimi urzędnikami – by zapewnić uwolnienie swoich obywateli. Fakt, że Republika Islamska imała się takich sposobów, by zyskać przewagę w stosunkach ze Stanami Zjednoczonymi, pokazywał przede wszystkim jej desperację, ale także bezwzględność i nieliczenie się z niczym w osiąganiu celów politycznych.

Pewnego mroźnego zimowego poranka stałam przed domem otulona w ciepły wełniany płaszcz, czekając na młodą koleżankę, która miała po

mnie przyjechać. Delikatny śnieg oprószył nagie konary drzew, a burą breję przy krawężnikach tu i ówdzie pokrywał lód. Kilka minut wcześniej koleżanka przysłała SMS, że jest już blisko, więc zamknęłam mieszkanie i wyszłam przed budynek. Niepokoiłam się, czy lód i śnieg w Jusef Abad nie utrudnią jej jazdy. Mieszkamy przy wąskiej, nachylonej bocznej uliczce. Zimą podjazd pod nią bywa utrudniony. Niby mogłam przespacerować się do głównej ulicy i złapać taksówkę, ale wtedy, zimą 2007 roku, nigdzie już nie zapuszczałam się sama. Zrezygnowałam z ochroniarza przydzielonego przez państwo. Podczas jednej z ostatnich zagranicznych podróży zaopatrzyłam się w gaz pieprzowy, który stale nosiłam w torebce. Nie otrzymywałam bezpośrednich pogróżek, ale czułam narastające napięcie. Zdawałam sobie sprawę, że władze nie są ze mnie zadowolone i wcześniej czy później okażą mi to w sposób niepozostawiający złudzeń. Czasem, późno wracając do domu albo idąc przez dzielnicę, którą słabo znałam, zaciskałam palce wokół sprayu. Nie złodziei się bałam, tylko szpiegów.

Niedawno otrzymałam wezwanie do sądu, gdzie musiałam się tłumaczyć, dlaczego rok wcześniej podałam rękę francuskiemu prezydentowi, Jacques’owi Chiracowi. Najwyraźniej jakiś Irańczyk zobaczył ten uścisk w telewizji albo na zdjęciu w gazecie i złożył formalne doniesienie o przestępstwie, ponieważ – jak uzasadniał – publicznie podając rękę mężczyźnie, „na oczach całego świata” ściągnęłam hańbę na niego, przypadkowego obywatela. Zignorowałam wezwanie. Wiedziałam, że władze chcą pod byle pretekstem postawić mnie przed sądem, ale taki powód...? Nie dam się wciągnąć w tę grę.

Coraz wyraźniej było widać, że dojście do władzy Ahmadineżada nieodwracalnie zmieniło nasze życie. Polityczny establishment działał coraz agresywniej i bezwzględniej. Poplecznicy i lojaliści, których Ahmadineżad porozmieszczał w licznych instytucjach rządowych,

pracowicie zatrzaskiwali wrota swobody i tolerancji nieśmiało uchylane za czasów prezydenta Chatamiego. Cenzura coraz ostrzej kontrolowała powieści, scenariusze i prace naukowe. Na biurko cenzora wracały nawet rzeczy już wcześniej dopuszczone do obiegu. W ten sposób zakazano siódmego wydania *Dziewczyny z perłą*. Nie dopuszczono też do wznowienia książki Gabriela Garcii Márqueza *Rzecz o mych smutnych dziwkach*, której tytuł i tak wcześniej złagodzono na ckliwą *Rzecz o mych smutnych ukochanych*.

Sytuacja działaczy i organizatorów protestów pogarszała się gwałtownie. Na porządku dziennym było nękanie ich bliskich, pogróżki ze strony służb bezpieczeństwa, straszenie prokuraturą. Co najgorsze jednak, w oczach kurczyła się przestrzeń debaty publicznej. Prasa coraz ostrożniej i mdło pisała o politykach, nie chcąc narazić się cenzorom. Intelektualiści oraz wykładowcy akademiccy, którzy wcześniej głośno krytykowali reżim, nagle przycichli. Gorąca atmosfera debaty politycznej, która jeszcze do niedawna wyróżniała Iran w regionie, wyraźnie stygła. Częściej za to aresztowano dziennikarzy i nękano dysydentów. To zaś sprawiało, że moje stosunki z państwem stawały się coraz bardziej napięte. Mimo to nie widziałam innego wyjścia: tym głośniej i dobitniej musiałam krytykować rząd.

Wreszcie na szczycie naszej uliczki pojawił się szary peugeot. Zwolnił i zahamował. Pomachałam do koleżanki, że już idę, i ruszyłam chodnikiem w jej stronę. Tamtego dnia byłam dość przygnębiona, ale nie wspomniałam o tym słowem w czasie naszej podróży do Trybunału Rewolucyjnego.

Nikogo, kto wchodził do budynku, nie omijała kontrola bezpieczeństwa. Podobnie jak w innych instytucjach państwowych i publicznych obowiązywały oddzielne kolejki dla mężczyzn i dla kobiet. Właśnie kierowałyśmy się do sekcji kobiecej, kiedy zza kotary, gdzie

przeprowadzano kontrolę, rozległ się tubalny głos karcący kobietę, której spod chusty wymknął się kosmyk włosów.

– A to co ma być? Natychmiast zetrzeć! – dudnił znowu głos.

– Ależ to tylko odrobina podkładu. Czy to naprawdę taki problem? – ktoś cicho zapytał.

– Jeśli chcesz wejść do środka, tak, to jest problem.

Odczekałyśmy, aż petentka za grubą granatową kotarą poprawi niedociągnięcia, i weszłyśmy. Jedna ze strażniczek siedziała, przeglądając gazetę, podczas gdy druga – od razu się domyśliłam, że to do niej należał tubalny głos – wypełniała niemal całą przestrzeń. Pamiętałam ją z ostatniej wizyty w sądzie. Głowę miała owiniętą czarną, surową chustą tak szczelnie, że tkanina wrzynała się w tłuste policzki. Wyglądała, jakby pod czadorem miała jeszcze inny czarny czador. Mimo obfitych kształtów nie było widać nawet zarysu sylwetki. Nie ulegało wątpliwości, że to typ surowej dewotki. Przed jej surowym wzrokiem nie ukryłoby się nawet najdrobniejsze uchybienie. Perfumy, jasne *manto* – wszystko to, na co inne kontrolerki by nie zareagowały, bo zresztą nie miały do tego podstaw – u niej wywoływało srogie zaciśnięcie ust.

I to właśnie ona, kiedy pochyliła się, by mnie zrewidować, szepnęła mi do ucha:

– Szanuję pani walkę o prawa kobiet. Na Allaha, Boga Wszechmocnego, zaklinam, niech pani zrobi coś dla nieszczęsnych, gnębionych kobiet. Mój zięć znalazł sobie drugą żonę i teraz zamierza rozwieść się z moją córką. Wszyscy powtarzają, że skorzystał z przysługującego mu prawa. A ja pytam, co to za prawo? Błagam, na litość boską, niech pani ratuje kobiety.

Moja koleżanka, którą pobieżnie sprawdziła milcząca strażniczka z gazetą, czekała na mnie za kotarą.

– Co tak długo? – spytała zaciekawiona. – Jakieś kłopoty?

– Nie, najmniejszych.

Kiedy szłam korytarzem do sali sądowej, w uszach wciąż dźwięczały mi słowa strażniczki. Przygnębiły mnie, a zarazem podniosły na duchu. Kobieta chciała sprawiedliwości dla córki. Jej prośba uświadomiła mi, że właśnie to – pragnienie sprawiedliwości – łączy Irańczyków mimo wszystkich dzielących ich różnic.

Ludzie powierzali mi swoje troski, do mnie przychodzili się wyżalić i poskarżyć, dlatego wiedziałam, że problemy strażniczki to zaledwie kropla w pełnym po brzegi, wrzącym kotle niezadowolenia irańskiego społeczeństwa. Pracownicy ministerstw oraz innych instytucji rządowych, które odwiedzałam służbowo, często opowiadali mi po cichu o swoim rozczarowaniu. Nawet sędziowie otwarcie narzekali przy mnie na niektóre aspekty obowiązującego *status quo*. Gdzie mieszkają ta nieufność i rozżalenie? – zastanawiałam się nieraz. Jak to możliwe, że drzemią gdzieś w ludziach, podczas gdy oni sami żyją normalnie, starając się godzić po kilka etatów, dławiąc się smogiem i czekając, ciągle czekając, aż coś zmieni się na lepsze.

Innego mroźnego dnia jak spod ziemi wyrósł u nas pucybut i rozstawił stanowisko po drugiej stronie ulicy, dokładnie na wprost naszych drzwi. Nasza uliczka to typowa droga osiedlowa. Wąziutka – szerokości może jednego samochodu – nieszczególnie długa, do tego ślepa, zakończona parkiem, a zatem i rzadko uczęszczana. Zapuszczają się tu zazwyczaj jedynie mieszkańcy pobliskich budynków. Żaden pucybut nie mógł tu

liczyć na zysk. Ten jednak – odziany w zniszczone, szare spodnie i obszerny płaszcz – zjawiał się co rano, siadał na drewnianym stołku, po czym rozkładał pasty i szczotki do butów. Ta maskarada stanowiła tak żałosną i komiczną próbę inwigilacji, że współpracownicy i przyjaciele przychodzący do mojej kancelarii nie mogli się powstrzymać od złośliwych komentarzy.

– Interes się kręci, co? – zwracali się do pucybuta.

– Obyś się nie przemęczył – mawiali inni, posługując się ulubionym perskim zdaniem, którym witano kogoś zajętego pracą.

Mężczyzna odpowiadał grzecznym uśmiechem, nie reagował na kpiny. Nigdy nie zauważyłam, by coś notował, ale miał telefon komórkowy. Korzystał z niego, informując zwierzchników o gościach wchodzących do mojego budynku lub go opuszczających. Po paru tygodniach zniknął.

Bodaj miesiąc później, gdy szłam do okolicznej piekarni po ciasto, zauważyłam, że na końcu ulicy otwarto nowy kiosk, strategicznie ustawiony tak, by właściciel mógł obserwować wszystkie samochody i pieszych poruszających się uliczką. Przechodząc obok, spojrzałam kioskarzowi prosto w oczy.

Niecałe 100 metrów dalej znajdował się inny kiosk, od 20. lat obsługujący mieszkańców. Interes kwitł, właściciel – przyjacielski, przez wszystkich kochany – zamawiał niemal wszystkie dzienniki i magazyny wydawane w Teheranie. Okoliczni mieszkańcy i sklepikarze podejrzewali, że nowy kioskarz był agentem umieszczonym tu przez służby bezpieczeństwa i miał – podobnie jak pucybut – obserwować, co się dzieje w mojej kancelarii prawnej. Choć władza przeprowadzała inwigilację tak prymitywnie, że wśród moich sąsiadów i przyjaciół stanowiło to przedmiot żartów, mnie jednak nie opuszczał niepokój. Rodziny zatrzymanych, osoby potrzebujące pomocy, skazani działacze wypuszczeni na przepustkę –

wszyscy oni przychodzili do kancelarii przekonani, że nikt się nie dowie o ich obecności. Tymczasem ich twarze i tożsamość szybko rejestrowano, po czym informacja trafiała do państwowych służb bezpieczeństwa.

Pewnego popołudnia przyszedł do mnie klient, którego przez jakiś czas przetrzymywano w więzieniu za przestępstwo polityczne. Wolno odłożył płaszcz i parasol na krzesła przy drzwiach. Na jego twarzy malowała się powaga.

– Kiedy mijałem kiosk – odezwał się – zobaczyłem jednego ze śledczych mojego Trybunału Rewolucyjnego. Był w środku, rozmawiał z kioskarzem. Wszędzie rozpoznałbym tę twarz.

To utwierdziło mnie w przekonaniu, że moje podejrzenia były słuszne. Rejestrowano każde moje wejście i wyjście z domu. Agent bezpieczeństwa stał na czatach, a jego jedynym zadaniem było obserwować mnie i meldować o każdym moim ruchu.

8.
Fatwa, czyli tarcza

Minęła zima, do Teheranu wróciła wiosna. Śnieg w górach Elburs stopniał, ale w polityce mróz i ciemność tylko się pogłębiały. Gdzieś w tym okresie władze zmusiły Dżawada do przejścia na emeryturę. Po 30 latach pracy formalnie już mu ona przysługiwała, ale nie zamierzał jeszcze odchodzić. Tryskał energią, zdrowie mu dopisywało, lubił swoje zajęcie. Z pewnością mógłby przepracować jeszcze pięć, może nawet dziesięć lat na stanowisku starszego inżyniera. Tymczasem pewnego dnia został wezwany do działu kadr, gdzie urzędnik oświadczył, że firma kieruje go na emeryturę – ze skutkiem natychmiastowym. Jak wyjaśnił szef kadr, - Ministerstwo Wywiadu dyskretnie zasygnalizowało, że ma to związek z moją działalnością.

Dżawada ta decyzja nie załamała, ale też nie uszczęśliwiła. Choć nie oznaczała dla niego końca aktywności zawodowej – wciąż mógł pracować jako konsultant – ogromnie mnie przygnębiła i spowodowała wyrzuty sumienia. Przez moją pracę mąż został bez. Po raz kolejny na własnej skórze odczuwał skutki moich decyzji i wyborów; po raz kolejny też musiał zaakceptować bolesny kompromis, co czynił bez wyrzutów. Próbowałam mu to zrekompensować, planując wspólną podróż do Rosji. Po odejściu z firmy jednak życie Dżawada się zmieniło. Próbował założyć jakąś spółkę, ale nic z tego nie wyszło i w rezultacie zrezygnował z pracy zawodowej wcześniej, niż planował. To był jeden z pierwszych sygnałów, że państwo nie pozwoli nam wspólnie cieszyć się dostatkiem.

Siedziałam przy biurku, sącząc pierwszą poranną kawę, kiedy zadźwięczał dzwonek. Niedawno w Teheranie władze aresztowały siedmiu przywódców bahaizmu, co do głębi wstrząsnęło wiernymi. Iran utrudnia życie mniejszościom religijnym, które toleruje: chrześcijanom, żydom i sunnitom. Bahaiści jednak – uważani przez Republikę Islamską za heretyków – musieli się liczyć z brutalnymi prześladowaniami. Bahaizm narodził się w Iranie 200 lat temu, jego twórcą był prorok Baha Allah. Religia ma dziś na świecie 5 milionów wyznawców, z czego 350 tysięcy mieszka w Iranie, stanowiąc tu największą mniejszość religijną. Republika Islamska nie tylko potępia bahaizm, ale także uniemożliwia bahaistom zajmowanie stanowisk rządowych, odmawia im zezwoleń na otwieranie lokali gastronomicznych i fryzjerskich, nie dopuszcza młodych na studia. Od 1979 roku wykonano na bahaistach ponad 200 egzekucji, a jedyną winą skazańców była ich wiara.

Kiedy aresztowano przywódców tej społeczności, żaden prawnik nie odważył się ich bronić. W środowisku prawniczym Republiki Islamskiej bahaizm stanowi ziemię niczyją. Nikt, nawet adwokaci broniący feministek i działaczy na rzecz demokracji, nie podejmie się reprezentowania bahaistów. To zbyt drażliwa sfera, gdzie systemowa nienawiść jest głęboko zakorzeniona. Nic dziwnego, że prawnicy obawiają się konsekwencji swojej decyzji. Dlatego rodziny uwięzionych zwróciły się do mnie, a ja zgodziłam się przyjąć sprawę.

Tuż po tym kolejne strony internetowe twardogłowych zaczęły donosić, jakoby moja córka Nargess przeszła na bahaizm. Republika Islamska przyjmuje surową interpretację prawa koranicznego, uznając odejście od religii za apostazję, co jest karane śmiercią. Te „rewelacje” traktowałam jako przygrywkę do informacji o moim odstępstwie od wiary. Władze

próbowały mnie zastraszyć, bym zrezygnowała z obrony bahaistów, lub zastawiały na mnie jakąś pułapkę.

Zdawałam sobie sprawę, że weszłam na bardzo niebezpieczny grunt i muszę wykazać się kreatywnością. Skontaktowałam się z wielkim ajatollahem Hosejnem Alim Montazerim, ważnym duchownym, niegdyś typowanym na następcę Chomejniego, ale pod koniec lat 80. pozbawionym wpływów za krytykę masowych egzekucji dysydentów. Z czasem Montazeri stał się bodaj najbardziej liberalnym duchownym w Iranie, choć reżim prześladował go i na dobrą sprawę trzymał w areszcie domowym. Wystosowałam więc do niego pismo, pytając otwarcie, czy islam zezwala, by muzułmanka broniła bahaisty oskarżonego o szpiegostwo. W odpowiedzi otrzymałam od ajatollaha fatwę, w której potwierdzał, że tak, jest to możliwe. Posunął się wręcz do twierdzenia, że jeśli dany muzułmanin jest przekonany o niewinności bahaisty, ma nie tylko prawo, ale wręcz obowiązek – *vajeb* – podjąć się jego obrony.

Prokurator oświadczył, że pozwani będą mogli spotkać się z adwokatem dopiero po zakończeniu śledztwa; co więcej, nie udostępniono mi akt sprawy, nie znałam nawet zarzutów, jakie stawiano aresztowanym bahaistom. Regularnie odwiedzałam głównego śledczego, próbując zdobyć informacje o swoich klientach, ale on odrzucał moje apele. W czasie jednej z wizyt wreszcie nie wytrzymał:

– Przecież jest pani muzułmanką. Jak może pani bronić wyznawców bahaizmu?

– Bronię ich właśnie dlatego, że jestem muzułmanką, nie bahaistką. Wierzę w wolność religijną, a islam broni tego prawa.

Mężczyzna spojrzał na mnie lodowato, ale milczał, więc uznałam to za zachętę, by kontynuować.

– Czyż nie zapisano w Koranie: „O Mahomecie, mów niewiernym: ja nie czczę waszego Boga, a wy nie czcicie mojego. Zachowajcie dla siebie swą wiarę, a ja też zachowam swoją dla siebie”? Jak zatem rozumieć to nauczanie Koranu?

– Żałuję, że prawo na to nie zezwala. Gdyby prawo mi na to zezwalało, nie miałbym litości nawet nad ich dziećmi. Mieszają w głowach naszej młodzieży.

Mniej więcej po roku moim klientom pozwolono spotkać się z rodzinami, ale mnie wciąż do nich nie dopuszczono. Krewni, którzy z nimi rozmawiali, przekazali, że agenci bezpieczeństwa, łącznie z głównym śledczym, obiecali aresztowanym wyrozumiałość w sądzie, jeśli zmienią obrońcę.

Moi klienci się nie zgodzili i musieli spędzić w więzieniu jeszcze kilka miesięcy, zanim wreszcie pozwolono mi zapoznać się z dokumentami. Prokuratura oskarżyła ich o szpiegostwo na rzecz Ameryki i Izraela oraz - spisek przeciwko bezpieczeństwu narodowemu. W aktach nie znalazłam jednak żadnych dowodów ani nawet argumentów czy domysłów, które wskazywałby na ich winę. Nie ulegało wątpliwości, że są karani za swoje poglądy religijne. Ponieważ jednak wyrok za wiarę spotkałby się z międzynarodowym potępieniem, rząd wymyślił zarzut szpiegostwa. Formalnie irański kodeks karny nie traktuje wyznawania bahaizmu jak przestępstwa. Sąd nie miał też żadnych dowodów na szpiegostwo podejrzanych. Siódemka przywódców bahaistów powinna wyjść na wolność. Tymczasem irański sąd skazał ich wszystkich – pięciu mężczyzn i dwie kobiety – na 20 lat więzienia, gdzie przebywają do dziś.

Był środek lata. Klimatyzatory w sąsiedztwie pracowały pełną parą. Ich buczenie docierało nawet do mojej kancelarii. Czytałam e-mail od córki, sącząc kwaśny sok wiśniowy. Zastanawiałam się, czy do niej zadzwonić, i obliczałam w myślach, która godzina jest teraz na wschodnim wybrzeżu. Ostry dźwięk dzwonka wyrwał mnie z zadumy. Nie spodziewałam się żadnych gości. Odczekałam chwilę, zanim wstałam, by odebrać.

– Tak?

– Mahdawi z Ministerstwa Wywiadu. Ma pani chwilę?

Oparłam się o futrynę. Szybko zastanawiałam się, co zrobić. Mahdawi nigdy nie przychodził bez uprzedzenia, a tego popołudnia byłam w kancelarii sama. Sięgnęłam po chustę, zarzuciłam ją na głowę i wpuściłam agenta. Wkroczył w towarzystwie drugiego mężczyzny.

– To mój współpracownik, pan Mahmudi. Przejmuje po mnie pani teczkę.

Mahmudi wyglądał na trzydzieści kilka lat, miał jasnobrązowe oczy, jasną cerę i krótki zarost pobożnego muzułmanina, noszony obowiązkowo przez wszystkich urzędników państwowych. Zapach jego wody kolońskiej dotarł do mnie szybciej niż on. Pewnie spryskał się tuż przed wyjściem z samochodu. Teraz z pewnym rozczarowaniem wodził wzrokiem po moim gabinecie, jakby spodziewał się czegoś większego, bardziej efektownego. Nosił buty z wąskimi noskami, typowe dla prostych Irańczyków, którzy starali się naśladować szyk miejskich elegancików.

– Jak się pani miewa? – zagaił Mahmudi, kiedy już zaparzyłam herbatę.

– Bardzo dobrze, dziękuję.

Musiałam się pilnować, by nie zapleść ramion, co mogłoby zostać uznane za przejaw konsternacji.

– Przyszedłem porozmawiać o pani działalności. Zechciałaby pani wyjaśnić, co właściwie pani robi i do czego to zmierza? Sądziliśmy, że

zajmuje się pani przede wszystkim prawami człowieka. Teraz jednak dowiadujemy się, że przekazuje pani jakieś raporty Organizacji Narodów Zjednoczonych. Co tu naprawdę się wyprawia?

– Cóż, po pierwsze wysyłam raporty do najróżniejszych organizacji – odparłam. – Osobiście nie widzę nic złego we współpracy z ONZ, więc nie zamierzam się z tego tłumaczyć.

– To zmienia charakter pani działalności na polityczny. Nie wystarczy, że będzie pani opracowywać swoje raporty i na tym koniec?

– Skoro współpraca z ONZ jest tak godna potępienia, to dlaczego irański rząd należy do tej instytucji? I dlaczego irański MSZ utrzymuje z nią tak ożywione kontakty? Dlaczego mamy tam nawet swojego ambasadora?

– Nie przyszedłem rozmawiać o ambasadorach – uciął. – Proszę mi też wytłumaczyć, dlaczego ingeruje pani w kwestie związane z wyborami? To sfera polityki, do której nie należy się wtrącać.

Centrum Obrony Praw Obywatelskich założyło komitet, mający promować wolne i sprawiedliwe wybory. Działał on na identycznych zasadach jak Unia Międzyparlamentarna, międzynarodowa organizacja skupiająca parlamentarzystów poszczególnych państw, do której należał również Iran. Komitet przez dwa lata obserwował wybory i znalazł liczne przykłady naruszenia ordynacji, o których poinformował Unię. Rząd oczywiście nie był zachwycony.

Próbowałam wytłumaczyć swojemu nowemu „opiekunowi”, że do budowy zdrowej demokracji potrzebujemy uczciwych wyborów. Ich brak grozi wybuchem niezadowolenia społecznego i kolejnej rewolucji.

Mahmudi beznamiętnie słuchał mojego wywodu, palcami bębniąc w stół. Oczy mu pociemniały, gdy wspomniałam o ewentualności nowej rewolucji.

– Dobra. Przejdźmy do kolejnej organizacji, Krajowej Rady Pokoju. Co to właściwie jest? Znowu jakaś odnoga pani działalności? Tyle ich pani pozakładała.

– Walka o prawa człowieka nie ma sensu bez wysiłków na rzecz pokoju. Kiedy toczy się wojna albo ludzie żyją w obawie przed nieuchronnym konfliktem, nie sposób skupić się na prawach, takich jak wolność słowa czy dostęp do oświaty. Każdy myśli tylko o tym, jak przeżyć. Dlatego pokój i prawa człowieka są nierozerwalnie związane.

– Przecież w Iranie panuje pokój. Moim zdaniem to zwykła strata czasu – odparł.

Nie wiedziałam, jak głęboko się zapuścić. Czy naprawdę powinnam zafundować agentowi służb bezpieczeństwa krótki wykład o prawach człowieka oraz ich niezbywalnej i egzystencjalnej naturze? Żądał wyjaśnień, a ja nie znałam innego języka, którym mogłabym to wytłumaczyć. Chciał – lub udawał, że chce – zrozumieć, na czym polega ścisła więź między respektowaniem praw człowieka, demokracją a zapobieganiem konfliktom, ale taka rozmowa wymaga choć skrawka wspólnego gruntu albo – to już absolutne minimum – takiego samego rozumienia tych pojęć. Mężczyzna wiercił się niecierpliwie, odsuwał krzesło, jakby chciał w ten sposób zwiększyć dystans między nami. Postanowiłam więc uprościć swój wywód i posłużyć się porównaniem do jego pracy.

– Zupełnie mi nie zależy na wpływach politycznych. Nie to jest celem pracy w obronie praw człowieka. Wiem, że moi współpracownicy uważają podobnie. Nie działamy wspólnie z żadnym ugrupowaniem opozycyjnym ani w jego interesie; żadnego z nich też nie wyróżniamy ani nie okazujemy mu szczególnego wsparcia. Troszczymy się tylko o to, by ludzie mogli żyć swobodnie i by respektowano przynależne im prawa.

Zaczęłam opisywać mu osoby, które przyłączyły się do Krajowej Rady Pokoju. Opowiadałam, że są wśród nich filmowcy, pisarze, lekarze i naukowcy. Założyliśmy Radę za prezydentury George'a W. Busha, którego rząd nieustannie groził wojną z Iranem. Ledwo o tym wspomniałam, Mahmudi stracił cierpliwość i przerwał mi gwałtownie.

– Niech pani wszystkich ich wyrzuci ze swego biura i zabroni tu wracać – mówił podniesionym głosem. – Jasne?

– Jak pan może w ogóle tak mówić? To zasłużeni obywatele, wybitne osobistości, chluba naszego społeczeństwa. Nie śmiałabym zrobić czegoś takiego.

Parsknął zniecierpliwiony.

– Owe osobistości, które pani tak szanuje, to zera. Jeśli ich pani wykopie, rozpłyną się i znikną niczym śnieżna kula w promieniach słońca. Czują się silni, bo kryją się pod pani parasolem.

W myślach dźwięczała mi odpowiedź: „I wtedy będziecie zadowoleni? Zostawicie mnie w spokoju, pozwolicie robić swoje? Przestaniecie mnie nękać i śledzić każdy mój ruch?", ale ostatecznie tylko zbyłam go szorstko:

– Proszę pana, ośrodek nie stanowi mojej własności. Przekazałam swoje prawo własności jako darowiznę i to zarząd decyduje, kogo tu wpuszcza, nie ja.

– Ma pani może gdzieś pod ręką akt darowizny? – spytał, uśmiechając się z fałszywą słodyczą.

– Ilekroć odmawia pan poranną modlitwę albo pości w okresie ramadanu, czy otrzymuje pan pokwitowanie? Ma pan dokument, że pan pościł? – Teraz to ja podniosłam głos. – Ofiarowałam ośrodkowi to biuro, ponieważ w moim systemie wartości obrona praw człowieka jest równoznaczna z oddawaniem czci Bogu.

Na te słowa zerwał się i skierował do wyjście. Otwierając drzwi, odwrócił się jeszcze i spojrzał mi prosto w oczy.

– *Inszallah*, wkrótce znowu się spotkamy.

Następnego dnia spotkałam się w biurze ze swoimi współpracownikami i zrelacjonowałam im rozmowę. Wszyscy zgodnie uznali, że chroni mnie mój międzynarodowy prestiż noblistki; służby bezpieczeństwa nie odważą się wszcząć przeciwko mnie żadnych działań, więc należy zignorować ich pogróżki. Kontynuowaliśmy zatem działalność. Przyjmowaliśmy kolejne sprawy, całymi popołudniami ślęczeliśmy w biurze i przy kawie snuliśmy plany na przyszłość, układaliśmy strategię.

Ja ze swej strony zaś postanowiłam dowiedzieć się jak najwięcej o Mahmudim, mężczyźnie, który uważał się za moją nemezis. Wiedziałam, że oczywiście to nie było jego prawdziwe nazwisko. Często wyobrażałam sobie, jak siedzi, rozmyślając, jakby tu mnie złamać, doprowadzić do upadku. Choć prawdopodobnie kierował komórką odpowiedzialną za inwigilację najaktywniejszych działaczy i prawników-dysydentów, miał obsesję na moim punkcie. Od lat broniłam ludzi prześladowanych przez państwo i nigdy jeszcze nie trafiłam na agenta, który całą karierę podporządkowałby zniszczeniu jednej, upatrzonej ofiary. Przez lata przesłuchiwał tylu moich współpracowników, najczęściej pytając o mnie, drążąc, co kombinuje „Szirin”, że już wcześniej stworzyłam sobie w wyobraźni jego wizerunek. Koniecznie chciał poznać w najdrobniejszych szczegółach moje życie i mój charakter. W czasie przesłuchań zawsze mówił o mnie „Szirin”, jakby chciał podkreślić, jak mało znaczę. Nie raczył nawet dorzucić grzecznościowego *chanom*, nie używał też mojego

nazwiska. Przypuszczam, że w ten sposób sugerował swoją zażyłość ze mną, pokazywał, że on jest wielki, a ja jestem nikim.

Pracował w Ministerstwie Wywiadu, w komórce odpowiedzialnej za „teczki bezpieczeństwa” poświęcone osobom takim jak ja: aktywistom, krytykom władzy, ludziom postrzeganym jako wrogowie. Niewielki wzrost i jasnobrązowe włosy świadczyły, że mógł mieć azerskie lub tureckie korzenie. Już w młodości wstąpił do bojówek. Moi współpracownicy, którzy potrafili odróżnić regionalizmy fonetyczne, mówili, że pochodził z Urmii, stolicy ostanu Azerbejdżan Zachodni. Czuł się dotknięty, gdy nazywano go śledczym. Uważał, że nie oddaje to jego rangi. Sam określał siebie mianem „specjalisty”, a nawet „agenta wywiadu”. Podczas przesłuchań często papugował aresztowanych. „Żądam prawnika” – kpił, naśladując sposób mówienia ofiary. „Chcę zadzwonić do rodziny...”, „Ja tylko proszę, by respektować moje prawa”. Mahmudi był żonaty, miał córkę. Wiedziałam o tym, bo raz przerwał przesłuchanie, by odebrać telefon. Rozmawiał wtedy łagodnie z małą dziewczynką, obiecując, że da jej coś po powrocie do domu.

Jego obsesja na moim punkcie nie ustępowała.

Nie masz pojęcia, jaka nienawiść płonie w jego oczach, ilekroć wypowiada twoje imię – zwierzała mi się koleżanka, którą Mahmudi wielokrotnie przesłuchiwał, próbując wyciągnąć z niej szczegóły na mój temat. – Masz coś, co odbiera jako osobistą obrazę – ciągnęła. – Coś, na czym najwyraźniej strasznie mu zależy. Pozycję społeczną. Prestiż. Jest wściekły, że to wszystko osiągnęłaś.

Mahmudi postanowił za wszelką cenę mnie pogrążyć. Zaczął jednak od drobnych aktów sabotażu.

Na 10 grudnia 2008 roku moja organizacja zaplanowała obchody 60-lecia uchwalenia *Powszechnej deklaracji praw człowieka*. Rezolucja ogłoszona przez Zgromadzenie Ogólne ONZ w 1948 roku, wkrótce po zakończeniu II wojny światowej, miała chronić podstawowe prawa człowieka na całym świecie. Zaprosiliśmy 100 osób, wypożyczyliśmy namiot, krzesła i grzejniki, które rozstawiliśmy na dużym, otulonym drzewami tarasie biura. Zgodnie z tradycją zamierzaliśmy też wyróżnić aktywnego irańskiego obrońcę demokracji i bojownika o wolność słowa. Owego roku nagrodę miał otrzymać Ezzatollah Sahabi, jeden z najbardziej zasłużonych irańskich działaczy, orędownik praw politycznych i obywatelskich, który właśnie kończył 78 lat.

Nasza sekretarka Dżinus, młoda bahaistka, przyszła wcześniej, by wraz z grupką współpracowników udekorować biuro, rozstawić krzesła i ułożyć kwiaty. Wchodząc do budynku, zauważyłam ciemne peugeoty stojące przed wejściem w miejscu, gdzie obowiązywał zakaz parkowania. Drzwi frontowe były szeroko otwarte. Szybko wbiegłam po schodach. Drzwi biura też były uchylone. Weszłam.

– Przyszła *chanom* Ebadi! – zawołała Dżinus.

Natychmiast podbiegła do mnie Narges Mohammadi, jedna z moich najbliższych współpracowniczek, dobijająca czterdziestki obrończyni praw człowieka, której mąż – dziennikarz – ostatnią dekadę głównie przesiedział w więzieniu.

– Szirin! Przyszli zamknąć biuro. Każą nam natychmiast opuścić lokal, żeby zaplombować wejście.

– Co się dzieje? Przecież nie robimy niczego złego!

Z korytarza wynurzyło się dwóch agentów w ciemnych garniturach.

– Niestety, na rozkaz Trybunału Rewolucyjnego mamy natychmiast zaplombować biuro.

– Macie nakaz prokuratorski? Kto w ogóle was upoważnił, by wkroczyć do biura?

– Drzwi były otwarte, więc weszliśmy. Nie mamy pisemnego nakazu, ale prokurator wydał nam ustny rozkaz.

– Nie przyjmuję tego do wiadomości – oświadczyłam, blokując wyjście na taras.

Wyższy agent, z jaskrawoczerwoną wysypką pod szczeciną, położył dłoń na biodrze, gdzie – wiedziałam doskonale – ukrywał broń.

– Nie chcemy kłopotów, nie zamierzamy nikogo aresztować. Niech pani jednak nie robi sobie złudzeń: planowana uroczystość nie dojdzie do skutku. Mamy zaplombować biuro. Otrzymaliśmy rozkazy z samej góry.

Wiedziałam, że nie blefuje. W Republice Islamskiej rozkazy Ministerstwa Wywiadu i aparatu bezpieczeństwa stanowiły najwyższe prawo. Często prowadziłam sprawy osób, które stawiały opór, żądając przedstawienia nakazu aresztowania. Prawie zawsze agenci bili je, siłą wywlekali z domu, a mieszkanie plądrowali. Agent, który stał przede mną z dłonią na kaburze, mógł zrobić, co tylko chciał, i nawet nie otrzymałby reprymendy. On o tym wiedział i ja też.

Z pomieszczenia w głębi biura wynurzył się trzeci agent. W ręku trzymał kamerę, którą zaczął filmować pokój, dokumenty na biurku, fotografie na ścianach, paprotkę w rogu, a wreszcie skierował obiektyw na nasze twarze.

– Jest pan reżyserem? Niech pan zrobi, co do pana należy, i się stąd wynosi – warknęłam.

Dżinus wyjęła z biurka kamerę, przygotowaną właśnie na takie sytuacje – by później mieć materiał w sądzie. W oczach wezbrały jej gniewne łzy. Otarła je rękawem, włączyła kamerę i podsunęła pod nos agenta z obiektywem.

– To ja też cię sfilmuję! – zawołała.

Mężczyzna zgłupiał. Obejrzał się na swojego przełożonego, który odwrócony plecami do nas rozmawiał przez komórkę i nie zauważył tej wymiany zdań.

– Natychmiast wyłącz kamerę! – ryknął tamten, podchodząc do Dżinus.

– Skoro filmowanie jest zakazane, to dlaczego to robisz? – odparowała, przejeżdżając kamerą po twarzach wszystkich agentów. W tym momencie zebrało się ich co najmniej sześciu.

– Skuć ją! – rozkazał kamerzysta kumplom.

Wiedziałam, że za nic nie mogę dopuścić do aresztowania Dżinus. Jeśli trafi na komisariat, szybko wyda się, że jest bahaistką. To zaś mogłoby się dla niej skończyć wieloletnim więzieniem.

– Dżinus, proszę, przestań – powstrzymałam ją, kładąc dłoń na jej ramieniu.

Kiedy agent podszedł, spokojnie podała mu kamerę, ale ręce jej się trzęsły.

W czasie tej scysji zaczęli napływać pierwsi goście. Nerwowo rozglądali się po pomieszczeniu. Jeden z nich powiedział, że kordon agentów bezpieczeństwa zastawił wejście do budynku. Z zewnątrz dobiegały krzyki.

– Nic z tego! – ryczał jakiś mężczyzna. – Skończyliśmy waszą zabawę! Cofnąć się!

Podbiegłam do okna i zobaczyłam kłębowisko ciał. Wśród nich kobiety zaproszone na uroczystość nacierające na drzwi. Kiedy funkcjonariusze

odpychali je, jedna z nich – reżyserka – potknęła się i upadła na wznak. - Jakiś mężczyzna stawiał opór, wymachując rękami. Jeden z agentów chwycił go za ramiona, drugi skuł go i wepchnął do samochodu. Wozy policyjne zablokowały już ulicę z obu stron.

Główny agent ostentacyjnie odchrząknął.

– Opuścicie biuro? Prosiliśmy grzecznie, ale jeśli sami nie wyjdziecie, wyrzucimy was.

Do środka weszli kolejni funkcjonariusze, ustawiając się po obu stronach nerwusa, który – zdaje się – nimi dowodził.

Zdenerwowana przetrząsałam torebkę w poszukiwaniu komórki. Wybrałam numer najbliższego posterunku policji.

– Potrzebuję pomocy – wydyszałam, kiedy odebrał komendant. – W moim biurze pojawili się jacyś mężczyźni. Nawet nie mają nakazu, a wkroczyli do prywatnego lokalu i próbują wyrzucić mnie oraz moich współpracowników.

Agenci przysłuchiwali się temu, nie kryjąc wściekłości. Przycisnęłam słuchawkę, żeby nie dotarły do nich słowa komendanta, tłumaczącego, że opór nie ma sensu.

– Nie pomożemy wam – mówił. – Rozkaz przyszedł prosto z Ministerstwa Wywiadu.

Powiodłam wzrokiem po agentach. Rozdrażnieni i zniecierpliwieni krążyli po biurze, rozrzucając papiery. Kiedy zobaczyłam bladą jak ściana twarz Dżinus, uświadomiłam sobie, że awanturując się, narażę ją, innych młodych współpracowników, a także naszych gości na prawdziwe niebezpieczeństwo. Mnie nie odważą się aresztować. Ale co z pozostałymi? Ruchem dłoni przywołałam Dżinus, Narges i resztę.

– Wiem, że to trudne, ale musimy odpuścić. Nie mamy wyjścia – powiedziałam cicho.

Rozeszliśmy się po biurze, wyłączając sprzęt: komputery i promienniki na tarasie. Całą resztę – przekąski, napoje i dekoracje – zostawiliśmy. Opuściliśmy biuro, a agenci zaplombowali za nami drzwi. Rozpędzili też gości zebranych na zewnątrz. Zapadał zmrok, długie cienie kładły się na samochodach policyjnych wciąż stojących na ulicy. Przez ułamek sekundy zastanawiałam się, czy ktoś zjawi się jutro i pocałuje klamkę, czy też wiadomość lotem błyskawicy rozniesie się wśród działaczy i w środowisku obrońców praw człowieka.

Irańskie organizacje pozarządowe wolały nie przyjmować zagranicznych darowizn ani wsparcia finansowego, bo to natychmiast zdyskredytowałoby je w oczach państwa i doprowadziło do ich likwidacji, dlatego też najczęściej działały w prywatnych mieszkaniach. Centrum Obrony Praw Obywatelskich jako jedyny NGO z dużym biurem stało się miejscem spotkań osób zaangażowanych w walkę o równouprawnienie kobiet, ochronę środowiska czy inne kwestie leżące im na sercu; bezpiecznym miejscem, gdzie ludzie starający się budować społeczeństwo gromadzili się, by dyskutować i wymieniać informacje. Najchętniej siadywali na przestronnym tarasie, paląc i gawędząc. Wielu nazywało go „stołówką praw człowieka”. Dlatego zamykając naszą siedzibę, władza nie tylko pozbawiła biura kilku prawników walczących o prawa człowieka, lecz także zlikwidowała w ten sposób główny ośrodek życia intelektualnego i towarzyskiego teherańskich aktywistów. I może to był jeden z powodów dzisiejszej operacji. Na samą myśl o tym owładnęło mną zniechęcenie. Zadarłam głowę i załamana spojrzałam na ciemne okna Centrum, w których odbijał się neon banku mieszczącego się na parterze.

Zawsze starałam się budować. Szukałam dróg, by budzić świadomość, czym są prawa człowieka i dlaczego tak wiele znaczą. Taką po prostu mam naturę. Przeszkody zwykle stanowią dla mnie bodziec, by nie ustępować,

przeć przed siebie. Tego wieczoru jednak, stojąc na ulicy przed zaplombowaną siedzibą Centrum – jedynego w Iranie ośrodka walki o prawa człowieka – pozwoliłam sobie na chwilę słabości i myśl, jak trudną misję wybrałam.

Choć tamtego wieczoru robiłam, co w mojej mocy, by osłonić Dżinus, tydzień później władze odkryły, że jest wyznawczynią bahaizmu. Została aresztowana w domu. Spędziła rok w więzieniu, a wkrótce po wypuszczeniu jej na wolność agenci zgarnęli jej ojca – wyłącznie ze względu na jego wiarę.

Musieliśmy też zmagać się z drobnymi uciążliwościami. Cały sprzęt wynajęty na uroczystość – namiot, duże promienniki i krzesła – wciąż znajdował się w zaplombowanym biurze, a my musieliśmy co dzień pokrywać koszty wypożyczenia. Kontaktowałam się z najróżniejszymi instancjami, prosząc, by umożliwiono nam jego zwrot. Po dwumiesięcznej zabawie w kotka i myszkę w końcu dostaliśmy godzinę na oczyszczenie pomieszczeń. Władze nigdy nie upubliczniły zarzutów, które postawiły Centrum Obrony Praw Obywatelskich, nigdy nie skierowały sprawy do sądu ani nie udostępniły mi dokumentacji, żebym chociaż zobaczyła, o co nas oskarżono. Prowadzący śledztwo oświadczył jedynie, że dowody są tajne i może przedstawić je wyłącznie sądowi, z którym oczywiście nigdy nie skonsultowano się w tej kwestii.

Niedługo po tym, jak władze na godzinę wpuściły nas do biura, wpadłam na ulicy na zarządcę budynku. Było wietrzne popołudnie, gwałtowne podmuchy podrywały śmieci z chodnika. Znad sterty bobu,

gotowanego przez ulicznego sprzedawcę przy kiosku, w którym właśnie kupowałam gazetę, unosiła się para.

– *Chanom* Ebadi, dobrze, że panią spotkałem – zagaił administrator. – Chciałem pani coś powiedzieć. Pewnego wieczoru, już po zaplombowaniu pani biura, pewnie koło 20, bo właśnie wracałem do domu, zauważyłem, jak dwóch mężczyzn otwiera zapieczętowane drzwi. Rozpoznałem ich, bo to ci sami, którzy w ubiegłym roku wynajęli mieszkanie obok pani. Prawie tam nie bywali, ale i tak ich zapamiętałem. Zwróciłem im uwagę, że biuro zostało zaplombowane przez urzędników państwowych, a w ogóle to nie jest ich lokal i kto im pozwolił łamać oficjalną plombę. Wtedy pokazali legitymacje rządowe. Oświadczyli, że pracują w wywiadzie i mogą tam wejść. Zabronili komukolwiek wspominać o tym spotkaniu, ale uznałem, że powinna pani o tym wiedzieć.

– Bardzo panu dziękuję – odparłam zamyślona. Zawsze łączyły nas dobre stosunki. Zarządca był porządnym człowiekiem, a teraz jeszcze bardziej doceniałam jego uczciwość.

– Lepiej już pójdę – powiedział, machając mi na pożegnanie i szybko rozpływając się w tłumie teherańczyków robiących popołudniowe zakupy.

Ja tymczasem stałam jak skamieniała. Odprowadzałam go wzrokiem i wciąż chłonęłam jego słowa. Oznaczało to ni mniej, ni więcej, tylko że co najmniej od ośmiu miesięcy – od kiedy wynajęto sąsiednie mieszkanie – Ministerstwo Wywiadu działało tuż obok nas. Najprawdopodobniej zainstalowało podsłuch, nagrywając setki naszych prywatnych rozmów, rejestrując najintymniejsze zwierzenia klientów. Świadomość, że Ministerstwo Wywiadu tuż za moją ścianą urządziło sobie stanowisko podsłuchowe, wzbudziła we mnie niewyobrażalną wręcz wściekłość. Nie dlatego, że podsłuchiwało – tego się spodziewałam – ale dlatego, że postanowiło nas zniszczyć, choć doskonale wiedziało, co robimy. Skoro

słyszało wszystkie nasze rozmowy, wiedziało, że nie planujemy zamachu ani nie spiskujemy przeciwko rządowi. Prowadziliśmy wyłącznie działalność humanitarną, broniąc praw człowieka. A oni i tak zlikwidowali naszą siedzibę.

9.
Osanona

Zlikwidowawszy biuro Centrum Obrony Praw Obywatelskich – a w każdym razie pozbawiwszy nas formalnej siedziby – władze sądziły, że położyły kres naszej działalności. Tymczasem my niemal natychmiast przenieśliśmy się do mojej kancelarii adwokackiej. Miejsca nie było dużo: dwa pokoje i recepcja, ale wstawiliśmy więcej biurek i pracowaliśmy normalnie.

Pewnego popołudnia, kiedy właśnie siedzieliśmy przy drewnianym stole konferencyjnym, omawiając prowadzone sprawy, ktoś zadzwonił do drzwi. Przed kancelarią stało dwóch skwaszonych ponuraków koło 50, w znoszonych granatowych spodniach.

– Jesteśmy z urzędu podatkowego. Chcemy skontrolować lokal – oświadczył jeden z nich.

– Czy to naprawdę konieczne? I od kiedy to urząd skarbowy kontroluje biura?

Rzekomi pracownicy skarbówki przedstawili pismo upoważaniające ich do inspekcji mojej kancelarii.

– Cóż, niech będzie. Proszę wejść – westchnęłam.

Ich papier na dobrą sprawę stanowił nakaz rewizji. Ku skrywanemu rozdrażnieniu, ale i rozbawieniu moich kolegów przeszukali wszystkie pomieszczenia, zajrzeli w najmniejszy kąt, po czym się wynieśli. Napisałam skargę do Ministerstwa Finansów, ale nie doczekałam się reakcji.

Tydzień później mężczyźni wrócili. Teraz ewidentnie widać było, że to agenci służb bezpieczeństwa podający się za pracowników skarbówki. Tym razem już w progu oświadczyli, że mają pismo ministra finansów

upoważniające do konfiskaty różnych dokumentów niezbędnych do przeprowadzenia dogłębnego audytu.

– Nie pozwolę zabrać żadnych papierów – odparłam. – To poufne materiały prawne, nie mają nic wspólnego z podatkami ani księgowością. Klienci ufają mi, przychodzą do mnie jako do swojego prawnika i zdradzają intymne szczegóły swojego życia. Nie udostępnię wam tych akt.

– Przykro nam, ale posiadamy też nakaz sądowy – oznajmił wyższy, wyciągając kolejną kartkę.

– Żałuję – obstawałam przy swoim – ale muszę strzec prywatności swoich klientów.

– Za to my możemy zrobić, co tylko chcemy. Nie ma pani nad nami żadnej władzy – stwierdzili, wpychając się do środka.

I tym razem zadzwoniłam na policję.

– W mojej kancelarii są złodzieje! – powiedziałam. – Grożą mi, próbują zabrać moją dokumentację! Proszę, przyjedźcie jak najszybciej!

Nie minęło kilka minut, a rozległo się wycie syren policyjnych. Dwóch funkcjonariuszy – jednym z nich okazał się komendant – wpadło do kancelarii. Kiedy komendant zobaczył „urzędników skarbowych” i porozmawiał z nimi, zaatakował mnie rozjuszony:

– To urzędnicy państwowi! Okłamała mnie pani! Dlaczego?

– Bo dla mnie to złodzieje. Zgodzę się, by wynieśli stąd dokumenty tylko wtedy, jeśli pan, jako komendant policji, w urzędowym protokole potwierdzi, że akta zabrano mimo mojego protestu i zdecydowanego sprzeciwu.

Zgodził się. Sporządziliśmy formalny protokół, a agenci wynieśli dwa pudła dokumentów, które przykuły ich uwagę. Zarekwirowali też twardy dysk mojego komputera. Naturalnie kontrola skarbowa stanowiła wyłącznie pretekst. Tak naprawdę liczyli, że wśród dokumentów znajdą jakikolwiek

dowód na nadużycia krytyków systemu albo choć jeden świstek pozwalający oskarżyć mnie o szpiegostwo; o to, że utrzymuję kontakty z obcokrajowcami; że jakiś odległy rząd finansuje moją działalność; że amerykański rząd co miesiąc przelewa na jakieś moje wyimaginowane konto wynagrodzenie za obronę irańskich więźniów politycznych.

Przez cały miesiąc podnosiłam rwetes, na prawo i lewo udzielając wywiadów, głośno skarżąc się na konfiskatę dokumentów. Dopiero wtedy przysłali pismo, informując w zaledwie dwu linijkach, że mogę odebrać materiały.

Szykany, nieustanna inwigilacja – reżim imał się coraz to nowych sposobów, by utrudnić mi pracę i mnie zastraszyć. Właściwie było tak od samego początku, od kiedy po triumfie rewolucji podjęłam swoją działalność, ale tylko ślepy by nie widział, że rząd dokręca śrubę. Zauważyłam, że Dżawad stał się ostrożniejszy. Co wieczór przed snem dwu-, a nawet trzykrotnie sprawdzał, czy drzwi wejściowe są zamknięte na zasuwę. Wydawało mi się też, że mocniej posiwiał. Odnosiłam również wrażenie, że coraz częściej popadał wieczorami w zadumę, głośno stukając ołówkiem w gazetę. Może należało z nim o tym porozmawiać? Spytać, jak znosi narastające napięcie? Sama jednak – choć czułam zaciskającą się wokół mnie obręcz państwa – wolałam nie mierzyć się z tą rzeczywistością. Skupiałam się jedynie na tym, jak przetrwać kolejny dzień.

Kiedy Dżinus, sekretarka Centrum Obrony Praw Obywatelskich, trafiła do więzienia, zatrudniłam inną młodą kobietę, Hedie. Kończyła socjologię i biegle władała angielskim. Trzy razy w tygodniu wpadała po południu na kilka godzin, zajmując się telefonami i e-mailami z zagranicy. Tydzień po

tym, jak rozpoczęła u mnie pracę, zadzwoniła, że przed uniwersytetem zaczepili ją agenci i ostrzegli, by zrezygnowała z tego zajęcia. Hedie działała w ruchu feministycznym, nie należała do osób, które łatwo zastraszyć. Powiedziała więc mężczyznom, żeby zostawili ją w spokoju. Dopadli ją w pobliżu kampusu, na ulicy pełnej księgarń i platanów.

– Nie łamię prawa. A potrzebuję pieniędzy – oświadczyła.

Ostrzegli, że jeśli nie odejdzie, dopilnują, by została wyrzucona z uczelni. Kiedy zrelacjonowała mi tę rozmowę, obie uznałyśmy, że agenci blefowali.

Dlatego zdziwiłam się, kiedy tamtego popołudnia zjawiła się w biurze. Pracowała przecież w inne dni. Oczy miała spuchnięte od łez, nos czerwony. Wezwał ją do siebie dziekan wydziału i oświadczył, że jeśli dalej będzie u mnie pracować, nie dopuści jej do egzaminu magisterskiego.

– „Naprawdę tak trudno dziś o pracę, że musiałaś zatrudnić się u Ebadi?” – mówił.

Poklepałam ją po dłoni i wstałam zaparzyć herbatę.

– Rodzice uważają, że powinnam zrezygnować z pracy u pani. Twierdzą, że uczelnia wyrzucała studentów za mniejsze przewinienia. Ale to strasznie niesprawiedliwe! Podoba mi się ta praca. Uczę się czegoś nowego.

– Musisz posłuchać rodziców – tłumaczyłam łagodnie. – Dopóki studiujesz, jesteś na celowniku. Kiedy zdobędziesz magisterium, agentom znacznie trudniej będzie cię szantażować. A ja zawsze przyjmę cię z otwartymi ramionami.

Spojrzała na mnie z wdzięcznością, po czym z pewnym skrępowaniem zabrała swoje rzeczy. Kiedy otwierała drzwi, w oczach znów wezbrały jej łzy. Ścisnęłam ją za ramię.

– Nie martw się, *azizam*. Nadarzy się jeszcze niejedna okazja, by razem pracować.

Hedie nie była ani pierwszą, ani ostatnią. To już trzecia sekretarka w ostatnich miesiącach, którą aparat bezpieczeństwa zmusił do porzucenia pracy. Mechanizm za każdym razem wyglądał identycznie: przypadkowe spotkanie na ulicy, ogólnikowe pogróżki, a potem już konkretne działania. Zawsze wybierali najsłabszy punkt i naciskali z całej siły. U magistrantki było to wyrzucenie ze studiów. Następnej sekretarce, która przygotowywała się do egzaminu adwokackiego, zagrozili, że zablokują jej licencję. Początkowo buntowała się, zapewniała, że nie ulegnie presji. Po czym i ona zjawiła się we łzach, gdy otrzymała pismo z Rady Adwokackiej, że Ministerstwo Wywiadu zablokowało jej licencję. Powiedziałam jej to samo co pozostałym.

– Odejdź. Teraz musisz się skupić na najbliższej przyszłości. A jeśli kiedyś będziesz chciała, twoje stanowisko będzie czekało.

Ona też uśmiechnęła się z wdzięcznością. Uściskała mnie tak mocno, że poczułam zapach smogu i szamponu owocowego, którym przesiąkły jej włosy.

Szczerze współczułam tym młodym kobietom i robiłam, co w mojej mocy, by chronić je przed nieprzyjemnościami. Równocześnie jednak narastał we mnie bezsilny gniew. Moja znajomość angielskiego i komputerów była dość ograniczona. Potrzebowałam kogoś do pomocy. Kto jednak wytrzyma naciski agentów bezpieczeństwa i wywiadu? Co z tego, że nawet znajdę sekretarkę, jeśli po miesiącu albo dwóch zmuszą ją do odejścia? Jak wyrwać się z tego błędnego koła? Reżim chciał mnie sparaliżować.

Wtedy z odsieczą przyszła Inicjatywa Noblistek. Nasza grupka laureatek Nobla bardzo się zżyła. Utrzymywałyśmy kontakt, dzieląc się

sukcesami i trudnościami w swojej codziennej działalności. Jody Williams, wyróżniona Pokojową Nagrodą Nobla za swoją walkę z minami, pierwsza zasugerowała, że powinnam poszukać sekretarki mieszkającej poza Iranem. Inicjatywa zatrudniła młodą dziewczynę z Waszyngtonu. Ustaliłyśmy, że dwa razy dziennie będziemy kontaktować się telefonicznie i uzgadniać, co jest do zrobienia.

Pomysł, choć dobry, okazał się dość kosztowny. Pracowałam *pro bono*, a w porównaniu z irańskimi stawkami pensja amerykańskiej sekretarki była bardzo wysoka. Na szczęście członkinie Inicjatywy wielkodusznie zgodziły się pokryć te koszty. Tak oto zaczęły się miesiące wędrówek do budek telefonicznych – nie chciałam dzwonić z numeru domowego ani komórkowego, które reżim z pewnością miał na podsłuchu – na rozmowy z Waszyngtonem. Oprócz ośmioipółgodzinnej różnicy czasu sytuację dodatkowo komplikował fakt, że sekretarka miała małe dziecko, którego nie chciała budzić. Dlatego musiałam wpasowywać się w krótkie okienka czasowe, kiedy maleństwo nie spało, a pora pozwalała na telefon. Mimo tych utrudnień nie poddawałam się. Chciałam pokazać służbom bezpieczeństwa swoją siłę i determinację. Tak, będę wstawała o piątej rano i maszerowała do budki. Niech zobaczą, że nigdy się nie poddam.

Obudził mnie sygnał telefonu. W pierwszej chwili uznałam to za sen: śni mi się, że z Ameryki dzwoni do mnie córka, Negar. Potem otworzyłam jedno oko i zobaczyłam, że komórka na szafce nocnej rzeczywiście mruga. Chwyciłam aparat i przyłożyłam do ucha.

– Tak?

W słuchawce rozległo się ciężkie dyszenie.

– Głupia suko, lepiej uważaj. Zaczynamy tracić do ciebie cierpliwość.

Rozłączyłam się i wyłączyłam komórkę. Byli wściekli. Zastawiali pułapkę za pułapką, a ja z każdej wychodziłam cało. Ten telefon to potwierdzał, wiedziałam o tym. Kiedy jednak spojrzałam na śpiącego obok Dżawada, którego tors spokojnie unosił się i opadał, poczułam, jak mnie samej brakuje tchu. „Widzisz, jak blisko mogą do nas podejść?” – myślałam. „Zakłócają nawet spokój naszego domu, naszego snu”.

Może powinnam była wcześniej to dostrzec? Może powinnam była spojrzeć prawdzie w oczy i przyznać, że niechęć reżimu do mnie wyraźnie narasta? A jednak wydarzenia następnych miesięcy stały się dla mnie prawdziwym szokiem. Pewnego styczniowego dnia 2009 roku o 14 przed moją kancelarią nagle pojawił się tłum brodatych mężczyzn z plakatami i szczekaczkami. Pochylałam się nad szafką z aktami, kiedy padły pierwsze krzyki. Wtem usłyszałam swoje nazwisko i znieruchomiałam.

– Śmierć amerykańskim zausznikom! Precz z wrogami Republiki Islamskiej! Śmierć zdrajczyni, Ebadi!

Głosów było tyle, że brzmiało to jak prawdziwa demonstracja. Bałam się podejść do okna. Zamknęłam kancelarię na klucz i pobiegłam piętro wyżej, do mieszkania. Był tam Dżawad, który stał już w oknie.

– Mają transparenty – odezwał się ponuro. – I przychodzą kolejni.

Opadłam na kanapę, ściskając w ręku komórkę. Krzyki przybierały na sile, dudniły mi w uszach. Przemknęłam się do kuchni, gdzie małe okienko zasłonięte koronkową firanką też wychodziło na ulicę. Przed domem

tłoczyła się może setka mężczyzn w różnym wieku. Ubrani byli na ciemno, ich twarze wykrzywiał gniew. Jeden ściskał dużą rurę. Pozostali trzymali pałki.

– Pójdę zamknąć wewnętrzne drzwi – zdecydował Dżawad, szybko wychodząc z mieszkania.

W budynku mieliśmy dodatkowe masywne, metalowe drzwi, które można było zablokować od środka. Rzadko z nich korzystaliśmy, ale dziś mogły nas uratować.

Zostałam sama. Myślałam o mężu, którego od rozjuszonej bandy dzieliły tylko metalowe drzwi. Zerwałam się. Musiałam coś zrobić. Drżącymi palcami wybrałam numer naszego komisariatu.

– Na ulicy zebrali się agresywni mężczyźni. Wrzeszczą, atakują budynek. Chyba chcą mnie zabić – wyrzuciłam z siebie, pierwszy raz ubierając w słowa myśl, której nigdy przedtem do siebie nie dopuściłam.

Funkcjonariusz zaczął uspokajać, że przyśle radiowóz, ale jego dalsze słowa zagłuszył huk metalu i tłuczonego szkła. Wrócił Dżawad. Powiedział, że zaczęli rzucać kamieniami. Staliśmy ramię w ramię w kuchni, patrząc, co dzieje się poniżej. Dwaj mężczyźni metalowym prętem odrywali od muru szyld mojej kancelarii adwokackiej. Inni wyciągnęli puszki i pryskali farbą po ścianie, zapewne wypisując jakieś ordynarne wyzwiska. Reszta obrzucała budynek kamieniami, wrzeszcząc, że muszę umrzeć; że zdradziłam kraj.

Na końcu uliczki pojawiła się kobieta, trzymała za rękę dziecko. Zobaczyła zamieszanie i zawróciła. Chwilę później na górce wyrósł radiowóz i wolno zaczął się toczyć w stronę tłumu.

– Wreszcie przyjechali – powiedział Dżawad i obrócił się, żeby zbiec na dół.

– Czekaj! Dokąd idziesz?

– Przyjechała policja. Pójdę z nimi porozmawiać.

Ze swojego stanowiska przy oknie obserwowałam, jak mąż podchodzi do dwóch funkcjonariuszy i gestem pokazuje w stronę budynku. Panicznie się o niego bałam. Trzęsącymi się rękami jeszcze odsunęłam firankę. Przez moment myślałam, czy nie pójść za nim. Widziałam, jak na jego twarzy pojawia się frustracja. Policjanci stali spokojnie, w ogóle nie interweniując.

Kilka minut później wściekły Dżawad wrócił do mieszkania.

– Wiesz, co mi powiedzieli? Powiedzieli: „Jeszcze chwilę sobie pokrzyczą jakieś hasła, a potem i tak się rozejdą”. Pytałem: „A straty? A oderwany szyld? Pomalowana ściana? To brutalny, bezsensowny atak! Napaść”. A oni tylko się uśmiechnęli.

Wtem uświadomiłam sobie, że domy moich współpracowników też mogły zostać namierzone. Błyskawicznie zadzwoniłam do dwóch, może trzech najbardziej znanych działaczy, ostrzegając przed atakami. Zauważyłam też, że z budynków zaczęli wychodzić sąsiedzi. Jeden z nich, starszy mężczyzna mieszkający dwa numery dalej, miał kamerę. Zaczął filmować napastników. Ten nieoczekiwany gest odwagi sprawił, że gardło ścisnęło mi się ze wzruszenia. Niemal natychmiast jeden z policjantów, który biernie przyglądał się poczynaniom napastników, podszedł i zarekwirował kamerę.

Tłum jeszcze przez pół godziny kręcił się po ulicy, ale okrzyki powoli cichły, stawały się coraz bardziej niemrawe. Wreszcie demonstranci zaczęli się rozchodzić. Wszyscy oni należeli do jednej ze wspieranych przez państwo bojówek. Ochotników werbowano z najuboższych, a zarazem pobożnych środowisk, co sprawiało, że łatwo ulegali radykalizacji. Właśnie ich reżim wysyłał wszędzie tam, gdzie chciał brutalnie rozprawić się z dysydentami, zaatakować europejskie ambasady, rozbić feministyczne manifestacje czy po prostu zastraszyć Irańczyków – równocześnie

umywając od wszystkiego ręce. Poprzez wprowadzenie do akcji ochotniczych bojówek, państwo mogło udawać, że nie ma żadnego związku z represjami. Samych bojówkarzy zaś często nazywało „studentami”. Z kolei policja nie reagowała na działania napastników. Biernie przyglądała się, jak ci rozpętują piekło. Dlatego funkcjonariusz skonfiskował kamerę mojego sąsiada, ale nie zabrał bojówkarzom puszek z farbą.

Tego wieczoru Dżawad i ja zostaliśmy w domu, krążąc wokół siebie, unikając rozmowy. Przyrządziłam kurczaka z berberysem w sosie szafranowo-pomarańczowym. Zjedliśmy w milczeniu. Poczucie bezpieczeństwa, które zawsze mieliśmy w swoich czterech ścianach, ulotniło się bezpowrotnie. Nasz cichy wieczór przerywało nieustanne dzwonienie mojej komórki. Wiadomość o ataku szybko dotarła do dziennikarzy. Wielu natychmiast przyjechało, fotografowało zniszczenia, dzwoniło do mieszkania i prosiło o komentarz. Wszyscy zwracali uwagę nie tylko na skalę dewastacji, ale także na zabawne błędy ortograficzne autorów graffiti. Na jednej ze ścian zamierzali zapewne napisać „amerykańska jędza”, ale zrobili ze mnie „jendzę”, popełniając błąd w perskim słowie *adżuz*. Smaczku całej sprawie dodawał fakt, że oficjalne media winą za atak obciążały „studentów”.

Incydent nabrał międzynarodowego rozgłosu. Do tego stopnia, że dwa tygodnie później w mojej kancelarii zjawili się policjanci, którzy biernie przyglądali się demolce.

– Zechciałaby pani odświeżyć budynek? – spytał jeden z funkcjonariuszy. – Wszyscy reporterzy przyjeżdżający do Iranu pielgrzymują tu, by go sfotografować. Może pani nie zdaje sobie sprawy, ale ich relacje szkodzą pani reputacji. Czytając hasła na ścianach, zagraniczni dziennikarze mogą pomyśleć, że Irańczycy pani nie lubią.

Zaśmiałam im się w twarz.

– Niech chuligani, którzy namalowali te wyzwiska na budynku, przyjadą tu i sami je zmyją. Ja ich nie tknę.

– Ależ, *chanom* Ebadi. A co z pani reputacją?

– O nią się nie martwcie. Ludzie doskonale wiedzą, kto sprowokował i wspierał napastników.

Zdewastowane mury jeszcze przez trzy miesiące straszyły wyzwiskami napisanymi jaskrawoczerwoną farbą. Aż wreszcie pewnego dnia zjawili się pracownicy ratusza z wiadrami farby i zaczęli je zamalowywać.

10.
Próba macierzyństwa

Byłam na bazarze Tadżrisz i kupowałam właśnie winegret, kiedy zadzwoniła komórka. Na ekranie wyświetlił się numer koleżanki z Centrum Obrony Praw Obywatelskich.

– Omid Mir Sadżafi nie żyje – powiedziała. – Dwie godziny temu przekazali rodzinie ciało. Twierdzą, jakoby popełnił samobójstwo.

Ubiegłej wiosny władze rozpoczęły nagonkę na Omida Rezę Mir Sadżafiego, młodego blogera z niezamożnej rodziny, któremu – podobnie jak wielu Irańczykom – coraz trudniej było związać koniec z końcem. Na swoim blogu opublikował list otwarty do najwyższego przywódcy Alego Chameneiego, w którym przedstawiał się jako młody muzułmanin, szyita, potrzebujący pomocy w zdobyciu pracy bądź pożyczki na otwarcie własnego interesu. Czy najwyższy przywódca zechce wesprzeć go – pytał – tak samo jak wsparł Libańczyków?

Mir Sadżafi odnosił się do hojności, jaką Iran okazał Libanowi, kiedy latem 2006 roku Hezbollah zaatakował Izrael. Teheran, jako główny protektor tej szyickiej organizacji polityczno-wojskowej, wysyłał pomoc wartą miliony dolarów, pomagał odbudowywać bejruckie szpitale i domy zbombardowane w czasie wojny, zapewniał dochód i pracę tysiącom Libańczyków. Równocześnie w Iranie bezrobocie wynosiło 30 procent. Taka hierarchia wartości doprowadzała do furii młodych Irańczyków, w tym także Mir Sadżafiego. Choć ton jego wypowiedzi był uprzejmy, list wywołał wściekłość agentów bezpieczeństwa, którzy wnieśli skargę do sądu. Bloger został skazany na dwa i pół roku więzienia.

Sędzia kompletnie zignorował fakt, że oprócz tego listu otwartego Mir Sadżafi pisał głównie o klasycznej muzyce perskiej oraz nowych piosenkach, które przypadły mu do gustu. Był sentymentalny. Aż do

aresztowania wiosną 2008 roku zamieszczał zdjęcia róż i poetów. A teraz nie żyje.

– Czekaj na mnie w biurze za godzinę. Pojedziemy razem do rodziny – powiedziałam, oddając sprzedawcy buteleczkę z winegretem i natychmiast ruszyłam w drogę powrotną do domu.

W taksówce wierciłam się niecierpliwie. Samochód utknął w korku spowodowanym świętem Nowruz – irańskim Nowym Rokiem obchodzonym w równonoc wiosenną. Czekając na przyjazd koleżanki, przeglądałam posty Omida, które zapisaliśmy w jednym z komputerów służbowych. Teraz, gdy już nie żył, te teksty wydawały się wręcz prorocze. Dwa lata wcześniej zanotował chociażby: „Nigdy nie potrafiłem się zmusić do autocenzury i nigdy się do tego nie zniżę. Wolę nie pisać w ogóle, niż zatracić szczerość i uczciwość”.

W innym wpisie dzielił się doświadczeniem, które nazwał „powtórnymi narodzinami”, kiedy wewnętrzny głos kazał mu zerwać z rolą „biernego widza” w obliczu popełnianego zła. Relacjonował, jak szedł przez park w centrum Teheranu, kiedy akurat na ulicach trwały protesty młodzieży.

> Zatrzymałem się przy jednej z bram i stanąłem obok młodego małżeństwa. Zbliżył się do nas jakiś 17-, może 18-latek. Widać było z daleka, że to fundamentalista.
>
> – Spadajcie! Wynoście się! – warknął.
>
> Nie zareagowaliśmy. Chłopak podbiegł do małżeństwa i zaatakował mężczyznę:
>
> – Ogłuchłeś, mężu dziwki? Chyba jasno powiedziałem: spierdalaj stąd!
>
> Młody mężczyzna był za bardzo wstrząśnięty, by zareagować. Oczywiście nie mógł zignorować obelgi. A równocześnie, gdyby zareagował, z pewnością zostałby aresztowany. Jako mimowolny bezpośredni świadek tej sceny bez namysłu rzuciłem się w stronę bojownika Basidż (organizacji paramilitarnej) i odepchnąłem go.

Dalej Omid opisywał, jak pozostali bojówkarze rzucili się na niego z pałkami. Bili, aż upadł na ziemię, po czym zawlekli go do furgonetki policyjnej. Następnie spędził 20 dni w więzieniu, skąd wyszedł jako „inny Omid Reza”. Jak napisał, „nauczyłem się, że ty sam siebie kształtujesz”.

Siedziałam pogrążona w lekturze, poruszona łagodnością i wrażliwością, a zarazem bezkompromisowością jego przemyśleń, dopóki nie pojawili się moi współpracownicy. Podróż zajęła nam ponad godzinę: rodzina blogera mieszkała na drugim końcu Teheranu, w gęstej zabudowie czarnych od sadzy południowych obrzeży stolicy. Dom stał przy wąskiej uliczce, w rzędzie rozsypujących się budynków czynszowych. Otworzył nam ojciec Omida Rezy, mężczyzna w podeszłym wieku, z siwą szczeciną, ubrany w skromne, luźne spodnie i sfatygowane buty. Dom był maleńki, piętrowy, z jednym, niedużym pokojem na każdym poziomie. W jednym z nich zebrali się mężczyźni – krewni zmarłego. Siedzieli na podłodze ze wzrokiem wbitym w podniszczony dywan, próbując powstrzymać łzy. Powitali mnie i moich towarzyszy. Tuż za drzwiami, w przedpokoju, siedziały trzy krewne, nasłuchując. Przez całą rozmowę dobiegał mnie ich szloch.

Mężczyźni – prości ludzie, ciężko pracujący na życie – odzywali się nieśmiało, zawstydzeni obecnością prawników, którzy fatygowali się z północnej części miasta, by złożyć wyrazy współczucia z powodu śmierci ich chłopca. Jeden z nich, wuj Omida Rezy, był nieco śmielszy i wziął na siebie ciężar prowadzenia rozmowy.

– To był taki spokojny chłopiec. Myślący, wszystkiego ciekaw, stale zadający pytania. Wiemy, że sam nie odebrał sobie życia. Za nic by tego nie zrobił. Wiemy, że go torturowali. Chcemy złożyć skargę.

– Przeprowadzono autopsję? – spytałam.

Popatrzyli na mnie skonsternowani i pokręcili głowami.

– Ależ dlaczego? Czemu jej nie zażądaliście?

Dopiero teraz dotarło do mnie, że nie wiedzą, czym jest autopsja.

– Gdyby zbadał go lekarz sądowy, znalazłby ślady tortur – wyjaśniłam.

– Ludzie, którzy obmywali ciało przed pochówkiem, widzieli siniaki. Widzieli krew za uchem i na głowie. Oni mogą zaświadczyć – odezwał się ojciec. Ciemne, spracowane dłonie bezwładnie spoczywały na kolanach.

Wytłumaczyłam, że takie świadectwo sądowi nie wystarczy: czasem ślady pojawiają się po śmierci; to zależy od tego, jak obchodzono się z ciałem po zgonie. Jedynie sekcja zwłok przeprowadzona przez uprawnionego lekarza może potwierdzić, czy więzień był torturowany. To wymaga zgody sędziego, a mało prawdopodobne, by ten jej udzielił. A nawet gdyby, często mimo tortur potwierdzonych przez lekarza sądowego, nie udaje się doprowadzić do skazania winnych, uprzedziłam. Ta nieszczęsna, zdruzgotana rodzina dość już wycierpiała. Nie chciałam skazywać jej na batalię sądową, która jedynie przysporzy jej bólu i rozpali wściekłość. Próbowałam ukoić ich rozpacz, w przystępny dla nich sposób wyjaśniając, dlaczego z prawnego punktu widzenia tak niewiele możemy dla nich zrobić. Na szczęście rodzina była pobożna i może dzięki wierze zdoła zaakceptować to, co spotkało Omida Rezę.

– W innym świecie zostanie wymierzona sprawiedliwość. Kiedy nie możemy na nią liczyć na tej ziemi, pozostaje zdać się na wyższą moc – pocieszałam.

Rodzina podziękowała nam i wstała, by odprowadzić nas do drzwi. Kiedy wyszłam na korytarz, matka Omida ścisnęła mnie za rękę. Jej oczy wyglądały jak wydrążone, a twarz była biała jak jej czador.

Czy może być coś gorszego, bardziej sprzecznego z naturą niż utrata dziecka? Jak wtedy zaufać, że Bóg wymierzy sprawiedliwość? To w mojej pracy zawsze przysparzało mi najwięcej bólu: szukające u mnie pomocy

błagalne spojrzenia matek i ojców, których dziecko zabito albo wysłano do więzienia. Tymczasem brutalne fakty wyglądały tak, że losy ich synów i córek zależały przede wszystkim od politycznej sytuacji Iranu, a nie od moich talentów adwokackich. Kiedy nic nie mogłam zrobić, pozostawały mi jedynie słowa i herbata. Moi koledzy nazywali to podejście „herbacianą terapią", ponieważ ilekroć zgłaszały się do mnie rodziny, częstowałam je herbatą. Kiedy siedzieliśmy razem przy naparze, próbowałam rozmawiać o innych sprawach. Opowiadałam o problemach, z jakimi borykały się rodziny w podobnej sytuacji. Dzięki temu wiedzieli, że nie są odosobnieni; że inni przechodzą to samo, cierpią jak oni. Czasem metoda skutkowała i choć w minimalnym stopniu koiła ból, tak że wychodzili z gabinetu odrobinę spokojniejsi. Skoro w sądzie nie udało się wywalczyć zmniejszenia ich cierpień, to wypadało chociaż uciszyć ich ból.

Pewnego popołudnia siedziałam w kancelarii i pracowałam w pośpiechu. Starałam się pozamykać sprawy, którymi się zajmowałam, żeby nie brać ich ze sobą na górę. Zależało mi, by mieć wolny wieczór, bo Nargess – moja córka, która wtedy już studiowała prawo w Kanadzie – przyjeżdżała do Teheranu, żeby spotkać się z nami i sfinalizować pewne sprawy związane z jej stażem adwokackim. W kuchni czekała już przygotowana jagnięcina, przepłukałam też ryż. Ponieważ spieszyłam się, by ze wszystkim zdążyć, w ciągu dnia wypiłam więcej herbaty niż zazwyczaj. Tym właśnie tłumaczyłam sobie szybsze niż zwykle bicie serca.

Dżawad jeszcze nie wrócił, więc kiedy przyszłam na górę, byłam sama. Radio grało w tle, a ja krzątałam się po kuchni, siekając zioła, przygotowując jogurt i wykładając pikle – jednym słowem, przygotowując

obowiązkowe składniki perskiej kolacji z prawdziwego zdarzenia. Kiedy zadzwonił Dżawad, że czeka na dole, zarzuciłam na siebie chustę i *manto*, po czym wyruszyliśmy po córkę.

W drodze na lotnisko, a potem w hali przylotów starałam się beztrosko gawędzić i zachowywać naturalnie. Ledwo jednak zobaczyłam twarz Nargess, wiedziałam, że coś się stało.

– *Maman*, zabrali mi paszport – wyrzuciła z siebie.

– Kto? Co powiedzieli?

– Agent bezpieczeństwa. W czasie kontroli paszportowej kazali mi zaczekać, potem zjawił się agent i zabrał mój paszport. Nie wytłumaczył dlaczego. Kiedy zażądałam wyjaśnień, odparł tylko, że dostanę wezwanie na przesłuchanie z Ministerstwa Wywiadu. Wtedy zapoznają mnie z zarzutami.

– Porozmawiamy w samochodzie – przerwałam i objęłam ją ramieniem.

Widząc nasze stroskane miny, zatrzymała się na środku parkingu.

– Nie przejmujcie się tak. Powiedziałam im, że w sumie wyświadczają mi przysługę. Może nie będę musiała w tym semestrze siadać do doktoratu.

Nie wierzyłam własnym uszom. Kiedy moja Nargess stała się tak silna, że potrafiła beztrosko żartować z agenta wywiadu, który właśnie zarekwirował jej paszport? Jak często nie znamy ani nie doceniamy własnych dzieci. Dopiero kiedy życie rzuci im pod nogi olbrzymią kłodę, dostrzegamy, jaka odwaga w nich drzemie.

Mknęliśmy autostradą Teheran–Kom. Przed nami rozciągała się pustynia, obok migały bilbordy. Próbowałam naśladować beztroskę Nargess, ale kiedy dotarliśmy do mieszkania, wysłałam ją pod prysznic, a sama siadłam w kuchni, rozmyślając.

„Zaczęło się” – dźwięczało mi w głowie. Patrzyłam na ścianę, gdzie wisiał stary, drewniany zegar, który na początku małżeństwa kupiłam na

ulicy Jordana, i nie mogłam uściślić, co właściwie mam na myśli ani ułożyć tego w logiczny ciąg. Jedno nie ulegało wątpliwości. Reżim w końcu dobrał się do mojej rodziny. Nie wystarczało mu już szykanowanie mnie samej. W swojej długoletniej praktyce stykałam się z tym wiele razy. Krewnych moich klientów – dysydentów i działaczy – zastraszano, prześladowano, szantażowano, często nawet zamykano w więzieniach. Oni sami się nie liczyli. Traktowano ich jak „straty wśród ludności cywilnej”. Byli jedynie narzędziem do osiągania celu. Chodziło tylko o jedno: by dysydent, działacz czy dziennikarz zrezygnował z walki z reżimem. Był to najniższy, najobrzydliwszy chwyt, do jakiego uciekały się służby bezpieczeństwa: wykorzystywanie rodzin i więzi emocjonalnych. Bodaj najprostsza taktyka – gdy więzień polityczny odmawiał złożenia fałszywych, pogrążających go zeznań – polegała na aresztowaniu bliskiej osoby. Następnie informowano go, że siostra lub żona znalazły się w rękach służb bezpieczeństwa, które – jeśli nie wykona polecenia – będą zmuszone poddać kobietę torturom. Strategia ta zmierzała do ustalenia słabego punktu, wykorzystywanego potem, by wywierać presję na jeńca.

Ale ja przecież nie byłam działaczką opozycyjną. Byłam jedynie prawniczką – skądinąd tylko dlatego, że pozbawiono mnie urzędu sędziowskiego – zabiegającą o to, by w Iranie każdego sądzono sprawiedliwie, z poszanowaniem prawa. Dla mnie było to jasne jak słońce, dla reżimu jednak – który na naszych oczach stawał się coraz bezwzględniejszy – najwyraźniej nie. Zawołałam Nargess i Dżawada do kuchni na kolację.

– To próba – oświadczyłam, kiedy siedliśmy do stołu. – Sprawdzają, czy się ugnę i czy będą mogli posłużyć się Nargess, żeby mnie złamać. Jeśli zareagujemy, będą bez końca ją wykorzystywać. Ale jeśli będę twarda i nic nie zrobię, zrozumieją, że muszą poszukać innej taktyki.

Dżawad ściągnął brwi.

– To co radzisz? Żebyśmy nie reagowali?

– A widzisz inne wyjście? Możemy jedynie pokazać, że się nie złamiemy. Wiemy, że nie zrobiła nic złego i będziemy żyć normalnie. To gra, Dżawadzie. Chodzi o to, kto mrugnie pierwszy.

Mąż nic nie odpowiedział, tylko apatycznie grzebał w jedzeniu na talerzu. Widać było, że najchętniej w ogóle nie bawiłby się w „kto mrugnie pierwszy”. Za to mojej córce zalśniły oczy.

– Poradzę sobie, *maman* – uspokoiła. – Nie boję się tej rozmowy. Przecież nie zrobiłam nic złego.

Mijały dni. Czasem słyszałam, jak Nargess rozmawiała przez telefon z przyjaciółkami, obracając całą sprawę w żart.

– W sumie cieszę się, że utknęłam w Iranie. Będę mogła bezkarnie wylegiwać się na plaży nad Morzem Kaspijskim – mówiła.

Innym razem jej słowa wywołały u mnie uśmiech:

– Skądże, nie przejmuję się. Wreszcie stałam się ważna!

Dżawad uparł się, by na wszelki wypadek zainstalować w mieszkaniu system alarmowy. Ten, który wybrał, miał w razie włamania automatycznie informować o tym komisariat policji. Osobiście uważałam to za idiotyczne, bo gdyby ktokolwiek miał na nas napaść, to właśnie przedstawiciele władzy. Widziałam jednak, że dzięki temu Dżawad czuł się bezpieczniej, więc ustąpiłam.

Upłynęło sporo czasu. Tak się „złożyło”, że Nargess wezwano na przesłuchanie dokładnie tego samego dnia, kiedy miałam wyjechać za

granicę na seminarium. Moje rozmowy telefoniczne były podsłuchiwane, moje e-maile czytane – doskonale zdawałam sobie z tego sprawę. Nie miałam więc wątpliwości, że agenci świadomie wybrali właśnie tę datę. Czy opuszczę Iran, gdy moja córka będzie przesłuchiwana przez urzędników tego samego ministerstwa, które kilka lat temu planowało zamach na moje życie? Czy wejdę na pokład samolotu, odwrócę się od córki, choć wiem, że w Ministerstwie Wywiadu „przesłuchanie” często kończy się aresztowaniem? Czy mrugnę?

– Nargess jest już dorosła. Sama potrafi się obronić. A ja wieki temu obiecałam, że przyjadę na konferencję. Nie mogę w ostatniej chwili odwołać udziału. Gdybym rzucała pracę, ilekroć dzieci mnie potrzebowały, nigdy niczego bym nie zrobiła ani nie dokończyła. Jest z nią ojciec. Poradzą sobie – powtarzałam przy każdej okazji, w niezliczonych rozmowach telefonicznych aż do dnia mojego wyjazdu i przesłuchania córki.

Dziwnie czułam się, recytując te kwestie, powtarzając je do telefonu służbowego i domowego. Zwłaszcza że równocześnie wyobrażałam sobie agentów, którzy słuchają ich, siedząc w jakimś pomieszczeniu pod jarzeniówkami i robiąc notatki. Notatki, które potem trafiają do wyższych oficerów, śledzących moje zachowanie. Być może inna matka – która na co dzień nie miała do czynienia z aparatem bezpieczeństwa, nie znała jego metod i nie umiała sobie z nimi radzić – uznałaby mnie za pozbawioną serca.

Ja jednak wiedziałam, że jeśli przesunę podróż choć o jeden dzień – by w ten sposób mieć gwarancję, że Nargess bezpiecznie wróci do domu, odzyskawszy paszport – poznają mój słaby punkt. Dopiero to byłoby niebezpieczne. Zorientowaliby się bowiem, że mogą posługiwać się córką jako pionkiem w swojej grze ze mną – a tego bałam się najbardziej. Gdyby uznali, że Nargess stanowi mój słaby punkt, nie wiadomo, co by z nią

zrobili – albo ze mną. Dlatego – choć była to najtrudniejsza decyzja, jaką kiedykolwiek podjęłam – rano pożegnałam się w salonie z Nargess i Dżawadem. Ucałowałam ich oboje, po czym udałam się na lotnisko i wsiadłam do samolotu.

Natychmiast po wylądowaniu w Stanach Zjednoczonych zadzwoniłam do domu. Dżawad powiedział, że kiedy Nargess stawiła się w Ministerstwie, urzędnicy po prostu oddali jej paszport. Bez przesłuchania, bez dochodzenia. Jednak się nie myliłam. Dziękowałam Bogu, że lata życia na celowniku tajnych służb i bronienia klientów, którzy wpadli w ich sieci, nauczyły mnie chociaż, jak działają. Do dziś nikt nie wyjaśnił, dlaczego mojej córce zabrano paszport ani dlaczego wezwano ją na przesłuchanie. Podobnie jak nikt nie wyjaśnił, dlaczego dostała dokument z powrotem.

11.
Pożegnanie

Wczesną wiosną 2009 roku Iran zaczął się szykować do czerwcowych wyborów prezydenckich. Popularność Ahmadineżada topniała w oczach. W kraju powszechnie piętnowano go za doprowadzenie gospodarki do ruiny oraz za represyjną formę rządów: zaostrzenie cenzury, bezkarność policji obyczajowej; to jak konserwatywny islam powolnie, ale nieubłaganie rozlewał się na całe życie publiczne. Fatalna ocena kadencji Ahmadineżada, podzielana przez tak liczne grono rodaków, ośmieliła Irańczyków. Wyrażali niezadowolenie bardziej otwarcie, niż odważyliby się to zrobić kilka miesięcy wcześniej. Na kampusie Uniwersytetu Technologicznego im. Szarifa w Teheranie studenci przerywali przemówienie prezydenta okrzykami: „Kłamca! Kłamca!”. Podobne reakcje towarzyszyły wielu jego publicznym wystąpieniom.

Głównymi przeciwnikami Ahmadineżada byli Mir Hosejn Musawi, ekspremier cieszący się reputacją polityka o czystych rękach, oraz Mehdi Karubi, postępowy duchowny, przewodniczący medżlisu we wcześniejszych kadencjach. Obaj bardzo się starali unikać bezpośredniej konfrontacji. Przyświecał im ten sam cel: za żadną cenę nie dopuścić do kolejnej kadencji Ahmadineżada. Ich kampaniami kierowali zaangażowani, inteligentni młodzi ludzie. Mohammad Chatami, reformista, który przed nastaniem Ahmadineżada przez osiem lat próbował wprowadzić Iran na bardziej umiarkowany kurs, zjawił się, by uroczyście zawiesić Musawiemu na szyi zielony szalik. Ten symboliczny gest świadczył o poparciu tego – wciąż powszechnie szanowanego – duchownego, a zieleń – barwa islamu – stała się kolorem kampanii Musawiego.

W następnych tygodniach na ulicach Teheranu królowały zielone balony i wstążki, na latarniach zaś łopotały zielony flagi. Na naszych

oczach miasto się odradzało. Zniknęła ospała, przygnieciona smogiem stolica goryczy, gdzie ludzie tylko narzekali na rosnące ceny mleka i mięsa. Jej miejsce zajęli pełni energii, podekscytowani obywatele, rozprawiający o polityce zagranicznej i gospodarce. Ten zapał udzielił się zwłaszcza młodym, którzy coraz częściej spędzali na ulicach nie tylko wieczory, ale także większą część nocy.

W przeddzień wyborów jechałam taksówką, gdy kierowca zatrzymał się na skrzyżowaniu ulicy Wali Asr z placem Wanak w północnej części centrum Teheranu. To jeden z najruchliwszych odcinków długiego bulwaru, zaczynającego się w górach Elburs na południu miasta. Obsadzoną szpalerami platanów aleję zamówił jeszcze szach, który postanowił przyćmić paryskie Pola Elizejskie. Po Wali Asr ścigała się w ferrari teherańska złota młodzież; pod portykami budynków kryły się butiki, gdzie sprzedawano aksamitne zasłony z Mediolanu kosztujące więcej, niż w ciągu całego życia zdołał zarobić murarz; w godzinach szczytu kręciły się tam prostytutki, a taksówkarze i młodzi długowłosi mężczyźni w T-shirtach z nadrukami kapel grunge’owych stali w kolejkach po gulasz sprzedawany ze straganów. Tu właśnie biło serce ośmiomilionowej metropolii.

Przed nami w korku ugrzązł autobus przegubowy. Nad ulicą niosła się ogłuszająca kakofonia klaksonów. Tego dnia jednak – zamiast dzieci sprzedających zapałki lub kwiaty pomarańczy – między uwięzionymi samochodami przemykali młodzi ludzie w jasnozielonych opaskach na głowach. Zaglądali do pojazdów, rozdając ulotki wyborcze oraz – otoczone zielonym paskiem – zdjęcie swojego kandydata w jutrzejszych wyborach.

Kilku podbiegło do mojej taksówki. Rozpoznali mnie.

– To pani Ebadi! – zawołał jeden z nich z zielonym szalikiem na szyi i w okularach o grubych szkłach na nosie. – Na kogo pani zagłosuje?

Krzyczał tak głośno, że słyszałam go mimo warkotu silnika i włączonego radia. Opuściłam szybę, by odpowiedzieć, ale odpowiedziała za mnie młoda dziewczyna z zielonym balonikiem:

– Oczywiście zagłosuje na Mira Hosejna!

Wyciągnęłam rękę po ulotki.

– Głosuję za wolnością.

Wokół samochodu zdążył się już zebrać tłumek. Wszyscy mówili naraz, śmiali się. Usłyszeli moją odpowiedź i każdy interpretował ją jako wyraz poparcia dla swojego kandydata.

– To znaczy, że zagłosuje na Musawiego – oświadczył chłopak z szalikiem. – Tylko on przyniesie Iranowi...

– Coś ty? Nie słyszałeś? Wolność to przecież Karubi! – przerwał mu inny, wysoko podnosząc swoje plakaty wyborcze.

Roześmiałam się, słuchając tej wymiany zdań. Już miałam skomentować, kiedy taksówka ruszyła. Odwróciłam się i pomachałam im, ale oni już wrócili na chodnik, ściskając naręcza broszur wyborczych. Dawno nie widziałam młodych teherańczyków tak ożywionych, swobodnie rozprawiających na ulicy o polityce, jakby czuli się obywatelami państwa, które zapewnia im takie prawo.

Podróż do domu zajęła mi jeszcze pół godziny. Otworzyłam kancelarię i pospiesznie zaczęłam się krzątać przy herbacie, by przygotować ją przed przyjazdem kolegów. Zastanawiałam się, czy – w związku z jutrzejszymi wyborami prezydenckimi – władze w ogóle zwrócą uwagę na raport, który zamierzaliśmy opublikować pod koniec tygodnia. Co chwila zerkając na zegarek, drukowałam i spinałam zszywkami wstępną wersję dokumentu oraz porządek zebrania. Zwykle zajmowała się tym sekretarka, ale niedawno reżim aresztował kolejną moją asystentkę. Widząc, jak ryzykowna stała się praca u mnie, musiałam nauczyć się radzić sobie sama.

Na chwilę oderwałam się od krzątaniny, by złapać oddech. Pamiętałam też, by wyjąć komórkę i usunąć z niej baterię. Nie chciałam, żeby służby bezpieczeństwa słyszały, o czym będziemy rozmawiać.

Zapadł już zmrok, zanim czwórka moich współpracowników dotarła na miejsce. Od likwidacji biura Centrum Obrony Praw Obywatelskich w grudniu 2008 roku swoje cotygodniowe spotkania przenieśliśmy do mojej kancelarii prawnej. W ostatnim roku liczba prowadzonych przez nas spraw – najczęściej dotyczących aresztowań dysydentów i dziennikarzy – się podwoiła. Reżim wyraźnie przykręcał śrubę. Choć kolejni nasi współpracownicy trafiali do więzienia, a szykany przybrały na sile, nie rezygnowaliśmy z pracy. Wszyscy wierzyliśmy, że po wyborach za sterem państwa stanie prezydent, który będzie tolerował naszą działalność.

Tego wieczoru mieliśmy pracować nad raportem dotyczącym kary śmierci dla nieletnich, bodaj najpoważniejszej wady irańskiego systemu prawnego. Choć raport był ważny, wszystkich nas ogarnęła przedwyborcza gorączka. Zasiedliśmy wokół stołu konferencyjnego, ale nie mogliśmy się skupić na tekście. Chcieliśmy rozmawiać wyłącznie o jutrzejszych wyborach prezydenckich.

Zdawaliśmy sobie sprawę, jak wiele znaczy dla nas ich wynik. Gdyby Mahmud Ahmadineżad został wybrany na drugą kadencję, represje z pewnością by się nasiliły. Nie mieliśmy złudzeń, że Ahmadineżad nie pozwoliłby na ponowne otwarcie biura; cenzura by się zaostrzyła, wzrosłaby liczba aresztowań, klimat polityczny – w którym już teraz funkcjonowaliśmy z najwyższym wysiłkiem – jeszcze bardziej by się zagęścił. Gdyby jednak zwyciężył któryś z rywali obecnie urzędującego prezydenta – albo Mir Hosejn Musawi, kandydat młodzieży, która zatrzymała moją taksówkę, albo Mehdi Karubi, umiarkowany duchowny – można było liczyć na złagodzenie polityki. Prasa znów stałaby się

platformą wymiany myśli, a reformiści, których zmarginalizowano i wypchnięto z życia publicznego, stopniowo wracaliby do polityki. Nie spodziewałam się festiwalu demokracji, jedynie powrotu do sytuacji sprzed Ahmadineżada: pewnego pluralizmu w polityce i mediach. Przede wszystkim zaś liczyłam, że będziemy mogli swobodniej walczyć w obronie praw człowieka.

W końcu przestaliśmy udawać, że zajmujemy się raportem, i rozmawialiśmy, jak miasto ożyło w oczekiwaniu na jutrzejsze wybory.

– Na moim osiedlu młodzi do trzeciej nad ranem wykrzykiwali: „Pa-pa, Ahmadi!” – mówiła Narges Mohammadi.

Reszta dzieliła się podobnymi obserwacjami z innych części Teheranu. Jedna z prawniczek opowiadała, jak na skrzyżowaniu podeszła do niej grupa młodzieży, zapraszając na dyskusję o możliwościach zakończenia międzynarodowej izolacji Iranu. Inna z kolei była pod wrażeniem szacunku, z jakim odnosili się do siebie uczestnicy gorących dyskusji w piekarniach, na ulicach i w kioskach z prasą. Porównując swoje spostrzeżenia z różnych miejsc w stolicy, zgodziliśmy się, że społeczeństwo zdecydowanie odwróciło się od Ahmadineżada, a on sam ma nikłe szanse na zwycięstwo. Niemal na każdym kroku – od robotniczych obrzeży Teheranu, po śródmieście i północne dzielnice zamieszkałe przez klasę średnią – widać było wyraźne poparcie dla postępowych kandydatów. Tak długo pracowaliśmy bez nadziei na zmiany, że wystarczył ostrożny powiew optymizmu, by nasze starania nagle nabrały sensu.

– Dlaczego tracimy czas? – zawołała Narges, klaszcząc w dłonie. – Raport ma być opublikowany za tydzień!

Wszyscy umilkli. Pochyliliśmy głowy, sięgnęliśmy po herbatę i zabraliśmy się do pracy. Po kilku godzinach raport był niemal gotowy. Uzgodniliśmy, że spotkamy się jeszcze raz w przyszłym tygodniu, po moim

powrocie z Majorki, dokąd dziś wylatywałam na krótkie seminarium, podczas którego miałam wygłosić referat o wolności słowa. Pożegnaliśmy się. Koledzy wyszli, znikając w mroku, a ja umyłam filiżanki, posprzątałam i wróciłam na górę, do mieszkania.

Dżawad czekał na mnie, siedząc na kanapie i oglądając telewizję.

– Co tak długo? Liczyłem, że wrócisz trochę wcześniej, zwłaszcza że zaraz znowu wyjeżdżasz.

Miał rację. Dwa lata temu nasza młodsza córka Nargess wyjechała za granicę na studia podyplomowe. Od tamtej pory coraz więcej czasu spędzałam w pracy. Skargi Dżawada, choć rzadkie, były uzasadnione. Klapnęłam obok niego na kanapie i lekko się przytuliłam.

– Przepraszam. Rozgadaliśmy się o wyborach i dłużej nam zeszło. Ale pociesz się, że to mój ostatni wyjazd przed wakacjami. Potem będziemy mieć całe trzy miesiące dla siebie. I dla Nargess.

Te wakacje mieliśmy spędzić z córką, która skończyła już studia podyplomowe w Kanadzie i teraz odbywała staż w Hadze. Nie mogłam się doczekać wspólnego wypoczynku na naszej działce pod Teheranem, wizyt krewnych w domku otoczonym sadem i posiłków na świeżym powietrzu, w promieniach słońca.

Zaczęłam płukać sałatę na sałatkę, potem nakryłam do stołu. Jedliśmy, kiedy z Niemiec zadzwonił kuzyn, że za kilka dni przyjeżdża do Teheranu. Zaproponowałam, by wpadł do nas na działkę. Zaświtało mi, że warto by też ściągnąć mojego brata i siostrę. Perspektywa rodzinnego spotkania poprawiła mi nastrój, kiedy pakowałam się przed podróżą. Właśnie wrzucałam ubrania do kabinówki, gdy wszedł Dżawad z herbatą.

– Zostaw to na chwilę, odpocznij przed podróżą.

W tamtej chwili kochałam męża jak nigdy w czasie naszego niemal 34-letniego pożycia. Zamartwiał się o moje zdrowie, beształ, żebym jadła

mniej ryżu, a więcej ćwiczyła. Przypominał mi o tym z autentycznej troski i, jak przystało na prawdziwego partnera, nigdy nie zrzędził. Taki był od samego początku. W pierwszych latach mojej praktyki sędziowskiej nigdy nie oczekiwał, że będę podejmować jego gości czy pichcić domowe przetwory – czego spodziewano się od przykładnej irańskiej żony i gospodyni. Później zaś opiekował się dziewczętami, kiedy musiałam służbowo wyjeżdżać za granicę.

Zadźwięczał dzwonek do drzwi. To szofer, który miał mnie zawieźć na lotnisko, skąd wyruszałam nocnym samolotem do Hiszpanii. Wzięłam walizkę i rozejrzałam się po pokoju, czy czegoś nie zapomniałam. Dżawad – jak zawsze – czekał na mnie w drzwiach mieszkania, trzymając w rękach Koran należący kiedyś do mojej mamy. Z czułym uśmiechem podniósł go wysoko, bym – zgodnie z irańskim zwyczajem – przeszła pod nim, zapewniając sobie w ten sposób spokojną i bezpieczną podróż. Trzykrotnie przeszłam pod świętą księgą, pochyliłam się, całując jej okładkę, po czym przytuliłam się do męża.

– Wracaj szybko – powiedział, ściskając mnie za ramię.

Zeszłam do czekającej na mnie taksówki. Wciąż czułam na plecach ciepło jego dłoni. Skąd miałam wiedzieć, że już nigdy nie zobaczę swojego domu ani ojczyzny?

12.
Cud nad urną

Na Majorkę dotarłam jedynie ciałem. Głową i myślami wciąż byłam w Teheranie. Zaraz po wejściu do pokoju hotelowego włączyłam komputer. Stacje informacyjne mówiły o gigantycznej frekwencji w lokalach wyborczych. Jedynie liczny udział rodaków dawał szasnę na pokonanie Ahmadineżada i jego sprzymierzeńców, fundamentalistów.

Następnego dnia w towarzystwie mojej tłumaczki Rimy i kilku organizatorów siedziałam w kafejce przy brukowanej uliczce starówki w Palma de Mallorca. W pewnym momencie Rima zerknęła na komórkę i zawołała radośnie:

– Musawi wygrał!

Zanim jednak zdążyłyśmy wytłumaczyć naszym towarzyszom, co się stało, i przyjąć gratulacje, dotarł kolejny e-mail.

– Ahmadineżad wygrał w pierwszej turze, zdobywając 24 miliony głosów – odczytała z przygnębieniem Rima.

Spojrzałam na zegarek, obliczając różnicę czasu. Jak jest możliwe, że głosy tak szybko przeliczono? I jak to, 24 miliony? Skąd ta miażdżąca przewaga? Gdzie w dniach poprzedzających wybory ukryli się zwolennicy Ahmadineżada? Co z głosami młodych, którzy tak tłumnie wylegali na miasto? Byłam przytłoczona, gdy dotarło do mnie, co to za sobą pociąga: biuro Centrum Obrony Praw Obywatelskich pozostanie zamknięte jeszcze co najmniej przez cztery lata. Przeprosiłam towarzystwo i wróciłam do hotelu, gdzie przez wiele godzin nie wstawałam od laptopa. Karubi i Musawi oprotestowali wyniki, uznając, że zostały sfałszowane. Według oficjalnych danych Karubi miał otrzymać zaledwie 300 tysięcy głosów – mniej, niż wynosi liczba członków jego partii oraz komitet wyborczy. Musawi zgłosił własne zarzuty. Mówiono o majstrowaniu przy urnach.

Zwracano uwagę na nadzwyczajny pośpiech, z jakim ogłoszono wyniki wyborów. Podkreślano także zdumiewający podział głosów: wszyscy kandydaci partii reformatorskich przegrali w swoich rodzinnych miejscowościach. Nie do pomyślenia! Coraz częściej padały słowa takie jak „oszustwo”. Zdumieni Irańczycy gromadzili się na ulicach. Cały wieczór spędziłam przy telefonie, rozmawiając z krewnymi i współpracownikami.

Następnego dnia, zaraz po przebudzeniu dowiedziałam się, że najwyższy przywódca Iranu wysłał Ahmadineżadowi telegram gratulacyjny. To przypieczętowało sprawę. Oznaczało, że sprzeciw umiarkowanych ugrupowań zostanie zignorowany. Przed Ministerstwem Spraw Wewnętrznych ponownie zgromadziły się tłumy. Ludzie nie zgadzali się z oficjalnymi wynikami. Urzędnicy wyszli do nich, obiecując, że zbadają zarzuty, ale nie ulegało wątpliwości, że władza uważa kwestię za zamkniętą. Teraz Irańczycy muszą tylko to zaakceptować.

Tym razem jednak naród nie zamierzał się podporządkować tak łatwo. 13 czerwca koło północy zaczęły się aresztowania. Władza zamknęła najbardziej szanowanych polityków. Uwięziono nawet doktora Ebrahima Jazdiego, 78-letniego przywódcę Ruchu Wolności cierpiącego na nowotwór, który leżał wtedy pod kroplówką. Przetransportowano go do więzienia na jego łóżku szpitalnym.

Tej samej nocy, koło godziny trzeciej, grupa zwolenników Ahmadineżada wspierana przez policję zaatakowała akademik Uniwersytetu Teherańskiego. Zastrzelono pięciu studentów, a raniono co najmniej 100.

15 czerwca miliony Irańczyków wyległo na ulice stolicy. Były to najliczniejsze demonstracje od rewolucji islamskiej 1979 roku. Ludzie szli spokojnie, na ogół w milczeniu, trzymając tablice z napisami: „Gdzie mój głos?”, „Nasza cisza wykrzykuje to, czego nie możemy powiedzieć”. Nieśli

też kilkusetmetrową zieloną taśmę na znak poparcia dla Musawiego, który osobiście wyszedł powitać protestujących. Obiecał, że spróbuje coś zrobić; że ich głosy nie pójdą na marne. Rzesze manifestantów zachowywały się spokojnie, a mimo to służby porządkowe dwukrotnie strzelały do obywateli. Przy arsenale rannych zostało co najmniej dwóch młodych ludzi. Kiedy zawieziono ich do szpitala, zjawili się agenci i przetransportowali do więzienia. Wszyscy zagraniczni dziennikarze otrzymali z Ministerstwa Kultury i Przewodnictwa Islamskiego polecenie opuszczenia Iranu. Aresztowano też wielu irańskich dziennikarzy, a innych straszono, że snajperzy tylko czekają, aż opuszczą dom, by otworzyć ogień.

Sympatyczny pokój hotelowy na Majorce – ze swoją niebieską narzutą w jaskrawe wzory i cytrynowymi ścianami – wydawał mi się klatką. Dowiedziałam się, że kilkoro moich współpracowników aresztowano; inni otrzymywali pogróżki i musieli się ukrywać. W pewnym momencie władze osłabiły sygnał, utrudniając połączenie z Internetem. Docierało do mnie coraz mniej e-maili, więc kontaktowałam się głównie przez telefon.

– To zamach stanu. Nie wracaj teraz do Teheranu – ostrzegał jeden ze znajomych, do których udało mi się dodzwonić. – Odczekaj co najmniej miesiąc.

Zarówno Dżawad, jak i mój brat, z którymi regularnie rozmawiałam, kategorycznie zabraniali mi powrotu.

– Aresztują cię na lotnisku – mówił Dżawad. – W tym momencie panuje absolutny chaos. To zbyt niebezpieczne.

Nie przerażała mnie perspektywa więzienia. Wiedziałam, że z politycznego punktu widzenia ta decyzja byłaby dla władzy zbyt kosztowna, dlatego nie odważyłaby się długo przetrzymywać noblistki i szybko wyszłabym na wolność. Tajni agenci to już inna sprawa. Rozegraliby to znacznie sprytniej. Dopilnowaliby – jak to czynili

w przeszłości – żeby tłum zaatakował mój dom, a ja żebym zginęła w zamieszaniu.

Kiedy o zmierzchu siedziałam na łóżku, wpatrując się w srebrzystoniebieskie fale, przypomniała mi się sprawa sprzed wielu lat. Kiedy w 1999 roku reprezentowałam krewnych dysydenckiego małżeństwa zamordowanego przez agentów od brudnej roboty, w dokumentach państwowych trafiłam na listę osób do likwidacji. Tamta para została zasztyletowana we własnym domu w listopadzie 1998 roku. W ciągu trzech tygodni od jej śmierci na obrzeżach Teheranu znaleziono ciała trzech dysydenckich autorów. Wszyscy zostali uduszeni. Wiele osób uważało, że między tymi morderstwami istniał związek. Nikt jednak nie przypuszczał, że może być coś tak wyrachowanego i pozbawionego emocji, jak zwykła lista ofiar sporządzona przez państwowych agentów. Większość pisarzy oraz intelektualistów z listy już nie żyła, ale zostało jeszcze kilka nazwisk. Między innymi moje. Ministerstwo Wywiadu oficjalnie wyraziło zgodę na moją śmierć. Wtedy akurat wyroku nie można było wykonać, bo ugrupowania reformatorskie zaczęły ujawniać związki państwa ze szwadronami śmierci. Ale co teraz, kiedy władza czuła się zagrożona jak nigdy przedtem?

W głowie kłębiły mi się myśli. Niespójne, często wzajemnie się wykluczające. Skoro Republika Islamska modli się o moją śmierć, pytałam w duchu, dlaczego właściwie mam jej pomagać? Równocześnie jednak chciałam wrócić do Iranu, do rodziny i współpracowników. Pragnęłam dzielić ich los, znosić to, co przyniesie przeznaczenie. Jak w transie spakowałam walizkę, nie wiedząc nawet, gdzie właściwie z nią trafię.

Niepewnie wsiadłam do samolotu. Przesiadka w Madrycie. Potem w Amsterdamie. Tam trzygodzinne oczekiwanie na lot. Czas zabijałam, snując się po terminalu. Wciąż się wahałam. Stanęłam przy bramce,

wpatrując się w tablicę z napisem „Teheran”. Zazdrośnie przyglądałam się tym wszystkim, którzy bez lęku wybierali się w podróż. Ustawiłam się w kolejce, ale w ostatniej chwili się wycofałam. Niewykluczone, że ta decyzja przesądziła o moich losach. Często zastanawiałam się, jak potoczyłoby się moje życie, gdybym wsiadła do tamtego samolotu. Może skazano by mnie na areszt domowy, jak przywódców opozycyjnego Zielonego Ruchu. A może stałabym się głosem opozycji, nie pozwalając światu zapomnieć o Iranie.

Wyszłam z hali odlotów i zadzwoniłam do Nargess.

– Nargess *jan*, przyjeżdżam – powiedziałam.

Potem złapałam pociąg i pojechałam do córki.

13.
Z dala od ojczyzny

Przez pierwsze dni społeczność międzynarodowa jak zahipnotyzowana śledziła sytuację na Bliskim Wschodzie: demonstracje, walkę narodu o wolność. Spodziewałam się, że najwyższy przywódca Chamenei ugnie się pod naciskiem protestujących, przyzna, że doszło do oszustwa i powtórzy wybory. Musawi zgodził się nawet, że nie będzie ubiegał się o stanowisko, otwierając w ten sposób Ahmadineżadowi drogę do złożenia urzędu. Im dłużej jednak oglądałyśmy z Nargess wiadomości w jej mieszkaniu nad rzeką, tym bardziej upewniałyśmy się, że reżim nie tylko nie zamierza się cofnąć, ale jeszcze postanowił bezwzględnie zdławić protesty.

W tych pełnych napięcia dniach drugiej połowy czerwca państwo pchnęło na ulice miast cały swój arsenał: policję, agentów bezpieczeństwa i bojówkarzy. Siły reżimu biły protestujące pokojowo starsze kobiety; otwierały ogień do bezbronnych tłumów złożonych z młodych i starych, z przedstawicieli klasy średniej i robotników. Na jednej z ulic bojówkarz zastrzelił młodą kobietę, Nedę Aghę-Soltan. Jej bezwładne ciało osunęło się na asfalt. Ludziom udało się schwytać zabójcę. Zabrali mu legitymację, by mieć dowód, że pracował dla władzy. Ktoś zdołał sfilmować całe zajście i wrzucić materiał do sieci. Klip błyskawicznie stał się viralem, a nieruchoma twarz dziewczyny najlepiej symbolizowała brutalność reżimu.

W tamtych dniach wiadomo było, że policja często aresztuje rannych zgłaszających się na ostry dyżur. Dlatego poszkodowani woleli wracać do domówi i tam czekali, aż zbada i opatrzy ich zaufany lekarz.

Demonstrujący Irańczycy bardzo się pilnowali, by nie reagować agresją i nie szukać odwetu. Doskonale zdawali sobie sprawę, że najmniejsza przemoc da władzom pretekst do jeszcze brutalniejszej reakcji: zaczną się

masowe zabójstwa i aresztowania, podobnie jak w początkach rewolucji, kiedy Irańczycy nie akceptowali nowych porządków.

Tak więc manifestanci uparcie wychodzili na ulice, skandując:

– Nie chcemy państwa religijnego! Śmierć dyktatorowi!

W miarę jak rosło napięcie i coraz wyraźniej było widać, z jak potężnym oporem musi zmierzyć się władza, Irańczycy zaczynali się skarżyć, że Stany Zjednoczone zbyt słabo wspierają protestujących.

– Dlaczego Obama czegoś nie zrobi? – pytali ludzie.

Jego reakcję powszechnie uważano za zbyt mdłą i rozczarowującą. Część Irańczyków wierzyła, że zdecydowana deklaracja zmieniłaby sytuację w kraju; inni sądzili, że miałaby wartość symboliczną, a już to by wystarczyło. Ja jednak byłam zdania, że ostrożne, wyważone oświadczenia prezydenta Obamy stanowiły optymalne rozwiązanie. Bo co właściwie mógł zrobić? Miał wysłać oddziały, które broniłyby protestujących? Oczywiście, że nie. Miał co tydzień wygłaszać komunikaty, w których potępiałby najwyższego przywódcę, a pochwalał opozycję? W ten sposób jedynie by zaszkodził. Dostarczyłby bowiem establishmentowi pretekstu, żeby nazwać opozycję pachołkami Ameryki, co z kolei mogłoby doprowadzić do rozdźwięku między przywódcami opozycji a zwykłymi Irańczykami. Moim zdaniem subtelne, acz celne uwagi amerykańskiego prezydenta świadczyły o doskonałym wyczuciu dynamiki i sytuacji wewnętrznej Iranu. Nie sprowokował on reżimu dając pretekst, by reakcją Ameryki usprawiedliwiać bezwzględną rozprawę z demonstrantami.

W najgorętszych dniach protestów regularnie wypowiadałam się w zagranicznych mediach. Byłam w stałym kontakcie z przyjaciółmi i współpracownikami z Teheranu. W niezliczonych wywiadach i wystąpieniach przekazywałam to, o czym od nich usłyszałam. Dość szybko władze zaczęły regularnie wzywać na przesłuchania dwie moje koleżanki. Za ich pośrednictwem rząd przesyłał mi prosty komunikat: „Jeśli Ebadi zachowa neutralność, zostawimy ją w spokoju. A kiedy wszystko przycichnie, pozwolimy jej nawet ponownie uruchomić biuro. Wszystko pod jednym warunkiem. Ma milczeć”.

Moja odpowiedź brzmiała równie prosto: „Nie angażowałam się w walkę wyborczą, nie popierałam żadnego polityka. Zawsze stoję wyłącznie po stronie narodu i bronię praw każdego obywatela. To oczywiste, że nie mogę milczeć, gdy ludzie są bici i mordowani. Mój ośrodek stanowi przede wszystkich azyl dla prześladowanych. Skoro mam milczeć, nie bronić moich rodaków, to po co mi biuro?”.

W propozycji służb bezpieczeństwa kryła się ważna informacja: nie chcieli, żebym mówiła o obecnych nadużyciach i prześladowaniach. Dostrzegali w tym zagrożenie, dlatego zależało im na moim milczeniu. Czemu miałabym spełnić ich wolę? Zwłaszcza że informacje docierające z Iranu z dnia na dzień coraz bardziej przerażały.

Wielu demonstrantów umieszczano w prowizorycznym więzieniu Kahrizak, które w świadomości Irańczyków zajmuje dziś podobne miejsce jak Abu Ghraib w świadomości Irakijczyków. Były to stare pomieszczenia magazynowe z prefabrykatów, podzielone na ciasne klitki, w których upychano więźniów, często odmawiając im nawet dostępu do toalety.

Tortury – wyjątkowo brutalne – były tu na porządku dziennym. Strażnicy wbijali mężczyznom w odbyt butelki i pałki, gwałcili kobiety. Wielu zatrzymanych umierało w tych nieludzkich warunkach; między innymi syn wysoko postawionego urzędnika; jak na ironię, on akurat popierał Ahmadineżada. Dopiero po jego śmierci polityczny establishment zainteresował się, co właściwie dzieje się w Kahrizaku. Dopóki ofiarami byli *gheir-chodi* – ludzie spoza układu, bez związków z władzą – ich los go nie obchodził.

Pod koniec lipca 2009 roku Irańczycy wycofali się z ulic. Informacje o gwałtach i znęcaniu się w Kahrizaku uświadomiły ludziom, jaką cenę trzeba będzie zapłacić za przeciwstawienie się reżimowi. Większość uznała, że nie dojrzała, by oddać życie albo pozwolić je sobie złamać – ale w sercach dalej płonęły żal i uraza. Pojawił się nowy zwyczaj: co wieczór w całym mieście ludzie wylegali na dachy swoich budynków, głośno wołając: „Allahu Akbar!”. W kraju islamskim wykrzykiwanie z dachów, że Bóg jest wielki, nie powinno przecież nikogo oburzać ani pociągać za sobą kary. Równocześnie jednak te słowa niosące się nad ulicami i dzielnicami oznaczały coś więcej. Dla każdego, kto je słyszał – także dla władz – były sygnałem, że Irańczycy nie zapomnieli. Krzyk „śmierć dyktatorowi!” pozostał w ich sercach, wyryty tam na zawsze.

Ahmadineżad zachłystywał się zwycięstwem, nazywając swoich przeciwników *chas o chaszak* – pyłem i śmieciem. Na krótką metę rzeczywiście mógł odtrąbić sukces. Został prezydentem, zdławił największe i najpoważniejsze spontaniczne powstanie od czasów rewolucji islamskiej. Chamenei potwierdził swe całkowite, niezachwiane poparcie dla Ahmadineżada, Gwardia Rewolucyjna zaś, która kierowała represjami i nie dopuściła do zachwiania systemu, zyskała jeszcze większą władzę. Prezydent przyznał kilku gwardzistom stanowiska ministerialne. W ten

sposób Gwardia umocniła i rozszerzyła swoje – już niebagatelne – wpływy na gospodarkę Iranu. Moralne zwycięstwo jednak odnieśli naród i protestujący. W społeczeństwie widać było wyraźne przesunięcie: od obojętności wobec reżimu do autentycznego obrzydzenia. Mohammad Reza Szadżarian, najwybitniejszy irański muzyk, mistrz klasycznego śpiewu perskiego, który otwarcie utożsamiał się z „pyłem i śmieciem", zażądał, by w telewizji publicznej nie emitowano jego utworów; z kolei muzyk młodszego pokolenia skomponował piosenkę *Chas o Chahszak*, która błyskawicznie podbiła Internet.

W tamtym okresie co wieczór rozmawiałam z Dżawadem. Albo ja telefonowałam w porze, gdy już powinien wrócić z pracy, albo on dzwonił na domowy numer Nargess. Pewnego wieczoru wspomniał, że przyszło do mnie wezwanie sądowe.

– Tłumaczyłem, że nie ma cię w kraju – mówił.

– To kolejne ostrzeżenie – odparłam. – Chcą, żebym milczała.

Dość nasłuchałam się o przesłuchaniach, a potem zatrzymaniach moich współpracowników oraz o okrucieństwach, jakich dopuszczano się w Kahrizaku, by nie zdawać sobie sprawy, że szybko nie wrócę do Iranu. Niewyobrażalnie mnie to przygnębiało. Jak mam się rozstać z moim ukochanym Teheranem? Przecież nie uciekłam z Iranu nawet w najtrudniejszym okresie: w czasie wojny z Irakiem, kiedy na miasto raz za razem spadały bomby. Nie opuściłam kraju. Nigdy nie zgadzałam się z decyzją przyjaciół, którzy wybierali emigrację. W czerwcu 2009 roku nie wylatywałam z myślą, by zostać za granicą. Zabrałam ze sobą tylko kabinówkę.

Czas mijał, a smutek nie ustępował. Co dzień z dojmującym uczuciem wyobcowania patrzyłam na schludne rzędy cynamonowych i czerwonych jak tulipany budynków. Swoje skromne mieszkanko – które, jak to

w Holandii, miało umywalkę w pokoju dziennym – Nargess ozdobiła irańskimi kilimami i ceramiką, ale mimo znajomych tkanin i wzorów czułam się straszliwie rozbita.

Któregoś ranka, przeglądając się w lustrze łazienkowym, zauważyłam na szyi dziwną opuchliznę. Tuż pod brodą, po prawej stronie wyskoczył guz wielkości orzecha włoskiego. Nie był bolesny, ale pierwsze, co w takiej sytuacji przychodzi do głowy, to oczywiście rak. Zwłaszcza że moja siostra niedawno zmarła na nowotwór. Musiałam pójść do lekarza. Ale do kogo? Byłam przecież w Holandii, gdzie moje ubezpieczenie zdrowotne nie obowiązywało.

Dopiero kilkanaście dni później zwierzyłam się ze swojego problemu znajomej, która skierowała mnie do specjalisty. Lekarz mieszkał w Hadze. Słyszał o mojej działalności i cenił wysiłki. Zgodził się mnie przyjąć, nie biorąc pieniędzy za konsultację. Po badaniu i tomografii stwierdził, że napięcie nerwowe spowodowało blokadę przewodów ślinowych. Przepisał mi środki uspokajające, które okazały się dość skuteczne. Nie rozwiązały jednak podstawowego problemu. Mój głęboki smutek brał się z tęsknoty za Iranem. Żaden lek nie mógł uciszyć tego bólu.

W niektóre dni o zachodzie słońca wydawało mi się, że słyszę wezwanie modlitewne – *azaan*, jak je nazywamy po persku. Tłumaczyłam sobie, że pewnie w pobliżu jest meczet i że się za nim rozejrzę. Wkrótce jednak przekonałam się, że w okolicy nie ma żadnego; to mój mózg produkował znajome dźwięki. Czasem wpadała mi w ucho czyjaś rozmowa w sklepie i dałabym głowę, że słyszałam strzępki perskiego. Wytężałam słuch i wtedy na ogół okazywało się, że jednak się myliłam. Sięgnęłam po jedyne znane mi lekarstwo: pracowałam jeszcze ciężej. Częściej wyjeżdżałam, wygłaszałam więcej przemówień, udzielałam liczniejszych

wywiadów. Dzięki harówce udawało mi się – zazwyczaj – nie dopuszczać do siebie mroku.

14.
Zdrada

W sierpniu 2009 roku Nargess i ja opuściłyśmy Hagę, by spędzić miesiąc u Negar, która nadal mieszkała w Atlancie. Nargess przyjęto na studia doktoranckie w Londynie. Zajęcia rozpoczynały się we wrześniu, a ona przed przeprowadzką do Anglii chciała spędzić trochę czasu z siostrą. W Georgii panował upał i większość dnia spędzałyśmy w chłodnym, klimatyzowanym mieszkaniu Negar z przeszklonymi ścianami, z widokiem na porośnięty bujną roślinnością park. Ilekroć rozmawiałam przez telefon, siadałam na wprost szyby i patrzyłam na dzieci, które kopały piłkę albo jeździły na rowerach, ściskając w ręku lody.

Telefon stał się dla mnie – zapewne tak samo jak dla większości wygnańców – liną ratowniczą, jedynym łącznikiem z tym, co w moim życiu najdroższe i najważniejsze. Z Dżawadem kontaktowałam się dwa, trzy razy w tygodniu w ustalonych terminach. Miał specjalny telefon do rozmów ze mną – z kartą SIM kupioną na cudze nazwisko, co utrudniało władzom jej namierzenie. Unikaliśmy dzwonienia na numery domowe, które traktowałam jak głośniki podłączone wprost do stanowiska nasłuchowego Ministerstwa Wywiadu.

Pewnego poniedziałku nie udało mi się skontaktować z mężem w ustalonej porze, ale nie przejęłam się szczególnie. Dżawad jako konsultant często wyjeżdżał w krótkie delegacje, a długie weekendy chętnie spędzał z przyjaciółmi na naszej działce. Sygnał był tam słaby, więc zazwyczaj rozmawialiśmy dopiero wtedy, gdy wracał do Teheranu. W następnych dniach jednak też nie zdołałam się do niego dodzwonić. Zatelefonowałam więc do swojej siostry Nuszin, która mieszkała w Teheranie, i poprosiłam, by zastukała do mieszkania. Nikt nie odpowiadał. Dżawad nie odbierał także, gdy dzwoniłam na jego komórkę.

Zdesperowana wybrałam numer domowy, ale w słuchawce rozległo się tylko buczenie.

Wreszcie odezwała się Nuszin. Zapukała do nas jeszcze raz i zastała Dżawada w mieszkaniu. Mówiła, że dopiero co wrócił z podróży, źle się czuł i od razu położył się do łóżka.

Następnego dnia, kiedy byłam w mieszkaniu Negar, mąż zadzwonił do mnie na komórkę.

– Szirin? – odezwał się niepewnie, drżącym głosem.

– Gdzie byłeś? Nuszin cię szukała!

– Szirin, nie wiem, czy zdołasz mi wybaczyć. A może po prostu to i tak dłużej nie mogło już trwać.

Słyszałam jego płytki oddech.

– Płaczesz? – Ręką mimowolnie dotknęłam szyi w miejscu, gdzie wreszcie zniknął guz. – Co się stało?

– Wybaczysz mi?

– Dżawad! Najpierw powiedz, co się stało!

Głucho, zdławionym głosem zaczął opowiadać, co się wydarzyło w ciągu niecałych dwóch tygodni, które upłynęły od naszej ostatniej rozmowy. Oto co miał do przekazania mój mąż, z którym przeżyłam 34 lata.

Czuł się, jak to ujął, „bardzo samotny i pusty w środku”. Pewnego wieczoru jego znajoma, niejaka pani Dżafari, zatroszczyła się o jego – ponoć mizerne – samopoczucie i zaprosiła go do swojego niewielkiego, trzypokojowego mieszkanka w dzielnicy Jusef Abad na północy Teheranu.

– Ku memu olbrzymiemu zaskoczeniu zjawiła się też nasza wspólna znajoma, Mehri.

Tu urwał i dopiero po chwili podjął opowieść.

– Mnie i Mehri... łączyła kiedyś miłosna przygoda. Ale potem bardzo długo się nie widzieliśmy. Przez wiele lat. Zerwaliśmy tamten związek. Pani Dżafari uważała jednak, że powinniśmy do siebie wrócić. Dolewała nam alkoholu i powtarzała, że oboje przechodzimy trudny okres i moglibyśmy znaleźć w sobie oparcie. Raz za razem podkreślała, że teraz, gdy żona wyjechała, zostałem sam jak palec i potrzebuję kogoś, kto okaże mi odrobinę uczucia.

Po czym, jak twierdził mój mąż, rzeczona pani Dżafari oświadczyła, że jest umówiona, i wyszła, proponując, by Dżawad i Mehri poczekali na jej powrót.

– Zrozumieliśmy, że zrobiła to specjalnie. Mehri zaczęła się rozbierać, przytulać, opowiadać, jak bardzo za mną tęskniła.

Dżawad zawiesił głos, ale ja milczałam.

– Szirin? Jesteś tam? Słuchasz?

Siedziałam bez słowa, jak oniemiała. Nigdy nawet nie przeszło mi przez myśl, że Dżawad mógł mnie zdradzić. Z natury nie byłam podejrzliwa, nigdy nie zniżyłabym się, by przeglądać jego e-maile czy notes z adresami. On nigdy nie wypytywał o mężczyzn, z którymi współpracowałam, ja też okazywałam podobne zaufanie. Sądziłam, że ten układ – wzajemny szacunek – sprawdza się w naszym związku. Aż do tej chwili. Jak ogłuszona wpatrywałam się w stolik: rozrzucone gazety, podkładkę pod - filiżankę z reprodukcją Rembrandta, pastylki lawendowe. Wszystko wyglądało identycznie jak pięć minut temu. Jak śmiało wyglądać tak samo?

– Mów dalej.

– Pieściła mnie dalej... I... I w końcu uległem pokusie. Obejmowaliśmy się w sypialni, gdy nagle drzwi drugiego pokoju otworzyły się z trzaskiem. Do środka wpadli Mahmudi, agent wywiadu i dwóch kamerzystów. Zerwałem się, próbowałem wstać, ale powiedzieli, że wszystko mają

nagrane. Każde zdanie, całą tę sytuację. Byłem tak przerażony, Szirin, że bałem się, czy zaraz tam nie zemdleję.

Ukryłam twarz w dłoniach i zamknęłam oczy. Wyobrażałam sobie Mahmudiego, jak stoi tam nad moim mężem, chełpiąc się tak długo oczekiwanym triumfem. Sam ten obraz obudził we mnie furię. Stokroć bardziej byłam wściekła na Mahmudiego i jego agentów niż na Dżawada.

Dżawad nawet już nie próbował pohamować łez. Co kilka sekund przerywał, by nabrać tchu i ciągnąć opowieść.

– Nie wiedziałem, co robić. Mahmudi zadzwonił po kogoś. Wezwał funkcjonariuszy, którzy ewidentnie czekali na ulicy, żeby przyszli na górę. Kazał mnie i Mehri się ubrać. Jakoś się pozbierałem i włożyłem ciuchy. Po paru minutach w mieszkaniu zaroiło się od agentów. Skuli mnie, zawiązali opaskę na oczach i wyprowadzili na zewnątrz. Zszedłem po schodach, potykając się. Potem wepchnęli mnie do samochodu, zmuszając do pochylenia głowy, żeby nikt mnie nie rozpoznał.

– A co się stało... z tą kobietą? I z gospodynią?

Próbowałam ukryć wściekłość, ale imię tamtej kobiety nie przeszło mi przez gardło.

– Aresztowali tylko mnie. Jestem pewien, że Dżafari z nimi współpracowała. Jak inaczej zainstalowaliby cały sprzęt przed naszym przyjściem? Trudno powiedzieć, jaką rolę odegrała Mehri. Wiem tylko, że jej nie zabrali.

Dżawad opowiedział, że agenci zawieźli go prosto do więzienia w Ewin, gdzie tak często odwiedzałam swoich klientów, a także sama byłam

przetrzymywana przez 25 dni. Opisywał, jak kazali mu się rozebrać i położyć na drewnianej desce. Następnie biczami smagali go po nagich plecach za to, że tamtego wieczoru spożywał alkohol. Czy oprawca trzymał pod pachą Koran, żeby nie uderzać za mocno? Zapomniałam spytać. A może Dżawad wciąż miał zasłonięte oczy i nie widział?

W końcu zaprowadzili go do karceru: ciasnej celi, niewiele większej od wanny. Tam został sam. Nikt nie opatrzył krwawych śladów po chłoście. Cela była tak maleńka, że pokonywał ją dwoma krokami. Podłogę przykrywał brudny, pożółkły, stęchły dywanik. Dżawad nie dostał materaca, zaledwie jeden koc. Z własnego pobytu w Ewin doskonale pamiętam ten przejaw czystej złośliwości. Mając jeden koc, musisz wybrać: czy zrolujesz go i podłożysz pod głowę jak poduszkę – pozbawiając się w ten sposób przykrycia – czy też przykryjesz się, nabawiając się bólu karku i kręgosłupa od snu bez podpory. Taki zresztą cel przyświecał oprawcom: zmusić do bezsenności, zintensyfikować niewygody.

Dżawad spędził w karcerze dwie doby. Wodził palcami po betonowych ścianach i wyczekująco patrzył na judasza, przez którego strażnicy zaglądali do środka, ale nikt się nie zjawił. W celi i na korytarzu cały czas paliły się jarzeniówki, aby nie można było odróżnić dnia od nocy. Mój mąż zaczął popadać w paranoję. Podejrzewał, że chleb i herbata, które przyniesiono mu jako śniadanie, miały jedynie pogłębić jego dezorientację; że tak naprawdę ten poranny posiłek otrzymał wieczorem.

Trzeciego dnia w celi zjawiło się dwóch strażników. Znów zasłonili mu oczy, a w dłonie wepchnęli drążek. Dżawad ściskał jeden koniec, a funkcjonariusz trzymał drugi, prowadząc go labiryntem korytarzy i schodów – to na górę, to w dół. Wreszcie dotarli do jakiegoś pomieszczenia. Tam zdjęli mu przepaskę. Okazało się, że znajduje się

w czymś w rodzaju sali rozpraw pozbawionej okien. Za drewnianym stolikiem siedział brodaty duchowny, a obok niego czekał protokolant.

Sędzia – mężczyzna po 50, z kanciastą szczęką i rzadkim zarostem – zimno patrzył na Dżawada spod przymrużonych powiek.

– Obejrzałem cały film. Niech pan nawet nie próbuje się bronić ani wypierać. Jest pan żonaty. Dopuścił się pan cudzołóstwa. Zgodnie z paragrafem 225 islamskiego kodeksu karnego skazuję pana na śmierć przez ukamienowanie. Wyrok zostanie wykonany za dwa dni.

– Żądam prawnika – oświadczył Dżawad. – Niczego nie zrobię bez konsultacji z adwokatem.

– Adwokat? – prychnął sędzia rozbawiony. – A cóż on tu zdziała? Mamy nagranie. Całą schadzkę. Wszystko jest na taśmie. Niby jakie usprawiedliwienie pan przedstawi? Lepiej już idź, człowieku. Idź i wstydź się swojego niecnego postępku. Masz dwa dni, żeby przebłagać Boga. Może przynajmniej twoja dusza nie dozna wiecznego potępienia.

Cała rozprawa trwała może 20 minut, nie więcej. Irańscy sędziowie niezwykle rzadko skazują na kamienowanie. Najwyraźniej jednak sytuacja wymagała nadzwyczaj surowej, przerażającej kary. Po wszystkim strażnicy znów zawiązali Dżawadowi przepaskę na oczach, dali drążek i odprowadzili do celi. Mąż opisywał swoje przerażenie; całkowitą dezorientację, gdy nie wiedział, czy jest dzień, czy noc; klaustrofobiczne uczucie, gdy zaciskały się wokół niego betonowe ściany i przytłaczała cisza; brak czegokolwiek do czytania, do zajęcia myśli. Słuchałam tego ze ściśniętym sercem. Ci, którzy siedzieli w więzieniu, nazywali karcer „białą torturą”. Dla zwykłych ludzi, takich jak Dżawad – kompletnie nieprzygotowanych do tej sytuacji – to było prawdziwe piekło. W Centrum Obrony Praw Obywatelskich szkoliliśmy dysydentów i działaczy politycznych, żeby wiedzieli, jak sobie z tym poradzić. Poznawali różne

metody i sztuczki, dzięki którym lepiej znosili sytuację; uczyli się, jak wygrywać z paniką. Dżawad nie posiadł żadnej z tych umiejętności. Nigdy szczególnie nie angażował się w politykę ani w sprawy, które prowadziłam. Ciężko pracował, a wolne chwile wypełniała mu muzyka i kultura.

Następnego dnia po rozprawie – choć trudno powiedzieć, ile czasu naprawdę minęło – w celi Dżawada pojawił się Mahmudi, człowiek, który postawił sobie za cel zniszczyć mi życie. Towarzyszył mu jego przełożony, który przedstawił się jako Farahani.

Na widok Dżawada skulonego w kącie celi – zarośniętego, z przetłuszczonymi włosami i ciemnymi kręgami pod oczami – w oczach Mahmudiego pojawił się triumfalny błysk.

– Teraz wreszcie Ebadi zobaczy skutki swojej działalności – oznajmił, jakby obwieszczał tłumom swoją osobistą wiktorię. – Ileż to razy ostrzegałem? Ileż to razy mówiłem jej: „Zamknij się w końcu”. Ale ona nie słuchała.

Dżawad wstał, żeby nie odzywać się do nich z podłogi.

– Czemu mam odpowiadać za czyny swojej żony? Jaką podłą grę ze mną prowadzicie? Z powodu działań mojej żony wykorzystujecie islam, żeby mnie prześladować?

Oczy Mahmudiego pociemniały. Rzucił się na Dżawada, pięścią tłukł go po twarzy. Później poderwał jego głowę i znów wymierzył cios.

– Nie waż się więcej wspominać o islamie! Słyszałeś? – Pchnął mojego męża na ścianę i kopnął w brzuch. – W twoich ustach to brzmi jak bluźnierstwo! Na litość boską, jak w ogóle śmiesz wypowiadać to słowo? Ty, który w odrażający sposób pogwałciłeś szariat! Od kiedy tu jesteś, ani razu się nie pomodliłeś! I ty śmiesz podważać naszą wiarę?

W tym momencie Dżawad uświadomił sobie, że musieli filmować go w celi. Jak inaczej dowiedzieliby się, że od aresztowania się nie modlił?

Podniósł dłoń do ust, żeby wytrzeć krew tryskającą z rozciętej wargi, a potem ramionami zasłonił głowę przed ciosem.

– Przysięgam na Koran, nic nie wiem o planach ani działaniach Szirin. Nie karzcie mnie za jej czyny.

Mahmudi dyszał, zmęczony biciem.

– Ebadi przechwalała się kiedyś, że nie zdołamy jej uderzyć. Pyszniła się tym, uważała się za niezwyciężoną. Teraz przekona się, jak wielka jest jej słabość.

Kiedy Dżawad zrozumiał, że błagania albo protesty tylko sprowokują Mahmudiego do dalszego bicia, spytał, czego od niego żądają.

Wtedy po raz pierwszy odezwał się Farahani: masywny mężczyzna z wydatnym brzuchem, świecącym czołem i zrośniętymi brwiami.

– Wreszcie zaczynasz dostrzegać sedno sprawy. Dopóki bronisz żony, świadczy to, że jesteś jej sprzymierzeńcem i wspólnikiem. Dlatego zasługujesz na karę. Jeśli zaś prawda wygląda inaczej, musisz nam to udowodnić. Musimy usłyszeć z twoich ust, że myślisz inaczej niż ona.

– Wystarczy, że usłyszycie?

To brzmiało podejrzanie łatwo.

– Cóż, potrzebowalibyśmy przekonującego dowodu. Musisz stanąć przed kamerą i powtórzyć kwestie, które każę ci powiedzieć. Jeśli to zrobisz, puścimy cię wolno.

– A wyrok sądu?

Farahani wybuchnął śmiechem.

– Moje słowo znaczy tu więcej niż werdykt sądowy. Zgódź się na rozmowę, naucz się swoich kwestii, a zaraz po nagraniu wyjdziesz na wolność.

Z tekturowej teczki, którą trzymał w ręku, wyjął kartkę i podał Dżawadowi.

– Wykuj to na blachę. Powtórz tyle razy, żebyś jutro rano wyrecytował to przed kamerą z pamięci.

– Wypocznij – rzucił Mahmudi i mężczyźni wyszli z celi, z hukiem zatrzaskując metalowe drzwi.

Dżawad opadł na posadzkę i rozłożył przed sobą arkusz. Widniało na nim poniższe oświadczenie:

> Szirin Ebadi nie zasługiwała na Nagrodę Nobla. Otrzymała ją wyłącznie po to, by pomóc w obaleniu Republiki Islamskiej. Popiera Zachód, zwłaszcza Amerykę. Nie działa na rzecz rodaków, lecz w interesie zachodnich imperialistów próbujących osłabić Iran.

Palce wilgotne od krwi płynącej z rozciętej wargi zostawiły ślad na białym papierze. To był niemal modelowy przykład języka Republiki Islamskiej. Znaliśmy te frazy na pamięć z rządowego dziennika „Kejhan” oraz z państwowej telewizji, dwóch największych tub propagandowych. Dżawad sądził, że choć wyrecytuje tę kwestię, to przecież każdy zrozumie, że został do tego zmuszony. Na pewno domyślą się, że oto nagle nie zniknął człowiek, którego znali całe życie; że jedynie jak katarynka powtarza słowa, których kazano mu się nauczyć.

W nocy spał jak zając pod miedzą; chłód posadzki przenikał aż do szpiku kości. Jakiś czas przed świtem pojawił się strażnik więzienny i… rozpoczęła się przemiana Dżawada. Odzyskał ubranie, w którym przywieziono go do szpitala. Pozwolono mu wziąć prysznic. Fryzjer zgolił mu brodę i doprowadził do ładu fryzurę. Potem strażnik zawiązał mu na oczach przepaskę i podawszy drążek, przez labirynt korytarzy poprowadził do kolejnego pomieszczenia. Okazało się, że Dżawad znalazł się na środku

planu filmowego imitującego salon: wygodne fotele, niski stolik z bukietem sztucznych różowych róż. Na wprost foteli stała kamera wideo.

Mahmudi już czekał. Siedział w jednym z foteli rozparty jak basza.

– Nie ma się czym przejmować. Na pewno nie pierwszy raz stajesz przed kamerą. Bardzo proste.

Dżawadowi zbierało się na mdłości, ale siadł przed obiektywem i na dany znak zaczął recytować wyuczoną kwestię.

– Nie, nie, nie – przerwał operator. – Nie tak sztywno! Tak wyklepany tekst na nic nam się nie przyda! Spróbuj jeszcze raz, bardziej naturalnie.

Dżawad zaczął ponownie, starając się mówić z większym przekonaniem.

– Szirin Ebadi nie zasługiwała na Nagrodę Nobla...

Mahmudi zerwał się i otwartą dłonią plasnął Dżawada w tył głowy.

– Naprawdę jesteś aż tak głupi, że nie potrafisz wygłosić prostego oświadczenia? Do roboty! Nie chcemy zmarnować całego dnia!

Dżawad próbował jeszcze sześć razy, zanim Mahmudi uznał jego występ za zadowalający. Po raz kolejny mojemu mężowi zawiązano oczy, wetknięto do ręki drążek i odprowadzono do celi, co go zaniepokoiło. Przecież mieli go wypuścić zaraz po nagraniu. Kilka minut później zjawił się u niego szef Mahmudiego.

– Okazałeś się grzecznym chłopcem, więc słuchaj uważnie planu – oświadczył Farahani. – Jutro rano, zaraz po śniadaniu, razem z naszym pracownikiem udasz się do domu po swój paszport, metrykę urodzenia oraz wszystkie dokumenty i akty własności, na których widnieje nazwisko twoje albo członka twojej rodziny. Przywieziesz je wszystkie tutaj i odzyskasz wolność. Jeśli chodzi o wyrok sądowy, sprawa też jest bardzo prosta. Ty i Mehri udacie się pod adres, który wam podam. Tam duchowny wystawi akt czasowego małżeństwa z datą sprzed pięciu lat. Przyniesiesz tu

dokument, poprosisz, by dołączono go do akt sprawy, i wyjaśnisz sędziemu, że rzeczona kobieta zawarła z tobą czasowe małżeństwo. Tak uporamy się z zarzutem seksu pozamałżeńskiego. W najgorszym razie wymierzą ci 100 tysięcy tomanów grzywny za to, że nie zarejestrowałeś metryki ślubu.

Następnie Dżawad został wypuszczony z więzienia i o szóstej znalazł się w naszym teherańskim mieszkaniu.

W miarę jak zbliżał się do końca opowieści, oddychał z coraz większym trudem, urywał zdania, co chwila robiąc przerwy. To był wrak człowieka. W niczym nie przypominał pewnego siebie, silnego, pełnego energii mężczyzny, z którym spędziłam tyle lat.

Czekał, aż coś powiem, ale – bodaj pierwszy raz w życiu – brakowało mi słów. Jako kobietę – i żonę – przepełniały mnie gniew i obrzydzenie. Zdradził mnie! Ale jeszcze bardziej wściekała mnie, a zarazem zdumiewała podłość agentów bezpieczeństwa. Ich nikczemność i przebiegłość rzeczywiście nie miały granic. Nie cofali się przed niczym – zastraszaniem dzieci, niszczeniem małżeństw – by tylko osiągnąć cel. Łzy spływały mi po policzkach, ale hamowałam szloch.

Czego właściwie ode mnie chcieli? Rzadko dopuszczałam do siebie to pytanie, ale teraz wdarło się do mojej głowy tak, że chciałam wybiec na balkon i wykrzyczeć je na cały głos. Co więcej można zabrać jednemu człowiekowi? Pozbawili mnie stanowiska sędzi, mojego największego marzenia, życiowej ambicji. A kiedy podźwignęłam się i stworzyłam Centrum Obrony Praw Obywatelskich, to też mi je wydarli. Przez swoje okrucieństwo i oszustwa wyborcze ogołocili mnie także z ojczyzny. Teraz jeszcze próbowali ukraść mi męża. Przymknęłam oczy. Marzyłam jedynie, by zasnąć. Przytulić głowę do poduszki i dopuścić do siebie zmęczenie, żeby na jedną króciutką chwilę przestać o tym myśleć. Niestety, Dżawad

znowu mówił, prosząc mnie – mnie! – o radę w sprawie grożącego mu kamienowania.

– Jak, twoim zdaniem, należałoby postąpić?

– Nie widzę innego wyjścia. Zrób, co każą – odparłam. – Oczywiście pod warunkiem, że... ta kobieta... się zgodzi.

Dżawad obiecał, że spróbuje się z nią skontaktować i da mi znać, jak poszło.

– Czekam na telefon od ciebie – powiedziałam.

– Niedługo się odezwę.

Czekałam na jego telefon. Krążąc po mieszkaniu, dziękowałam Bogu za drobiazgi, które oszczędziły mi jeszcze większego bólu. Za to, że Nargess akurat nie było w domu i – przynajmniej przez jakiś czas – nie będzie wiedziała, jak skrzywdzono jej rodziców. Za to, że Negar oraz jej mąż wcześnie wyszli z domu i mieli wrócić dopiero wieczorem, więc ta wiedza im też została chwilowo darowana.

W końcu usiadłam na kanapie, co godzinę mechanicznie przeglądając w Internecie serwisy informacyjne. Byłam otumaniona, jakby ogłuszona. Miotałam się między wściekłością a głębokim poczuciem winy. Nawet w takiej sytuacji nie potrafiłam się powstrzymać od pytań. Czy moje wyrzuty sumienia są uzasadnione? Owszem, aparat władzy przekroczył wszelkie granice, zachowując się nieludzko, ale w ostatecznym rozrachunku fakt pozostawał faktem: to Dżawad mnie zdradził. Powtarzałam sobie jednak, że nie mogę go oceniać. Przecież został sam, z dala od żony i córek. Łatwiej wtedy ulec pokusie. Zastanawiałam się, czy

nie uspokoić go, że nie tylko jego to spotkało. Nie tylko nas. Że znam wiele podobnych przypadków. Ministerstwo Wywiadu często posługiwało się tą metodą. Stosowało szantaż seksualny albo zastawiało inne pułapki, by zmusić dysydentów do wycofania się z życia publicznego albo po prostu zranić krytyków systemu i w ten sposób ich uciszyć. Ta wiedza jednak nie uciszała mojego gniewu. Wątpiłam też, by ulżyła mi w bólu. Nie potrafiłam znaleźć odpowiedzi. Czułam tylko narastający, pulsujący ból w karku.

Tamtej nocy, kiedy Nargess wróciła do domu, o niczym jej nie powiedziałam. Zdawałam sobie sprawę, że kiedyś będzie musiała poznać prawdę, ale wciąż byłam w szoku i nie potrafiłam znaleźć słów, by opisać to, co się stało. Jedyne, co mogłam dla niej zrobić, to odsunąć nieuchronne o kilka dni. Milczałam więc, choć co rano po przebudzeniu przypominałam sobie o wszystkim i nagle brakowało mi tchu.

Tydzień później Dżawad znów zadzwonił i zapoznał mnie z rozwojem wydarzeń. Rzeczywiście skontaktował się z Mehri – używał jej imienia, ja nie – która zgodziła się pójść z nim do duchownego wskazanego przez wywiad, aby wystawił on metrykę ślubu z wsteczną datą. W ten sposób Dżawad mógł dowieść, że w dniu, kiedy nakręcono materiał filmowy, był *sighe* – czyli żył w drugim związku. Irańskie prawo dopuszcza dwa rodzaje małżeństw: tradycyjne i czasowe. To drugie, *sighe*, ma z góry ustalony okres trwania. Może to być i jedna godzina, i dziesięć lat. Dziecku urodzonemu z takiego związku przysługują te same prawa co dziecku urodzonemu w tradycyjnym małżeństwie, i to ze strony obojga rodziców. Kiedy *sighe* dobiegnie końca, „małżonkowie” mogą je przedłużyć za obopólną zgodą. Praktyka ta istniała w Iranie od stuleci, służyła przede wszystkim ustaleniu ojcostwa i uregulowaniu sytuacji, gdyby kobieta zaszła w ciążę. Obecnie jednak jest odrzucana przez młodsze, nie tak przywiązane

do tradycji pokolenie, które widzi w niej archaiczny kruczek prawny tak naprawdę legalizujący prostytucję.

Dżawad przedstawił dokument sędziemu z Ewin, który z kolei wyznaczył grzywnę w wysokości 100 tysięcy tomanów. Dokładnie taką, o jakiej mówił szef Mahmudiego. Tak oto groźba śmierci przez ukamienowanie – kara, którą straszono go, by wymusić na nim publiczne potępienie własnej żony – przestała istnieć. Zniknęła. Dżawadowi polecono jednak oddać paszport, przez co nie mógł opuścić kraju.

W następnych dniach często do siebie dzwoniliśmy. Nie opuszczało mnie jednak poczucie, że rozmawiam z nieznajomym. Dżawad stał się wrakiem człowieka, za każdym razem żebrał, żebym go nie zostawiała. Sprawiał wrażenie tak chorego, że – abstrahując od moich własnych emocji, zbyt świeżych i bolesnych, by w ogóle podjąć decyzję – naprawdę się o niego martwiłam. Mahmudi wciąż nie opublikował oświadczenia Dżawada, to wisiało nad nami jak miecz Damoklesa. Namawiałam męża, żeby wyjechał z Teheranu, spędził trochę czasu z przyjaciółmi, wreszcie wybrał się w pustynne regiony kraju, które zawsze chciał zwiedzić. Rzeczywiście zaczął trochę podróżować, ale zawsze po powrocie powtarzał to samo.

– Tęsknię za tobą i za dziewczętami. Chcę się z wami zobaczyć, ale Mahmudi trzyma mój paszport. Muszę go przekonać, żeby mi go zwrócił. Wtedy wreszcie mógłbym się z wami spotkać.

Jak zamierzał to osiągnąć? Nie miałam pojęcia.

W pierwszych tygodniach po tamtych wydarzeniach regularnie kontaktowaliśmy się telefonicznie i na Skypie. W czasie pierwszej pamiętnej rozmowy Nargess nie było w domu, ale potem na ogół słyszała, o czym mówimy. Chciała wiedzieć, co się dzieje. Nie miałam wyjścia, musiałam wytłumaczyć. Pewnego dnia, kiedy Negar wyszła do pracy, kazałam Nargess usiąść na kanapie. Unikałam szczegółów. Starałam się przedstawić całą sytuację tak, by za bardzo się nie przejęła. Dość miała własnych zmartwień, nie chciałam dodatkowo jej obciążać.

– Dlaczego ukrywasz to przed Negar?

– Cóż, przede wszystkim twoja siostra ma teraz na głowie doktorat. A w tej sprawie i tak nic nie mogłaby zrobić. Nie powinnyśmy jej niepokoić.

– A ja uważam, że powinna wiedzieć.

– Poczekajmy, co się wydarzy. Zobaczmy, czy opublikują oświadczenie taty. Pamiętaj, Negar niedawno wyszła za mąż. Mogłaby się wstydzić przed mężem i teściami.

Tego chyba najbardziej się bałam: że moje córki będą odczuwały wstyd i skrępowanie w związku z sytuacją swoich rodziców.

– Wolałabym, żebyś jednak jej powiedziała. Wtedy mogłabym z kimś o tym rozmawiać.

Rozpuściła długie, ciemne włosy, skubała końcówki, po czym znów je związała.

– Jak mógł tak postąpić? Jak mógł wygłosić takie oświadczenie? Jak mógł umówić się z tą kobietą? – powtarzała raz za razem, coraz bardziej wzburzona.

Postanowiłam przemówić do niej najszczerzej, jak umiałam. Jej praca w Hadze polegała między innymi na gromadzeniu i opracowywaniu materiałów dotyczących niewyobrażalnych okrucieństw. Pomagała

przygotowywać akta oraz zeznania świadków opisujących potworne czyny. Uważałam, że powinna naocznie przekonać się, że jej praca – misja, której chciała się poświęcić – będzie bezpośrednio przekładać się na jej życie, na życie jej rodziny. Zaangażowanie w obronę praw człowieka to nie tylko piękne, górnolotne słowa. Na tej drodze spotka też tych, którzy zostali złamani i upokorzeni przez sprawujących władzę. Właśnie ta niedostrzegalna nić łączy masakry w Sarajewie, okrucieństwa w Sierra Leone z systematycznym i systemowym prześladowaniem dysydentów w krajach, takich jak Iran czy Rosja.

Tłumaczyłam jej, że jeśli chce występować w obronie praw człowieka – jako prawniczka i jako aktywistka – musi kształtować i rozwijać w sobie rozumienie tego świata. Musi zdawać sobie sprawę z całej jego głębi i złożoności; również z tego, że czasem towarzyszy mu mrok.

– Każdy człowiek jest wolny, Nargess. Równocześnie jednak każdy z nas ma inną odporność na ból i cierpienie. Tamte tortury okazały się ponad siły twojego ojca.

Córka zaplotła ramiona na piersi i słuchała.

– To mogło spotkać każdego – ciągnęłam. – To sprawa między mną a nim. Ty zaś musisz spojrzeć na to inaczej. Zadać sobie pytanie, co agent z kamerą robił w sąsiednim pokoju. Czy państwo rozwiąże swoje problemy, ustalając, kto kogo zdradza? Cała ta akcja stanowiła pułapkę zastawioną na mnie. I tak powinnaś o tym myśleć.

Podałam swojej córce gorzką pigułkę. Ale musiałam to zrobić, skoro sama chciała się zaangażować w działalność społeczną i swoją znajomość prawa wykorzystywać do obrony Irańczyków. Musiała zdawać sobie sprawę, z czym przyjdzie się zmierzyć jej i innym młodym działaczom, którzy postanowili podjąć tę walkę.

15.
Tłumaczka

We wrześniu 2009 roku Nargess zaczynała studia doktoranckie w londyńskiej SOAS, uczelni specjalizującej się w studiach nad kulturami Bliskiego Wschodu i Afryki. Znalazła mieszkanko nad Tamizą, a ja wkrótce do niej dołączyłam, robiąc z Londynu swoją bazę wypadową. W tym samym okresie Negar z mężem przeprowadzili się z Atlanty do Bostonu, gdzie mieli prowadzić badania w Instytucie Technologicznym Massachusetts. Większość roku spędzałam w rozjazdach, a kiedy nie podróżowałam, dzieliłam czas między tamte dwa miasta. Negar trochę narzekała, że częściej jestem w Europie, ale wybierałam ten kontynent z prostego powodu: tu baczniej obserwowano sytuację w Iranie i miałam więcej pól, na których mogłam prowadzić walkę o prawa człowieka.

Często więc lądowałam w Genewie, gdzie mają siedzibę liczne agendy ONZ, z którymi współpracowałam. Pewnego słonecznego ranka pod koniec września wyszłam na ulicę. Chciałam po prostu znaleźć się wśród ludzi, chłonąć energię tętniącego życiem miasta – nawet jeśli to nie mój dom. Wybrałam się nad Jezioro Genewskie, by popatrzeć, jak poranne słońce odbija się w szprychach rowerów i jak przycumowane statki delikatnie kołyszą się w porcie. Siadłam w kafejce i zamówiłam espresso, europejską – mniejszą i bardziej gorzką – wersję naparu, którą z czasem polubiłam. Ten nałóg zapewniał mi kopniak energii na cały dzień. Minęła mnie kobieta. Trzymała za ręce dwójkę dzieci taszczących tornistry. Popędzała wlokącą się parkę, która w pewnym momencie stanęła i zaczęła się gapić na parapet, gdzie kiwały do siebie łebkami dwa ptaki. W perskim mamy powiedzenie: „chylić czoło przed życiem i domem”. Najogólniej ujmując, znaczy to, że prawdziwe życie to życie domowe. Uświadomiłam sobie, że

choć nie mam już życia rodzinnego, pozostało mi to drugie: moja praca, do której muszę wrócić.

Oparłam głowę na dłoniach, próbując się pozbierać. Nie potrafiłam odpędzić twarzy, które, jedna za drugą, przemykały mi przed oczami. Neda Agha-Soltan, uczestniczka protestów powyborczych zastrzelona na ulicy. Dżawad. Uśmiech mojej koleżanki Narges Mohammadi, którym witała mnie, ilekroć wchodziła do kancelarii. Aresztowano ją pierwszego dnia protestów.

Musiałam wyglądać na kompletnie zdruzgotaną, bo kobieta przy sąsiednim stoliku pochyliła się w moją stronę.

– Dobrze się pani czuje? – spytała niepewnie po angielsku.

Nie radziłam sobie jeszcze zbyt pewnie w tym języku, ale próbowałam wyjaśnić:

– Nie wiem, czy śledzi pani wiadomości. Pochodzę z Iranu. W moim kraju doszło do bolesnych wydarzeń.

Uśmiechnęła się i delikatnie położyła mi dłoń na ramieniu.

– Rozumiem doskonale. Jestem Palestynką. Wiem, co to znaczy, gdy ojczyzna staje się źródłem nieustannego smutku.

Siadłyśmy razem i zaczęłyśmy rozmowę. Kobieta mieszkała ze swoją rodziną we Francji, a do Genewy przyjechała do pracy. Opowiedziałam jej co nieco o Iranie i o tym, co się teraz w nim działo. Ona zaś mówiła o Palestynie i krewnych porozrzucanych po świecie. To przypadkowe spotkanie i nieoczekiwana więź z zupełnie obcą kobietą, która – ku memu zdumieniu – tak dobrze rozumiała pewne elementy mojej historii, ogromnie podniosły mnie na duchu.

Dwa dni później byłam umówiona z Navi Pillay, Wysokim Komisarzem Narodów Zjednoczonych ds. Praw Człowieka. Spotykałyśmy się już nieraz i teraz też niecierpliwie wypytywała o sytuację w Iranie. Przekazałam jej szczegółowe informacje o liczbie aresztowań, warunkach panujących w więzieniach, szykanowaniu działaczy i prześladowaniu zwykłych obywateli, których jedyną winą był udział w kilku demonstracjach. Mówiłam też o bojówkach grasujących w miastach, demolujących samochody osób, które śmiały nocą wołać z dachów „Allahu Akbar!”. Ona z kolei poprosiła, bym wytłumaczyła jej niektóre irańskie przepisy. Chciała zrozumieć, jak te represje wpisywały się w system prawny Republiki Islamskiej. Podobała mi się jej staranność i sumienność, więc resztę dnia spędziłam z jej zastępcą irańskiego pochodzenia, analizując kolejne przepisy i wskazując, na czym polegało ich naruszenie.

Gdy wychodziłam z budynku, zauważyłam grupę Irańczyków przygotowujących wiec protestacyjny. Po wydarzeniach z czerwca 2009 roku Irańczycy na całym świecie, od Los Angeles po Pragę, urządzali demonstracje na znak poparcia dla manifestacji Zielonego Ruchu w kraju. Jeden z organizatorów dostrzegł mnie i podbiegł, pytając, czy nie przemówiłabym do zebranych. Stała ich może setka. Wielu po prostu trzymało zdjęcia zabitych w ostatnich zgromadzeniach, między innymi Sohraba Aarabiego, w charakterystycznych okularach i zielonym szaliku, zastrzelonego 15 czerwca.

Wzięłam mikrofon i w chwili, gdy zaczęłam mówić, przed oczami znów ujrzałam morze głów, niewinnych młodych ludzi, którzy stracili życie. Ta karuzela twarzy nieustannie wirowała mi przed oczami. Myślałam, jakiej odwagi wymagało od młodych teherańczyków wyjście na ulicę z tablicami z prostym pytaniem: „Gdzie mój głos?”. Poszli z dziecięcą otwartością i prostotą, a zmiótł ich grad kul.

– Irańczycy dowiedli, że potrafią protestować bez agresji – zwróciłam się do tłumu – a ich determinacja kiedyś przyniesie owoce. Co do tego nie mam cienia wątpliwości.

Po raz pierwszy popłakałam się w czasie publicznego wystąpienia. I niestety nie po raz ostatni.

Od tamtego wyjazdu do Genewy zaczęły się moje niekończące się podróże, trwające do dziś. Mieszkam na lotniskach. Jednego dnia występuję w Parlamencie Europejskim, drugiego przed Komisją Europejską, a potem krążę między uczelniami Ameryki Południowej i niezliczonymi miastami całego świata.

Opuszczałam Genewę szczęśliwa, że znów intensywnie pracuję. W Teheranie mój dzień roboczy trwał nawet po 14 godzin, bo musiałam się zajmować określonymi sprawami. Każda z tych podróży dawała mi poczucie, że moja misja na uchodźstwie też ma konkretny cel i sens. Gdziekolwiek się pojawiłam, opowiadałam słuchaczom, co się dzieje w Iranie; o państwowej cenzurze, która sprawia, że świat niewiele – a w każdym razie za mało – wie o tym, co przechodzą Irańczycy. Coraz liczniejsza też stawała się grupa Irańczyków żyjących na wygnaniu. Po protestach z 2009 roku z kraju uciekło tysiące dziennikarzy, działaczy, prawników, lekarzy – nawet dentystów – studentów i zwykłych obywateli, których życie legło w gruzach przez często błahe i nawet nie zawsze polityczne związki z ostatnimi wydarzeniami.

Ludzie ci często zwracali się do mnie z pytaniem, jak sobie radzę z życiem na emigracji. Tłumaczyłam, że – podobnie jak ja – muszą zająć się pracą, zamiast rozpamiętywać dawne życie i skupiać się na swoim cierpieniu. Porównywałam naszą sytuację do pasażerów statku, który zatonął na pełnym morzu. Nie mieliśmy wyjścia: musieliśmy płynąć. Nie stać nas było na zmęczenie. To po prostu nie wchodziło w rachubę, bo

oznaczało śmierć. Tłumaczyłam, że nie wolno też myśleć o brzegu; o tym, ile nas od niego dzieli, ani o tym, że nawet go nie widać. To przyniosłoby jedynie rozpacz.

Tak właśnie wygląda nasza rzeczywistość. Płyniemy w mroku, nie ulegając pesymizmowi, nie myśląc o jakże odległym brzegu.

Dżawad szedł za pracownikiem banku Tedżerat do skarbca, gdzie znajdowała się nasza skrytka. Mijali biurka i urzędników całkowicie pochłoniętych stukaniem na klawiaturze. Właśnie zbliżali się do stalowych, pancernych drzwi, gdy podbiegł do nich kierownik oddziału.

– Niestety, nie możemy dziś udostępnić panu zawartości skrytki – powiedział stropiony.

– Naszej skrytki? Jak to? Dlaczego?

Dżawad nie posiadał się ze zdumienia. Zamierzał zdeponować w skrytce pewne dokumenty.

– Otrzymaliśmy z sądu pismo z zakazem udostępnienia skrytki. Bardzo mi przykro.

– Skąd mam wiedzieć, czy nasz depozyt jest bezpieczny?

– Nic więcej nie mogę powiedzieć.

Dżawad wrócił do samochodu i wybrał mój numer.

– Zabrali twój medal noblowski.

Poczułam się, jakbym dostała obuchem w głowę. To przechodziło wszelkie wyobrażenie. Co niby chcieli osiągnąć przez tę prymitywną zagrywkę? Światowa prasa natychmiast podchwyciła tę informację. W gazetach pojawiły się karykatury Ahmadineżada ściskającego mój medal

i wzdychającego: „Wreszcie ziściło się moje marzenie. A do tego jeszcze dostałem medal!”. „Pierwszy raz zdarza się, by instytucje państwowe skonfiskowały Pokojową Nagrodę Nobla”, oświadczył norweski minister spraw zagranicznych, nazywając działanie władz „szokującym”.

Światowe wzburzenie osiągnęło taki poziom, a sytuacja stała się tak wstydliwa dla irańskiego rządu, że bodaj dziesięć dni później Mahmudi wezwał Dżawada i polecił mu udać się do banku.

– Dość tej zabawy. Otworzymy przeklętą skrytkę – oświadczył śledczy.

Mahmudi czekał na Dżawada w banku z ekipą filmową. Ustawili się przy skarbcu, podczas gdy nieszczęsny kierownik oddziału – poczciwy człowiek, który dobrze nas znał i dla którego cała ta sytuacja była obrzydliwa – czytał pismo z sądu zezwalające na otwarcie skrytki. Zgodnie z procedurą trzeba było włożyć do niej dwa kluczyki. Dżawad i kierownik zrobili to do wtóru warkoczących kamer.

– Gdzie jest medal? Pokaż go nam – zażądał Mahmudi.

Dżawad, który po raz drugi został zmuszony do występu przed kamerami reżimu, wyjął z kasetki medal i podał go Mahmudiemu. Ten podsunął go pod obiektyw i zwrócił Dżawadowi.

– Odłóż na miejsce – powiedział.

Dżawad włożył go do pudełka. Operator nagrał, jak umieszcza je z powrotem w skrytce, po czym wyłączył kamerę.

– Teraz zamknij skrytkę – polecił Mahmudi kierownikowi.

– Czekajcie! Powiedział pan, że skrytka jest już dostępna! Muszę zabrać kilka dokumentów. Chcę też zdeponować parę rzeczy.

W skrytce trzymaliśmy najcenniejsze przedmioty zgromadzone w czasie 34-letniego małżeństwa. Znajdowały się tam akty własności i ważne dokumenty, a także złote monety, które Negar dostała w prezencie ślubnym, oraz pamiątkowa biżuteria.

– Otworzyliśmy skrytkę bankową i zwróciliśmy medal noblowski – odparł Mahmudi ze śmiechem. – Teraz wszystko nagraliśmy na taśmie i wyślemy ten film każdemu ważniakowi, który ośmieli się podważać fakty. Powiedz swojej żonie, żeby przestała rozsiewać kłamstwa i oczerniać swój rząd, twierdząc, jakoby zabrał jej nagrodę.

Dżawad był wściekły.

– Ta skrytka jest założona na moje nazwisko. Moje. Znajduje się w niej cała moja własność, która nie uległa konfiskacie. Co mają wspólnego z bezpieczeństwem narodowym moje dokumenty rodzinne i akt ślubu?

– Ja tutaj decyduję.

Mahmudi i jego ekipa obrócili się na pięcie i wymaszerowali ze skarbca, zabierając ze sobą drugi kluczyk. Dżawad omal nie zemdlał. Ciśnienie gwałtownie mu spadło. Kierownik zaprowadził go do gabinetu, gdzie poczęstował go słodzoną wodą.

Kiedy siedzieli razem w biurze, kierownik zaczął go łajać.

– Co pan jeszcze robi w Iranie? Nie widzi pan, że nikt już nie respektuje prawa, a władza tylko terroryzuje ludzi? Niechże pan ucieka. Zapomni o zawartości skrytki. Wyjedzie i już!

– Decyzja nie należy do mnie. Skonfiskowano mi paszport. Nie mogę opuścić kraju. Utknąłem tu, bo ożeniłem się z kobietą, która wierzy w prawa człowieka i nie zamierza iść na kompromis. A w oczach tych agentów wywiadu to najcięższy grzech, niewybaczalny. Nie mam wyjścia. Ani ona, ani oni nie pójdą na ustępstwa.

Kiedy Dżawad relacjonował mi tę rozmowę, w jego głosie brzmiało prawdziwe znużenie i zniechęcenie. Jego życie ograniczało się teraz wyłącznie do drobnych napraw w naszym mieszkaniu i na działce, wycieczek z przyjaciółmi w góry i na pływalnię, kolacji z siostrami. Nawet nie wspominaliśmy o moim powrocie do Teheranu. Było niemal pewne, że

przyznana mi Nagroda Nobla tym razem nie powstrzymałaby reżimu i natychmiast zostałabym aresztowana. Nie poruszając kwestii powrotu, oboje milcząco zgadzaliśmy się, że zapewne nigdy już nie będziemy razem.

Wydawać by się mogło, że po piekle, które zgotowano Dżawadowi, agenci trochę odpuszczą. Tymczasem przeciwnie, nękanie i dręczenie jeszcze się nasiliło. Mój maż próbował nawet sam poczynić pewne kroki i udał się do krewnego, byłego zastępcy przewodniczącego medżlisu, by złożyć skargę na Mahmudiego i jego metody. Wysiłki kuzyna jednak nie przyniosły efektu. W Republice Islamskiej wybaczano każde działanie w imię ochrony „bezpieczeństwa". Oczywiście „bezpieczeństwo" stało się pustym słowem; eufemizmem na absolutną władzę reżimu i miażdżenie wszelkiej krytyki.

W grudniową noc tego samego roku, kilka dni po Bożym Narodzeniu, o wpół do dwunastej do drzwi mieszkania mojej siostry w Teheranie załomotali Mahmudi ze swoimi agentami. Nuszin i jej mąż dopiero co umyli zęby. Właśnie szykowali się do snu.

– Przyszliśmy zadać *chanom* Ebadi kilka pytań – oświadczył jeden z nich.

– Macie nakaz? – spytał jej mąż. Pora „wizyty" dodatkowo go zaniepokoiła.

Pokazali świstek podpisany przez teherańskiego prokuratora okręgowego. Upoważniał ich, by przesłuchiwali, przeszukiwali i aresztowali każdego, jeśli tylko uznają to za stosowne.

– Na nakazie nie ma konkretnego nazwiska – protestowała przestraszona Nuszin.

– Właśnie – odparł Mahmudi, szczerząc zęby. – To znaczy, że możemy aresztować każdego. Panią też.

Jego ludzie zaczęli przetrząsać mieszkanie. Wyciągali szuflady kuchenne, grzebali w spiżarce. Znalezione laptopy trafiały natychmiast do ich płóciennych toreb. Następnie Mahmudi oświadczył Nuszin, że ma się z nim udać do „ministerstwa” na przesłuchanie.

– To potrwa tylko parę godzin – uspokajał. – Później wróci pani do domu. W czasie rozmowy od razu przejrzymy laptopy, a jeśli będzie nam pani jeszcze potrzebna, wezwiemy panią przy innej okazji.

Moja siostra jest dentystką. Ma dwójkę synów. Żyje w nieustannym biegu, przyjmując pacjentów, prowadząc badania naukowe i opiekując się rodziną. Naprawdę nie ma czasu na jakąkolwiek działalność wywrotową. A tamtego dnia – już dobrze po północy – zwyczajnie bała się iść z tymi ludźmi. Jaka instytucja państwowa mogła być otwarta o tej porze? Mimo to poszła, bo wiedziała, że opór na nic się nie zda; i tak by ją zmusili. Włożyła *manto*, zarzuciła na głowę chustę i chwyciła torebkę.

– Czekaj! Nie puszczę cię samej – oburzył się jej mąż.

– Może pan nam towarzyszyć, ale nie weźmiemy pana do samochodu. To niezgodne z prawem. Może pan jechać za nami własnym autem.

Z chwilą jednak, kiedy Mahmudi z Nuszin odjechali, inny samochód z agentami zablokował drogę jej mężowi. Nieszczęśnik niemal do świtu krążył od komisariatu do komisariatu. Obudził nawet dyżurującego sędziego pokoju. Mimo to nie wytropił ani agentów wywiadu, ani żony.

Kiedy usłyszałam, co się wydarzyło, wpadłam w taką wściekłość, że wybiegłam z londyńskiego mieszkania i zaczęłam krążyć po mieście. Nie mogłam usiedzieć w miejscu. Służby bezpieczeństwa aresztowały jedyną

siostrę, która mi została; po mężu i córkach najbliższą i najdroższą mi osobę. Dręczyły mnie wyrzuty sumienia, że to przeze mnie teraz siedzi w więziennej celi. Maszerowałam tak długo, że w końcu zaczęły mnie boleć nogi i brakowało mi tchu. Mahmudi znów próbował mnie zranić. Dopadł ją wyłącznie po to, żeby zadać mi ból – tak samo jak zrobił z Dżawadem.

Przetrzymywali ją przez 21 dni. Przez cały jej pobyt w Ewin co dzień odmawiałam dodatkową *duę*, na końcu szepcząc: „Proszę, Boże, spraw, by wypuścili moją siostrę”. Mahmudi jej nie bił, ale jego agenci w czasie przesłuchań nieustannie jej ubliżali. Obrażali ją, obrażali mnie. Nazywali mnie sługusem Ameryki, lżyli mnie za moją zdradę.

– Powiedz wszystko, co o niej wiesz – drążyli. – Jakim cudem stać ją na życie za granicą? Skąd bierze pieniądze? Dlaczego dostała Nobla? Z kim regularnie się kontaktuje?

Nuszin zaś za każdym razem odpowiadała tak samo:

– Jesteśmy siostrami. Nie jestem jej współpracownicą. Nie znam odpowiedzi na wasze pytania.

Po dwóch tygodniach pojawiło się u niej kołatanie serca i kłucie w piersi. Nie wyrażono zgody na wizyty męża ani synów. Nuszin musiała znieść karcer – tak samo jak ja. Lekarz więzienny przepisał jakieś leki, ale po nich jej stan tylko się pogorszył. W końcu, w obawie, że umrze i zrobi im w ten sposób jeszcze większy kłopot, postanowili ją wypuścić.

Podczas jej pobytu w więzieniu pracowałam jak szalona. Każdym swoim komentarzem, każdym wywiadem i oświadczeniem prasowym komunikowałam Mahmudiemu: *Nie tkniesz mnie. Możesz robić, co chcesz, a i tak się nie ugnę ani nie cofnę o krok.*

Kiedy siostra wreszcie wyszła na wolność, zadzwoniłam do niej.

– Nuszin – powiedziałam – jeśli ustąpię na włos, uznają, że znaleźli mój słaby punkt. A wtedy to odbije się przede wszystkim na tobie. Rozumiem, jakie to dla ciebie trudne, ale musimy stawić im czoło. Jeśli zobaczą, że to na mnie nie działa, w końcu dadzą spokój. Ale jeśli będą myśleli, że mogą wykorzystać to przeciwko mnie, nigdy nie przestaną.

Nuszin odparła, że rozumie, a ton jej głosu świadczył, że rzeczywiście tak było. Słuchając swoich słów, zdawałam sobie sprawę, jak suche, brutalne i uparte mogły się wydawać. Ja jednak odkryłam, jak myśli i działa Mahmudi. Poznałam na wylot jego metody oraz taktykę. Kiedy latami ma się do czynienia z takimi osobnikami, w końcu człowiek uczy się myśleć jak oni. Kiedy zobaczyłam, co zrobili z Dżawadem, wreszcie naprawdę ich zrozumiałam. Będą zgarniać każdego, kogo kocham, i wlec go na skraj najwyższego i najgroźniejszego urwiska. Potem zawieszą go nad otchłanią jak przynętę i będą czekać na moją reakcję. A kiedy nie dam się wciągnąć w ich grę, po pewnym czasie dadzą spokój. To bolesna kalkulacja, ale naprawdę lepiej być wleczonym i ostatecznie wypuszczonym na wolność, niż bez końca wisieć nad przepaścią. Gdybym okazała choć cień słabości, jestem przekonana, że właśnie taki los czekałby Nuszin i Dżawada, a może także pozostałych członków rodziny. Widziałam, jak to się kończyło u innych. Służby bezpieczeństwa w państwie takim jak Republika Islamska nie uznawały szarości. Albo dasz się zastraszyć i ulegniesz, albo nie.

– Masz nam relacjonować każdą rozmowę z siostrą – rozkazał Nuszin szef Mahmudiego. – Rozumiesz?

– Ależ my mówimy jedynie o rodzinie. Nigdy nie poruszamy tematów związanych z jej pracą. Co wam po rodzinnych ploteczkach?

– To już nasze zmartwienie. Będziemy bacznie cię obserwować i sprawdzimy, na ile jesteś uczciwa. Bo, pamiętaj, my wiemy o Szirin wszystko. Nie myśl, że musimy słuchać jej rozmów telefonicznych. –

Parsknął pogardliwym śmiechem. – Zakładanie podsłuchów na komórki to już prehistoria. My poszliśmy znacznie dalej. Mamy kogoś, kto siedzi tuż przy niej i informuje nas o każdym jej ruchu.

W ten zawoalowany sposób agent próbował wzbudzić we mnie podejrzliwość, żebym nikomu już nie ufała; starał się posiać ziarnko wątpliwości.

– Pewnie dziś wieczorem do niej zatelefonujesz – ciągnął. – Powiedz jej, że wciąż nie jest za późno...

– Powtarzałam tysiące razy! – wpadła mu w słowo rozgniewana Nuszin. – Szirin nikogo nie słucha! Niech pan przestanie próbować przekazywać jej informacje za moim pośrednictwem. To nic nie da.

Jeszcze przez dwa lata trzymali ją w zawieszeniu, nie wyznaczając terminu rozprawy, uniemożliwiając jej wyjazd za granicę i wzywając na kolejne przesłuchania. Wreszcie po dwóch latach jej sprawa trafiła do sądu. Mahmudi uprzedził, że kiedy sąd się zbierze, prawdopodobnie skaże ją na pół roku więzienia.

W dniu rozprawy moja siostra w towarzystwie adwokata szła do budynku sądu. W brzuchu aż jej kipiało ze zdenerwowania. W bramie zauważyła jedną ze swoich studentek ze stomatologii. Ucieszyła się na widok znajomej twarzy.

– Ale skąd się tu wzięłaś? Czyżbyś też miała proces? – spytała zaniepokojona.

– Uchowaj Boże! Ja i proces? – roześmiała się dziewczyna. – Odwiedzałam ojca. Jest sędzią Trybunału Rewolucyjnego. Teraz idę na uczelnię.

Tutaj do rozmowy włączył się obrońca Nuszin, pytając, w którym wydziale pracuje ojciec dziewczyny. Okazało się, że w tym samym, w którym rozpatrywano sprawę mojej siostry. Szybko zapoznali

dziewczynę z sytuacją Nuszin i poprosili, by wstawiła się za nią u ojca. Studentka, która wiedziała, że na koniec semestru będzie potrzebowała zaliczającej oceny u wykładowczyni, chętnie zgodziła się pomóc.

Jeszcze tego samego dnia Nuszin wyszła z sądu uniewinniona, oczyszczona z zarzutów o „spisek przeciwko bezpieczeństwu narodowemu poprzez współpracę z Szirin Ebadi”. Wykreślono ją też z listy osób z zakazem opuszczania kraju. Mimo dwuletnich machinacji jednego z najsprytniejszych szpiegów w kraju moja siostra uniknęła więzienia. Tylko dlatego że wykładała na stomatologii, a przed rozprawą wpadła na jedną ze swoich studentek.

16.
Sfałszowany paszport

Współpracownicy z Teheranu mówili, że Mahmudi wypytuje o mój adres w Londynie. Mój prześladowca koniecznie chciał się dowiedzieć, jakim cudem stać mnie na życie w tak drogim mieście. Ten człowiek ma obsesję na punkcie pieniędzy, pomyślałam pewnego burego poranka na początku 2010 roku, wsiadając do autobusu w kierunku Hyde Parku. Samochód toczył się między eleganckimi kamienicami Park Lane. Ołowiane chmury wisiały nisko na niebie. Przecież agenci muszą wiedzieć, że nigdzie nie ukryłam żadnych kokosów, myślałam dalej. Na moje konto nie trafiały też przelewy na okrągłe sumki od jakichś podejrzanych, obcych mocarstw. Na co dzień podróżowałam komunikacją miejską jak każdy londyńczyk, którego nie stać na szastanie forsą. Znałam już tak dobrze trasy autobusów, że często pomagałam zagubionym turystom zwracającym się do mnie o pomoc.

Tego ranka byłam umówiona w hotelu Dorchester. Znalazłam go dopiero po wielu minutach błąkania się po Hyde Parku. Budynek wyróżniały żółto-białe markizy i luksusowe limuzyny na podjeździe – wiele z tablicami rejestracyjnymi krajów arabskich. Przed szklanymi drzwiami zatrzymał się bentley, z którego wysiadły Arabki owinięte w czarne *abaje*. Za nimi dreptała filipińska służąca, taszcząc ich torby z zakupami. Miejsce spotkania wskazał wysłannik francuskiej firmy telekomunikacyjnej Eutelsat.

Eutelsat i ja od miesięcy prowadziliśmy niełatwe negocjacje. Moje kontakty z firmą zaczęły się od tego, że szukałam sposobu, by – nawet poza krajem – dalej wywierać na irański rząd presję w kwestii respektowania praw człowieka. Po wydarzeniach 2009 roku dla coraz liczniejszej grupy Irańczyków podstawowym źródłem informacji stała się telewizja

satelitarna. W państwowym radiu i telewizji prawie w ogóle nie zamieszczano relacji z ogólnokrajowych protestów. Materiał zaś, który trafiał do emisji, był tendencyjny i wypaczony. Wzbudziło to taki gniew Irańczyków, że ilekroć na protestach pojawiał się reporter państwowych mediów, krzyczeli i zagłuszali go. Irańczycy zawsze chętnie oglądali kanały, takie jak BBC Persian czy perska sekcja Głosu Ameryki. Po protestach zaś ich oglądalność wzrosła tak znacząco, że wzbudziło to wściekłość rządzących, którzy kazali zakłócać sygnał bardziej niż kiedykolwiek. Oba kanały korzystały z satelity Hot Bird. Niemal 70 procent Irańczyków (według oficjalnych danych rządowych) posiadających antenę satelitarną odbierało program właśnie z tego satelity należącego do Eutelsatu.

Wzmacniając zakłócanie, irański reżim uniemożliwiał odbiór nie tylko BBC Persian i Głosu Ameryki, ale także innych kanałów nadających z Hot Birda. Chodziło o inne programy, w zupełnie innych językach, które nie miały nic wspólnego z Iranem. Dlatego szefowie tych sieci protestowali w Eutelsacie przeciwko zakłócaniu sygnału. Firma zbadała sprawę i wysłała kilka pism z żądaniem, by Republika Islamska zaprzestała zakłócania sygnału z satelity Hot Bird, które ta oczywiście zignorowała. Trzeba bowiem pamiętać, że irański rząd był równocześnie klientem Eutelsatu, ponieważ z Hot Birda nadawano też kanały państwowe. Iran płacił, Iran wymagał. W takiej sytuacji władza spokojnie mogła ignorować ostrzeżenia koncernu telekomunikacyjnego.

Ostatecznie Eutelsat poszedł na łatwiznę. Usunął perską sekcję Głosu Ameryki oraz BBC Persian z Hot Birda i oba kanały przeniósł na innego, peryferyjnego satelitę. W ten sposób chronił sygnał pozostałych klientów, a równocześnie unikał konfrontacji z irańskim rządem. Dla Irańczyków jednak rozwiązanie było tragiczne, bo od tej pory rząd mógł bezkarnie

blokować sygnał, a nikt nie miał jak narzekać. Proszę sobie wyobrazić jedno z ostatnich społeczeństw niemal całkowicie kontrolowane przez państwo (gorzej sytuacja wygląda jedynie w Korei Północnej i Chinach, gdzie dostęp do wiadomości spoza kraju jest bardzo ograniczony), które z dnia na dzień traci kontakt ze światem zewnętrznym. Natychmiast zaczęły się rozpaczliwie telefony z Teheranu. Jedna z koleżanek zadzwoniła o pierwszej w nocy czasu irańskiego.

– Dlaczego odzywasz się o tej porze? – spytałam zaskoczona.

– Bo zwykle siedziałam do późna, oglądając wiadomości. Teraz nie mam czego oglądać – odparła. – Zamiast ukarać rząd, ukarali nas.

Miała rację. Usuwając z Hot Birda kanały informacyjne w języku perskim, Eutelsat – francuska firma działająca w Unii Europejskiej, instytucji zbudowanej na poszanowaniu uniwersalnych praw człowieka – wybrała rozwiązanie idealne dla autorytarnego rządu sprawującego władzę w Iranie. Zareagowałam na to prosto, metodą, którą nazywam publicznym piętnowaniem. Zaczęłam mówić w mediach, jak nieetycznie zachował się Eutelsat; ubolewałam nad tym, że 50-milionowy naród stracił dostęp do obiektywnych, bardziej niezależnych informacji.

Mężczyzna, z którym spotkałam się w hotelu, był przedstawicielem Eutelsatu. Zapewne przysłano go z wyjaśnieniami. Kiedy siedliśmy w restauracji – aż lśniącej od polerowanego mosiądzu, wyłożonej perskimi kobiercami – i piliśmy herbatę z delikatnych, filigranowych filiżanek, przyszło mi na myśl, że firma, której pracownicy przywykli do takich luksusów, może nade wszystko cenić sobie zyski. Nic innego by się dla niej nie liczyło. Czekałam jednak, aż mężczyzna przedstawi swoje stanowisko.

Niestety, spotkanie okazało się krótkie i niezbyt owocne. Przedstawiciel Eutelsatu oświadczył, że jego koncern wynajął satelitę Hot Bird innej firmie i to właśnie ona skarżyła się na problemy z zakłócaniem sygnału. Brzmiało

to jak próba usprawiedliwienia decyzji, o której robiło się coraz głośniej i która spotykała się z coraz większą krytyką.

– Odpowiedzialność spoczywa jednak na Eutelsacie – podsumowałam.

Wyszłam ze spotkania zniechęcona i przygnębiona. Mijając rozstawione w holu donice z palmami i wazy z różami pachnącymi słodko i ciepło niczym ciasto, zastanawiałam się, co teraz ze sobą zrobić. Stałam przy krawężniku i wciąż się wahałam, kiedy gdzieś z tyłu z rykiem wyskoczył motocykl. Aż odskoczyłam przerażona. Mieszkając w Teheranie, nauczyłam się z daleka wychwytywać warkot motocykli. Właśnie w ten sposób rząd najchętniej pozbywał się krytyków systemu i dysydentów: wysyłając zabójcę na motorze. Strzał, dźgnięcie nożem, huk silnika i ofiara ginęła na miejscu, zanim ktokolwiek zdążył się zorientować, co się stało. Głęboko nabrałam powietrza. Szirin, nie jesteś już w Iranie, pomyślałam.

W Londynie bardzo uważałam na bezpieczeństwo. Zamieszkałyśmy z Nargess w apartamentowcu z dozorcą i licznymi bramami. Aby dostać się do środka, wchodzący musiał znać hasła albo zostać wpuszczony. W Anglii nigdy nie czułam się szczególnie zagrożona, ale stare nawyki zostają w nas niczym bóle fantomowe w mięśniach. A choć serce wciąż mi waliło, uśmiechnęłam się na myśl, że cząstka mnie wciąż czuła się jak w Iranie.

Musiałam udać się na drugi koniec miasta do irańskiego sklepu spożywczego, więc postanowiłam część drogi pokonać pieszo, żeby uspokoić myśli. Spędzałam w Londynie na tyle dużo czasu, że powoli zaczynałam czuć się tu swojsko. Nie traktowałam go jak swój dom, bo często podróżowałam, zwłaszcza do Stanów Zjednoczonych, ale oswoiłam się z tym miastem. Przywykłam do anemicznego zimowego słońca, ceniłam też życzliwość londyńczyków, którzy przecież często sami przybyli tu z odległych zakątków świata.

Szłam przez park, kiedy zaświtało mi, że mogłabym odwiedzić Bernarda Kouchnera, francuskiego ministra spraw zagranicznych i współzałożyciela Lekarzy bez Granic. Spotykaliśmy się wielokrotnie i zawsze okazywał mi wiele serdeczności. Nazywał mnie koleżanką – jego organizacji również przyznano Pokojową Nagrodę Nobla – dlatego spodziewałam się, że zrozumie powagę sytuacji z Eutelsatem. A ponieważ francuski rząd był głównym udziałowcem firmy, Kouchner mógłby wpłynąć na decyzję zarządu.

Następnego tygodnia rzeczywiście zaprosił mnie do siebie, do Paryża. Rozmowa toczyła się w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Kouchner cierpliwie słuchał moich argumentów.

– Trzeba wywrzeć nacisk na irański rząd, żeby nie zakłócał sygnału z satelity – tłumaczyłam. – To on powinien zostać ukarany, nie BBC.

Kouchner przychylnie podszedł do mojej prośby i przedstawił tę kwestię na forum Unii Europejskiej, która wkrótce wydała oświadczenie, potępiając zakłócanie sygnału przez Iran. Nie o takie kroki jednak mi chodziło. Nie zależało mi na oświadczeniu Unii. Chciałam, żeby Iran poniósł karę.

Dlatego nie ustawałam w wysiłkach. Gdziekolwiek się pojawiałam, z kimkolwiek rozmawiałam – na przykład z Desmondem Tutu na forum ONZ – zawsze poruszałam tę kwestię. Opowiadałam o prawie Irańczyków do nieskrępowanego dostępu do informacji oraz o dziwacznej reakcji potężnej europejskiej korporacji, która po prostu skapitulowała wobec irańskiego rządu. W końcu sprawa stała się na tyle głośna, że Eutelsat pod presją opinii publicznej przeniósł BBC Persian i perską sekcję Głosu Ameryki na Hot Birda, przywracając Irańczykom kontakt ze światem.

Republika Islamska zaś otrzymała nauczkę. Reżim przekonał się, że światowa opinia publiczna może się zmobilizować i wywalczyć to, na czym

jej zależy; że nie może bezkarnie cenzurować innych nadawców, zagłuszając satelity gdzieś w przestrzeni kosmicznej. I wreszcie chyba też – choć dla mnie łączyło się to ze wzrostem zagrożenia – przekonał się, że i z wygnania potrafię skutecznie działać na rzecz Irańczyków oraz domagać się poszanowania ich praw.

Oczywiście nawet skarcona Republika Islamska znajdzie sposób, by jednak postawić na swoim i pozbawić obywateli dostępu do niezależnych źródeł informacji. Kiedy władza zorientowała się, że będzie musiała zlikwidować żelazną kurtynę, blokującą sygnał z satelity, zainstalowała w irańskich miastach ruchome stacje, które działały identycznie, tyle że zamiast przechwytywać sygnał w atmosferze okołoziemskiej, robiły to tuż nad domami Irańczyków.

Mieszkańcy z dnia na dzień coraz bardziej niepokoili się, jaki to będzie miało wpływ na ich zdrowie. W prasie ukazywały się artykuły na ten temat. Wysocy urzędnicy – łącznie z wiceprzewodniczącym i dyrektorem Ministerstwa Środowiska – publicznie ostrzegali przed zagrożeniami płynącymi z naziemnego zakłócania sygnału. Fakt, że rząd naraża zdrowie Irańczyków, by cenzurować to, co oglądają w telewizji, bardzo szybko stał się głównym punktem krajowej debaty i budził powszechną obawę. Wszystko to dowiodło, że nawet działając poza krajem, wciąż mogę wywierać nacisk na rząd, a także wpływać na to, o czym myślą i rozmawiają moi rodacy.

Od koszmaru Dżawada upłynęło kilka miesięcy. W tym okresie regularnie się kontaktowaliśmy, ale skrupulatnie omijaliśmy temat przyszłości. Zresztą jaki sens miałaby rozmowa o tym, skoro mieszkaliśmy z dala od siebie, a ja

myślałam przede wszystkim, jak zapewnić bezpieczeństwo nam wszystkim. Zdawałam sobie sprawę, że irańskie władze za pośrednictwem Mahmudiego bardzo naciskały na Dżawada, by zdradzał szczegóły naszego życia. Dlatego niepokoiłam się, czy nie wykorzystają przeciwko nam jakichś przypadkowo zdobytych okruchów informacji. I choć w lutym 2010 roku większość naszych rozmów krążyła wokół tematu bezpieczeństwa, Dżawad coraz częściej powtarzał, jak bardzo chciałby zobaczyć mnie i dziewczęta.

Nie wiedziałam, co się stanie z naszą rodziną, tak bardzo rozczłonkowaną, zmuszoną do życia w różnych zakątkach świata. Nie wiedziałam też, co stanie się z moim małżeństwem. Aby w ogóle zacząć cokolwiek planować, musieliśmy przynajmniej spotkać się twarzą w twarz. Tymczasem paszport Dżawada wciąż leżał w szufladzie Mahmudiego. Mąż próbował negocjować zwrot tego i innych dokumentów: aktów własności oraz metryk urodzenia. Urzędnicy przez miesiąc go zbywali, aż wreszcie, pewnego popołudnia, Dżawad zadzwonił uszczęśliwiony.

– Mogę bukować bilety lotnicze.

Po raz pierwszy od wielu miesięcy mówił jak mój dawny Dżawad.

– Wszystko ci oddali? – spytałam podejrzliwie.

– Zatrzymali akty własności, ale przynajmniej odzyskałem paszport. Mogę przylecieć, kiedy tylko ustalimy termin.

Prorządowa prasa, w tajemniczy sposób dopuszczona do naszych rodzinnych dyskusji, zaczęła produkować artykuły na nasz temat, schodząc do poziomu tabloidów. O mnie pisano „Szirin”, o mężu „Dżawad”, choć takie spoufalanie się było niedopuszczalne w irańskich gazetach. Twierdzono, że nie zgadzałam się na przyjazd Dżawada do Londynu (jakby to ode mnie zależało!); że się kłóciliśmy. Źródeł tych andronów nie

ujawniano. Autorzy twierdzili jedynie, że czerpali informacje od krewnych Dżawada.

Ignorowałam te brednie. Postanowiłam zamknąć ponury rozdział naszej historii i zapomnieć o wydarzeniach ostatnich miesięcy. Ustaliliśmy, że Dżawad przyjedzie do Londynu, a potem wybierzemy się do Negar. Mąż chciał się skontaktować z dawnymi szkolnymi kolegami mieszkającymi w Stanach i Kanadzie, żeby porozmawiać o możliwości zatrudnienia poza Iranem.

W następną środę kupił bilety w biurze Iran Air. Po wszystkim, co go spotkało, nadal upierał się, że poleci wyłącznie „naszymi", czyli irańskimi liniami. Nie skomentowałam tego, ale w głębi ducha cieszyłam się, że mimo piekła, które przeszedł, pozostał dawnym Dżawadem: cichym patriotą, zawsze dumnym z ojczyzny, wybierającym swojego przewoźnika, choć większość Irańczyków, jeśli tylko było ich na to stać, podróżowała europejskimi liniami.

Dwa dni przed wylotem zadzwonił do mnie. W Teheranie był już środek nocy.

– Martwię się kontrolą paszportową. A jeśli aresztują mnie po przejściu przez bramkę? Formalnie będzie to wyglądać, jakbym opuścił kraj, tymczasem nigdzie mnie nie będzie. Po prostu zniknę, ulotnię się. Albo jeśli zabiorą mi paszport na lotnisku?

Oczami wyobraźni widziałam, jak siedzi na naszej kraciastej kanapie. Obok stoi stygnąca herbata. Na stoliku leżą porozrzucane dzisiejsze gazety. Niewiarygodne, w jakim stopniu małżeństwo opiera się na codziennej, fizycznej bliskości, której nie dostrzegamy, dopóki jej nie stracimy: dłoń położona na ramieniu, wyciąganie się po okulary leżące na bocznym stoliku. Nam zostały teraz tylko rozmowy przez telefon.

– Jest jeden sposób. Nie rozwiąże wszystkich problemów, ale i tak to zrób.

Wytłumaczyłam, żeby poszedł do urzędu paszportowego i sprawdził, czy jego nazwisko widnieje na liście osób z zakazem opuszczania kraju. Istniała też druga lista, przekazywana bezpośrednio agentom bezpieczeństwa na lotnisku, z nazwiskami tych, których należało zgarnąć po pierwszej kontroli paszportowej. Do tej listy Dżawad oczywiście nie będzie miał wglądu, ale niech chociaż się upewni, czy nie ma go na pierwszej. Wielu polityków i działaczy na rzecz obrony praw obywatelskich oraz praw człowieka dzięki swoim dojściom i kontaktom dowiadywało się, kiedy pojawiali się na drugiej liście. Unikali wtedy lotnisk, bowiem każda próba podróży skończyłaby się konfiskatą paszportu i wycieczką do więzienia w Ewin. Na liście znajdował się nawet Mohammad Chatami, były prezydent Iranu, a także Simin Behbahani, moja przyjaciółki i nasza najwybitniejsza poetka, nazywana często „irańską lwicą”.

– Spróbuję – przystał ponuro.

Odłożyłam telefon i krążyłam po ciasnym mieszkanku, dopóki nie wróciła Nargess z naręczem zakupów.

– Gotuję dla taty – oświadczyła, wyjmując z torby kartonik truskawek i jego ulubiony biały ser.

Nargess przepadała za gotowaniem, a od kiedy przeprowadziła się do Londynu, wiele wysiłku wkładała w naukę przyrządzania irańskich deserów i gulaszy. Radziła sobie po mistrzowsku i nie mogła się doczekać, kiedy popisze się przed ojcem nowymi talentami. Uśmiechnęłam się i zmieniłam temat, pomagając jej w rozkładaniu sprawunków.

Następnego ranka Dżawad udał się do urzędu paszportowego. Pokazał młodemu policjantowi dokument i poprosił o sprawdzenie, czy nie figuruje

na liście osób objętych zakazem podróży zagranicznych. Mężczyzna zniknął, ale po chwili wrócił z wyraźnym niezadowoleniem na twarzy.

– My tu nie zajmujemy się fałszywkami – oświadczył, rzucając paszport na kontuar.

– Fałszywka? – oburzył się Dżawad. – To przecież mój paszport! Wielokrotnie na niego podróżowałem.

– Tak? Skoro pan z nim podróżował, aresztujemy pana.

Dżawad stał jak skamieniały. Policjant wziął lupę i otworzył książeczkę.

– Proszę spojrzeć.

Przysunął szkło powiększające do pierwszej strony i pokazał Dżawadowi kartkę: jego nazwisko było wymazane i napisane jeszcze raz. To samo zrobiono z brytyjską wizą. Mój mąż ukrył twarz w dłoniach.

– I co ja mam teraz zrobić?

– Niech pan wystąpi o nowy. I pod żadnym pozorem niech pan nie korzysta z tego.

Wieczorem Dżawad zadzwonił, by zapoznać mnie z najnowszymi wydarzeniami. Sam wciąż nie wierzył, że coś takiego mogło go spotkać.

– Nie rozumiesz? – powiedziałam. – Majstrowali przy nim, kiedy siedziałeś w więzieniu. Pewnie liczyli, że nic nie zauważysz i wyjedziesz z nim z kraju. Oni cię wypuszczą, ale na Heathrow Anglicy aresztują cię za podróżowanie ze sfałszowanym paszportem.

Milczał, więc mówiłam dalej:

– To byłoby dla nich idealne wyjście. Zostałbyś zatrzymany przez brytyjską straż graniczną. Oni mieliby czyste ręce, bo przecież nic ci nie zrobili. Za to my wypadlibyśmy fatalnie, gdyby rozeszła się wiadomość, że Anglicy przymknęli cię za posługiwanie się fałszywką.

– Nie zgadzam się z tobą – zaprotestował Dżawad. – Jesteś zbyt cyniczna. Gdyby faktycznie to planowali, policjant nie ostrzegłby mnie, że paszport jest sfałszowany.

– Policjant to nie agent bezpieczeństwa. Nie miał pojęcia, co knują. On po prostu sprawdził dokument, który przyniosłeś. Mahmudiemu pewnie nie przyszło do głowy, że udasz się do urzędu paszportowego, więc nie wtajemniczył policji w swoje plany.

– Może i tak? Ale... Bo ja wiem? To się wydaje strasznie wydumane.

Dżawad sprawiał wrażenie zmęczonego i nieprzekonanego, ale zgodził się odwołać podróż.

Kilka dni później poszedł do Mahmudiego i zażądał wyjaśnień. Dlaczego zwrócono mu paszport, przy którym ktoś majstrował? Mahmudi położył nogi na biurku i popatrzył na mojego męża, nawet nie udając skruchy.

– A co? Spodziewałeś się, że nic nie zrobimy? Zwłaszcza kiedy Ebadi jeździ sobie po świecie, krytykując prezydenta Ahmadineżada, który otrzymał błogosławieństwo naszego umiłowanego przywódcy? Mieliśmy siedzieć bezczynnie i tolerować takie zachowanie? Tym razem ci się poszczęściło. Ale kto wie, jak będzie przy następnej okazji? Każ żonie, żeby odpuściła. Niech siedzi cicho i nie rozrabia. Każ jej wrócić do Iranu. Do domu, do normalnego życia. Bo jeśli nie...

To przynajmniej przekonało męża, że za całą tą akcją stał Mahmudi. Złożył podanie o nowy paszport, twierdząc, że stary zgubił. Kiedy jednak wniosek przesłano do oceny – to w Iranie standardowa procedura – Ministerstwo Wywiadu odpowiedziało, że ze względu na bezpieczeństwo kraju Dżawad Tawassolian nie może udać się za granicę.

Tym razem Dżawad dał upust wściekłości, wystosowując do Ministerstwa zjadliwe pismo, w którym formalnie sprzeciwiał się zakazowi

opuszczania kraju. „Zechcą mi Państwo wyjaśnić, pisał, jakie zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego stanowi 71-letni inżynier, który przez całe życie służył Iranowi, a dziś chce wyjechać z krótką wizytą do rodziny?”

Tydzień później Mahmudi wezwał go na dywanik. Dżawad kursował tam już tak często, że niemal wydeptał ścieżkę. Mahmudi siedział za biurkiem. Zamachał w powietrzu kartką, po czym piskliwym, jękliwym tonem odczytał na głos fragment pisma Dżawada. Mój mąż ukrył twarz w dłoniach i patrzył na popękane linoleum.

– A teraz jeszcze skarga na mnie? Wciąż chyba nie rozumiemy, o co chodzi, panie Tawassolian? Zostawię cię w spokoju, dopiero kiedy twoja żona będzie siedziała cicho. Masz mnie za głupka? Naprawdę myślisz, że nie wiem, po co chcesz lecieć za granicę? Natychmiast po wylądowaniu zaczniesz udzielać wywiadów, dlaczego publicznie wyrzekłeś się żony. Uważa się za spryciarę, ale ja jestem bystrzejszy.

– Za nic w świecie nie udzieliłbym wywiadu. Chcę tylko spotkać się z rodziną. Zobaczyć żonę i córki.

– Wybij to sobie z głowy – warknął Mahmudi. – Jasno się wyraziłem i nie zmieniłem zdania. Żadnych podróży zagranicznych.

Dżawad wstał i wyszedł z gabinetu. Pożegnał się, żeby nie dać agentowi pretekstu do kolejnego wybuchu wściekłości, że zachował się niestosownie. Podróż do domu zajęła mu dłużej niż zwykle. Wszędzie były korki. Wielkie gruszki z betonem toczące się na plac budowy przypomniały mu o inwestycjach, które sam niegdyś nadzorował; o poważaniu i autorytecie, jakim się cieszył jako starszy inżynier budujący tętniącą życiem stolicę. Przeze mnie przedwcześnie musiał zrezygnować z kariery, jego małżeństwo było w rozsypce, nie mógł widywać się z córkami, kiedy chciał – a może nawet wcale?

Teraz jeszcze doszła do tego świadomość, że problem Mahmudiego też się nie rozwiąże. Od tamtego spotkania agent dwa razy w miesiącu wzywał Dżawada na przesłuchanie, wiecznie zadając te same pytania. W kółko te same. Dokąd pojechała? Z kim się spotkała? Co wczoraj powiedziała ci przez telefon? Przecież wiemy, że z nią rozmawiałeś. I nieodmiennie, za każdym razem: Skąd Ebadi ma forsę?

17.
Gabriel

Podróżowałam po stolicach Europy, niestrudzenie zabiegając, by moi rodacy w kraju mieli dostęp do obiektywnych informacji. Tymczasem w Teheranie trwała nagonka na mnie. Dżawad przekazał mi, że przyszło pismo z departamentu przy Ministerstwie Finansów odpowiedzialnego za podatki, a w nim informacja, że nagroda pieniężna towarzysząca Nagrodzie Nobla (1 200 000 dolarów otrzymane w 2004 roku) jednak podlega opodatkowaniu. Oznacza to, że muszę uregulować wieloletnie zaległości wraz z odsetkami karnymi. Westchnęłam ciężko, kiedy Dżawad odczytywał tekst. Doskonale wiedziałam, do czego to zmierza. Co roku skrupulatnie regulowałam podatki, ponieważ na tej podstawie przedłużano mi licencję uprawniającą do praktyki adwokackiej. W świetle irańskiego prawa nagrody nie podlegają opodatkowaniu. Nie było więc podstaw, by żądać należności od Nagrody Nobla.

Nasrin Sotoude, moja przyjaciółka, a zarazem współpracownica z Centrum Obrony Praw Obywatelskich, w moim imieniu odwołała się od decyzji. Wystarczyła jedna wizyta w urzędzie skarbowym, by wyjaśniło się, kto wymyślił te zarzuty. Urzędnik powiedział, że *herasat*, czyli sekcja zabezpieczająca, bardzo interesowała się tą sprawą. *Herasat* działa w każdym ministerstwie oraz innych agencjach rządowych. Za jej pośrednictwem Ministerstwo Wywiadu wpływa na decyzje we wszystkich państwowych instytucjach. Innymi słowy, sprawę przeciwko mnie spreparowano na rozkaz służb bezpieczeństwa.

Kilka dni po wizycie Nasrin w skarbówce pojawił się u niej Mahmudi.

– Nie życzę sobie, by broniła pani Ebadi w tej sprawie – oświadczył.

– Nagrody nie podlegają opodatkowaniu. To prosty i niepodważalny fakt – odparła.

Ścięli się. Nasrin nie ustąpiła, zagroziła, że odwoła się do Komisji Rozjemczej rozsądzającej spory podatkowe. W sprawie przeciwko mnie dopatrzyła się długiej listy przekłamań i rozbieżności. Ostrzeżenie podatkowe antydatowano na 2004 rok, ale tak nieudatnie, że w moim adresie zamieszkania podano numer, który budynkowi nadano w 2008 roku, kiedy zmieniono numerację ulicy.

Kiedy sprawa trafiła do Komisji Rozjemczej, urząd skarbowy tłumaczył swoją decyzję tym, że Nagroda Nobla ma charakter „polityczny", zatem podlega opodatkowaniu. Nasrin starannie przygotowała obronę. Przedstawiła pismo od Norweskiego Komitetu Noblowskiego, w którym komisja potwierdziła, że nagroda to wyróżnienie za działalność społeczną bądź naukową, a przyznano ją za walkę na rzecz praw człowieka. To powinno rozwiać wszelkie wątpliwości, ale Komisja Rozjemcza uznała – bądź otrzymała takie odgórne polecenie – że jestem winna.

Pięć miesięcy później Nasrin trafiła do więzienia. Skazano ją na sześć lat za to, że podjęła się mojej obrony, a także za inne działania na rzecz praw człowieka. Próbowałam zwrócić uwagę mediów, wspominałam też o niej we wszystkich wystąpieniach, ale ten wyrok wzbudził na Zachodzie jedynie umiarkowane zainteresowanie. Żałowałam, że międzynarodowych mediów właściwie nie interesował los młodych Irańczyków zastraszanych przez państwo i zmuszanych do porzucenia swojej działalności. W kraju obowiązywał już zupełnie inny klimat niż wtedy, gdy rozwijałam swoją działalność i budowałam pozycję. Tak surowy wyrok dla Nasrin miał zniechęcić do aktywności garstkę prawników działających na rzecz praw człowieka, która jeszcze nie wybrała emigracji.

Sąd na 20 lat pozbawił też Nasrin możliwości wykonywania zawodu i opuszczania kraju. Wszystko to za „naruszanie bezpieczeństwa kraju" oraz „propagandę antysystemową". A przecież obrona mojego majątku stanowiła

zaledwie margines jej działalności. Zajmowała się przede wszystkim ratowaniem tych, którzy najbardziej potrzebowali pomocy: mniejszości oraz więźniów sumienia zagrożonych karą śmierci.

Znałam Nasrin od 20 lat, jeszcze zanim skończyła prawo. Latami blisko współpracowałyśmy, ale w pamięci utkwiło mi zwłaszcza wydarzenie z 2007 roku, kiedy spodziewała się drugiego dziecka. Pewnego wieczoru, a była już w ósmym miesiącu ciąży, grupka działaczek spotkała się w mieszkaniu jednej z nich, gdzie dyskutowały na temat równouprawnienia kobiet. Wtem ktoś załomotał do drzwi. Umundurowani policjanci wpadli do środka i zaczęli aresztować uczestniczki. Jeden z funkcjonariuszy powiedział, że jej nie zatrzymają, i polecił, by wróciła do domu.

– Nigdzie się nie ruszę – oświadczyła. – Moje przyjaciółki, które zabieracie, są zarazem moimi klientkami. Będę im potrzebna.

Spędziła z nimi noc w zimnej celi, a następnego ranka rzeczywiście broniła przed sądem. Udało jej się wywalczyć ich natychmiastowe zwolnienie.

Po 2009 roku Nasrin zaczęła brać sprawy wymagające coraz większej odwagi. Reprezentowała Arasza Rahmanipura, młodego mężczyznę aresztowanego – a później powieszonego – za rzekome zaangażowanie w powstańczą działalność Zielonego Ruchu. Nasrin odkryła i ujawniła, że Rahmanipur przyznał się do winy dopiero, gdy irańskie władze zagroziły jego rodzinie.

Już po jej aresztowaniu dotarła do mnie wiadomość, że funkcjonariusze kusili ją obietnicą natychmiastowego uwolnienia, jeśli przyzna się do domniemanych win i publicznie obciąży mnie oraz pozostałych kolegów. Gdyby to zrobiła, połączyłaby się z rodziną.

Kiedy o tym usłyszałam, długo nie mogłam zasnąć. Leżałam w londyńskim mieszkaniu, wpatrując się w cienie i myśląc o koleżance.

Wyobrażałam sobie jej malutkie dzieci i zastanawiałam się, jakbym postąpiła na jej miejscu.

Nasrin jednak nie skapitulowała. Nawet kiedy jeden z agentów bezpieczeństwa zagroził:

– Dopilnuję, żebyś spędziła za kratkami ponad dziesięć lat. Zanim wyjdziesz, twój trzyletni dzisiaj syn, będzie wyższy od ciebie.

Funkcjonariusze nie pozwolili jej widywać się z dziećmi. Zaczęli też wzywać na przesłuchania jej męża, któremu również grożono więzieniem. Mimo to Nasrin pozostała niezłomna. W duchu tego właśnie się spodziewałam. Ta drobna kobieta o ciemnobrązowych oczach i niesfornych kosmykach wymykających się spod chusty nie ugięła się pod naciskami. A ja martwiłam się o nią, bo znajdowała się w Iranie, w żelaznym uścisku władzy.

Wszyscy prawnicy, którzy pracowali ze mną w Centrum Obrony Praw Obywatelskich, moi przyjaciele i osoby wspierające naszą działalność przebywali w więzieniu lub się ukrywali. Państwo uznało ich za przestępców wcale nie dlatego, że występowali w obronie praw człowieka, ani dlatego, że reprezentowali swoich klientów. Ich największy, niewybaczalny grzech stanowiła zażyłość ze mną. Nie mogąc zastawić sideł na mnie, reżim metodycznie tropił i skazywał każdego, z kim w ciągu ostatniej dekady łączyły mnie bliskie kontakty. Teraz wysłał do więzienia Nasrin, a to oznaczało, że nie ma komu mnie bronić przed niesłusznym domiarem. Pozostali prawnicy za bardzo się bali. Byli przekonani, że reprezentując mnie, podpisują na siebie wyrok. Dżawad skontaktował się

z kilkoma znajomymi adwokatami, ale wszyscy odmówili. W końcu powiedziałam, żeby sobie darował. Nikt nie odważy się wziąć tej sprawy. A nawet gdyby, sąd i tak nie słuchałby jego argumentów. W kolejnych instancjach werdykt tylko by zatwierdzano.

Kiedy Komisja Rozjemcza ds. Sporów Podatkowych w końcu ogłosiła wyrok, reżim błyskawicznie przystąpił do wywłaszczenia. To bodaj jedyny przykład w dziejach Republiki Islamskiej, gdy tak szybko i skrupulatnie dokonano egzekucji wyroku. W ciągu kilku dni wszystkie moje nieruchomości trafiły pod młotek. Skarbówka miała ułatwione zadanie, bo służby bezpieczeństwa trzymały w ręku moje akty własności. Dopiero wtedy dotarło do mnie, że już w sierpniu, kiedy Mahmudi wypuścił Dżawada, żądając od niego aktów własności nieruchomości, wszystko było ukartowane. Doskonale wiedzieli, jak sprawy się potoczą i z góry się przygotowali.

Tak oto państwo zabrało nam wszystko, co zgromadziliśmy w ciągu 35 pięciu lat małżeństwa, zostawiając jedynie nasze mieszkanie. Straciliśmy biuro, w którym mieściło się Centrum Obrony Praw Obywatelskich, a także dom letniskowy i działkę pod Teheranem. Owszem, część tego zawdzięczaliśmy Nagrodzie Nobla i innym otrzymanym przeze mnie nagrodom, ale poza tym nasz majątek stanowił owoc 40 lat ciężkiej pracy i licznych wyrzeczeń. O ile ja pracowałam głównie *pro bono*, o tyle Dżawad przez większość kariery zawodowej zajmował stanowiska kierownicze, nadzorując m.in. najbardziej prestiżowe inwestycje budowlane w Teheranie. W skrytce w banku Tedżerat, który został wciągnięty w aferę z kradzieżą mojego medalu noblowskiego, przechowywałam część biżuterii rodzinnej, złoty zegarek i pierścionek z brylantem, prezent ślubny od Dżawada.

Ja na szczęście nie musiałam czytać ogłoszeń o licytacji mojego majątku zamieszczonych w prasie krajowej. Za to widział je Dżawad, a także moja siostra i brat. Wyobrażałam sobie, jak wbijają wzrok w kartki, patrząc na nasze życie wystawione na sprzedaż.

W takich sytuacjach zwykle cenę ustala rzeczoznawca, ale czyż można było się spodziewać uczciwej wyceny? Władze oszacowały mój majątek śmiesznie nisko – zaledwie na ułamek jego realnej wartości. Lokal, w którym mieściło się biuro Centrum Obrony Praw Obywatelskich, wystawiono na sprzedaż za równowartość 70 tysięcy dolarów. Nieruchomości w Teheranie należą do najdroższych na świecie. Mieszkanie, choć skromne, mieściło się w porządnej, szanowanej dzielnicy na północy miasta; bez trudu można by je sprzedać za wielokrotność tej kwoty. Wyznaczając cenę, kierowano się jednak inną logiką. Po pierwsze, suma zebrana ze sprzedaży nie mogła pokryć mojego zobowiązania wobec urzędu skarbowego, żebym do końca życia pozostała dłużniczką państwa, a moja zaległość stale rosła. Po drugie, dzięki sztucznie zaniżonej cenie jakiś krewny bądź przyjaciel urzędników kupi sobie atrakcyjny lokal za grosze. Nie miałam wątpliwości, że kupcem okaże się agent wywiadu lub jego znajomek. Po sprzedaży zasięgnęłam języka i rzeczywiście okazało się, że nieruchomość nabył zaufany urzędnik państwowy.

Następna w kolejce była działka. Kiedy nabyliśmy ją z Dżawadem – jeszcze przed rewolucją – był to jedynie skrawek jałowej ziemi; sam gruz i piach, bez żadnej roślinności. Rok po roku sadziliśmy tam drzewa: wiśnie, granaty, śliwy i orzechy włoskie, aż wreszcie ugór się zazielenił, a my zaczęliśmy nazywać go sadem. Do dziś w każdej chwili mogę wyrecytować, ile metrów dzieli morele od granatów albo gdzie przy południowej granicy teren opada ku ceglanemu murowi. Wciąż czuję gładkie deszczułki ławki, którą kupiliśmy, gdy urodziła się Negar.

Pamiętam też miejsce na oparciu, gdzie obok sęka dziewczęta wyryły swoje inicjały. Znam tę godzinę o zmierzchu, kiedy komary zaczynają brzęczeć i rzucać się do światła; podobnie jak znam zapach kwitnącego jaśminu, który wieczorem otulał taras. W tym sadzie wychowały się moje dzieci. Tam spotykała się rodzina. Tam przyjeżdżałam zaczerpnąć świeżego powietrza, gdy już miałam dość skażonego i rozbieganego Teheranu. Teraz zaś nie mogłam dopuścić, żeby ten sad trafił w ręce jakiegoś kumpla Mahmudiego. Po prostu nie mogłam.

Skontaktowałam się z serdecznymi przyjaciółmi w Teheranie, prosząc, by wzięli udział w licytacji. Obiecałam, że nie będę miała żalu, jeśli działka przejdzie w ich ręce. Przeciwnie, uznam to za przejaw prawdziwej lojalności. Zgodzili się i w dniu licytacji, ku zdumieniu urzędników Ministerstwa Wywiadów, pojawił się tłumek zdecydowanych kupić parcelę. Cena nieco podskoczyła, ale w końcu znajomi zwyciężyli. Na wieść o tym pomyślałam tylko: „Kiedy przyjdzie wiosna, gałęzie moich śliw i wiśni ugną się pod ciężarem owoców. Ja już nigdy nie będę rozkoszować się tym widokiem, ale chwała Bogu te owoce będą jedli moi przyjaciele, nie Mahmudi i jego wspólnicy”.

Dzięki pomocy postronnej osoby, wyposażonej w pełnomocnictwa, udało się wyjąć z mojego rachunku bankowego 50 tysięcy dolarów. Niestety resztę, prawie tyle samo, skarbówka skonfiskowała na poczet długu. Kiedy już wszystko sprzedano i zajęto moje rachunki bankowe, okazało się, że zebrane w ten sposób pieniądze nie wystarczają na spłatę moich zobowiązań. Do zarzutów o spisek przeciwko bezpieczeństwu narodowemu dopisano więc kolejny. Niniejszym oficjalnie stałam się dłużniczką Republiki Islamskiej, *in absentia* dodatkowo ukaraną zakazem opuszczania kraju. Oznacza to, że jeśli kiedykolwiek wrócę, stracę paszport i już nigdy nie będę mogła wyjechać z Iranu. W ciągu jednego roku

państwo, którego wymiar sprawiedliwości reprezentowałam – i to na najwyższych szczeblach – uznało, że należy zrobić ze mnie bankruta i zdrajcę.

Kropiło, kiedy dotarłam do mieszkania i z zakupami władowałam się do windy. Tego wieczoru Londyn wyglądał jak w starych filmach. Spowijała go mgła, która wisiała nad Tamizą niczym szara wata, przykrywając niebo i rozpełzając się po ulicach. Zalałam wrzątkiem herbatę – czyż może być coś żałośniejszego i smutniejszego niż parzenie jednej łyżeczki dla jednej osoby? – i siadłam sprawdzić pocztę, licząc na e-mail od którejś z córek.

Tymczasem na monitorze pojawiła się wiadomość od Dżawada.

> Mahmudi zagroził, że jeśli nie przekażę Ci tej informacji, znów mnie aresztuje. Nalega na rozmowę z Tobą. To numer jego komórki.

Ogarnęła mnie taka wściekłość, że tętno pulsowało mi jak szalone. Szybko wystukałam odpowiedź.

> Przeczytałam Twoją wiadomość. Wiem doskonale, że przed Tobą moją odpowiedź przeczytają agenci. Przekaż Mahmudiemu, że jest zerem. Jeśli będę chciała rozmawiać z kimś z wywiadu, skontaktuję się z szefem szefa jego szefa. A jeśli im zależy na pogawędce ze mną, niech najpierw odpowiedzą na proste pytanie: „Na mocy jakiego prawa czuli się upoważnieni do filmowania cudzego łóżka?”. Jeśli zdołają to wyjaśnić, jestem gotowa na rozmowę z szefem szefa szefa Mahmudiego.

Po tej ripoście – którą naturalnie przeczytali – nie próbowali więcej ataków od tej strony. Wywiad zrozumiał, że choć może przesłuchiwać

mojego męża, rodzeństwo i przyjaciół, nie zdoła nawiązać bezpośredniego kontaktu ze mną. W następnych tygodniach często rozmawiałam ze znajomymi z Teheranu, doskonale zdając sobie sprawę, że ich telefony są na podsłuchu.

– Mahmudi naprawdę wyobraża sobie, że jeśli zmieni tożsamość i paszport, będzie bezkarny? – pytałam. – Mam jego zdjęcie. Przekazałam je Interpolowi i wszystkim agencjom bezpieczeństwa w Europie. Nigdy nie ruszy się poza Iran.

Wiedziałam, że Mahmudi żywi się cudzym strachem. A choć znajdowałam się tysiące kilometrów od Iranu, zawsze starałam się pokazać mu, że mnie nie zdoła zastraszyć.

Tamtej wiosny straciłam brwi. Aresztowanie Dżawada i wszystko, co temu towarzyszyło, potem zatrzymanie mojej siostry, a wreszcie nasze wywłaszczenie – każde z tych wydarzeń przeżywałam bardzo intensywnie, całą sobą. W końcu zaczęły mi wypadać brwi. Włosek za włoskiem, aż nie zostało prawie nic, jedynie blady księżyc czoła nad oczami.

Nie uważam się za szczególnie próżną, ale to akurat wyjątkowo boleśnie mnie dotknęło – jak każdego, kto traci ważny element swojej urody. Rysowałam brwi kredką, ale patrząc co rano w lustro, odnosiłam wrażenie, jakbym straciła ważną cząstkę siebie. I na dobrą sprawę tak właśnie było.

Nic nigdy nie zdoła wymazać tego, jak irański reżim skrzywdził Dżawada i zaszkodził naszemu małżeństwu. Co prawda nauczyliśmy się znowu sobie ufać i zdołaliśmy sobie wybaczyć – choć nie wiem, jak nam

się to udało, skoro nie mogliśmy rozmawiać twarzą w twarz – ale nasz związek nieodwracalnie stracił dawną słodycz i czystość. Czystość nie w znaczeniu moralnym, lecz rozumianą jako możliwość samodzielnego kształtowania swojej historii, swoich losów; małżeństwo stanowiło nasze dzieło. Przez lata wspólnym wysiłkiem wykuwaliśmy silną, pełną miłości więź. Ta więź przetrwała rewolucję, wojnę, utratę mojego stanowiska sędziowskiego, a potem odbudowę mojego życia zawodowego w roli adwokata. Owo partnerstwo przepadło bezpowrotnie, a nad głowami wisiało nieuchronne pytanie, co stworzymy w jego miejsce. Dżawad różnymi kanałami wciąż zabiegał o wystawienie paszportu, ale na razie nie przynosiło to efektów. A choć nadal często rozmawialiśmy przez telefon, dzieląca nas odległość coraz wyraźniej dawała o sobie znać.

Nie miałam wątpliwości, że nagranie Dżawada pewnego dnia ujrzy światło dzienne. I wreszcie ta chwila nadeszła. W czerwcu irańska telewizja rządowa nadała je w głównym programie informacyjnym *20.30*, nazwanym tak od godziny emisji – pory, gdy większość Irańczyków gromadzi się przed telewizorami. Władzy zależało, by jej przesłanie dotarło do jak najliczniejszej grupy rodaków: „Sami zobaczcie, kim naprawdę są wasi bohaterowie. Przekonajcie się, jak Zachód wtrąca się w nasze wewnętrzne sprawy”. Zaraz po programie rozdzwonił się telefon.

– Wiesz, co się stało? – pytali kolejni przyjaciele.

Starałam się nie pogłębiać upokorzenia Dżawada.

– Tak, wiem. Oboje znamy tę sprawę.

Nargess obejrzała nagranie przede mną i zadzwoniła ze szlochem.

– Jesteśmy zhańbieni – powtarzała raz za razem.

– Nie, skądże. Oczywiście, że nie. Jeśli ktoś powinien się wstydzić, to Ministerstwo Wywiadu, nie my. Oni okryli się hańbą.

Nie oglądałam wypowiedzi Dżawada. Przyjaciele nagrali ją dla mnie, a później pojawiła się na YouTube. Kiedy asystentka przysłała mi link, zrozumiałam, że wcześniej czy później będę musiała to zobaczyć.

Choć byłam przygotowana, zaliczam te chwile do najtrudniejszych w życiu. Reżim nie nadał tekstu Dżawada w całości, jako oświadczenia. To byłoby zbyt prymitywne. Wypowiedź pocięto na fragmenty przeplatane analizami, które miały przedstawić „prawdziwe oblicze" jednego z „głównych graczy na politycznej szachownicy". „Jaką rolę odgrywała Szirin Ebadi?", pytali dziennikarze. Tu pojawiły się migawki, jak odbieram Pokojową Nagrodę Nobla, lecz komentarz nie pozostawiał wątpliwości, że zachowuję się raczej jak przedstawicielka opozycji politycznej. Ponieważ materiał rościł sobie pretensje do zarysu historycznego, dorzucono również moje stare zdjęcia, informując, że „wykorzystując reformy Aszraf Pahlawi, zdołałam odegrać pewną rolę w irańskim sądownictwie". Mój urząd sędziowski sprowadzono do rangi „rólki", którą zawdzięczałam siostrze szacha. Na ekranie połączono moją fotografię z oficjalnym portretem bliźniaczki władcy, sugerując w ten sposób, że byłam monarchistką.

Dalej autorzy zarzucali mi, jakobym żywiła do Republiki Islamskiej urazę, o której wspominam przy byle okazji. Wtedy właśnie na ekranie pojawił się Dżawad. „Utrata urzędu sędziowskiego", recytował, używając prymitywnego języka, do którego nigdy by się nie zniżył, „stanowiła taki cios, że pojawił się u niej kompleks na punkcie Republiki Islamskiej".

Każdy, kto znał Dżawada, dostrzegłby jego rozdygotanie; zauważyłby, jak bardzo jest spięty i jak nienaturalnie porusza dłońmi. Co kilka sekund odchrząkiwał, mówił wyjątkowo nienaturalnie, jak nieprzytomny powtarzał przypadkowe słowa. Miał na sobie białą koszulę i wyglądał, jakby nie spał.

Teza autorów sprowadzała się do tego, że moja Pokojowa Nagroda Nobla stanowi element ogólnoświatowego spisku zmierzającego do

upokorzenia Republiki Islamskiej. Ten pogląd musiał oczywiście wyrazić również mój mąż: „Po co dali jej nagrodę? Żeby zyskała międzynarodową pozycję. W ten sposób uniemożliwiono Republice Islamskiej ingerencję w jej działalność. Oni zaś zapewnili jej fundusze na prowadzenie owej działalności. Żeby mogła szkodzić Republice Islamskiej”.

Nagrodę Nobla, podkreślono w komentarzu, „otrzymał także Szymon Peres oraz kilku innych syjonistów”. Kazali też Dżawadowi powiedzieć, że podjęłam się obrony bahaistów, bo dobiłam podejrzanego targu: ja będę reprezentować ich liderów, a w zamian wyznawcy postarają się, abym zyskała „większą międzynarodową sławę”.

Najgorsze jednak przyszło dopiero, gdy autor darował sobie pozory obiektywizmu i zniżył się do poziomu najgorszych brukowców.

– Co gorsza, sam mąż narzeka na życie z Szirin – oświadczył triumfalnie lektor.

Jeśli dobrze pamiętam tekst, Dżawad skarżył się, że mimo swojej międzynarodowej sławy „w naszym domu nie potrafiła nawet zatroszczyć się o przywileje czwórki osób. Nie przysługiwało mi nawet prawo do złego nastroju. Często się ze mną kłóciła, wręcz walczyła. Raz stłukła mi okulary, przy innej okazji podarła koszulę. Rzucała się na mnie z pięściami”.

Dalej mówił: „Nasze pożycie nie było udane. Wszystko podporządkowała sobie. Moi przyjaciele żartowali, że stałem się panem Ebadim; że zamiast żony dostałem męża”.

A kończył słowami: „Dlatego uważam, że z tą chwilą nasze ścieżki muszą się rozejść”.

Kiedy obejrzałam całość, pomyślałam: Czyli tak to wygląda. Zabierają ci najdroższą osobę i miażdżą ją na twoich oczach.

Z ciekawością przyglądałam się scenografii przygotowanej przez Mahmudiego i jego ludzi: czerwona kanapa z drewnianą ramą, paskudne

beżowe zasłonki, sztuczne kwiaty na stole. To niby miał być nasz dom? A jeśli nie, to co? W skroniach mi dudniło, gdy próbowałam wymazać sprzed oczu obraz tego pseudosalonu. Zamiast niego przywoływałam prawdziwe wspomnienia: spotkania z przyjaciółmi w sadzie, rozmowy przy sfatygowanym, dębowym stole; wspólną podróż do nowojorskiej kliniki leczenia niepłodności, gdzie siedzieliśmy w poczekalni, z całej siły trzymając się za ręce.

Połknęłam kilka tabletek od bólu głowy i położyłam się w łóżku. Zacisnęłam powieki, ale sen nie nadchodził.

Na wszelki wypadek – w razie gdyby kogoś ominęły te rewelacje – materiał nadano ponownie kilka dni później. Nie wiem, co właściwie reżim zamierzał osiągnąć, ale sprawa przeszła bez echa. W tym samym miesiącu telewizja państwowa wyemitowała jeszcze parę podobnych wymuszonych wyznań innych więźniów politycznych. Irańczycy z coraz większym obrzydzeniem oglądali procesy pokazowe, te wydobyte siłą i nagrane spowiedzi. Wszystko to za bardzo pachniało KGB albo Koreą Północną, nie było godne Iranu.

18.

A po wiośnie
przychodzi zima

W grudniu 2010 roku na Bliskim Wschodzie stał się cud. Wszystko zaczęło się w Tunezji i rozprzestrzeniło się na inne państwa arabskie, omijając jednak Iran. Tunezyjczycy zbuntowali się, powstali i w ciągu paru tygodniu pozbyli się starej władzy.

Jak zahipnotyzowana śledziłam wiadomości. Nabrałam też zwyczaju, by przed snem, tuż przed zgaszeniem światła, jeszcze ostatni raz zerkać do tabletu, a potem włączać go zaraz po przebudzeniu, żeby nie przeoczyć żadnego ważnego wydarzenia rewolucji, która przetaczała się przez kraje arabskie. Z Tunezji najpierw przeniosła się do Egiptu. W styczniu 2011 roku w Kairze Egipcjanie zaczęli gromadzić się na placu Tahrir, domagając się ustąpienia Hosniego Mubaraka. Wydarzenia toczyły się błyskawicznie. Początkowo liderzy protestujących wydawali się zaskakująco umiarkowani oraz nastawieni na współpracę, nawet jeśli pochodzili ze środowisk fundamentalistycznych. Raszid al-Ghannuszi, przywódca tunezyjskich islamistów, który wrócił do kraju po 21 latach, podkreślał: „Nie jestem ani Chomejnim, ani talibem!”. Rozumiał przez to, że nie zamierza wprowadzać w Tunezji islamskiego fundamentalizmu. Nawet egipskie Stowarzyszenie Braci Muzułmanów nazywało protesty powstaniem narodowym Egipcjan, zarówno muzułmanów, jak i chrześcijan. Irańska Republika Islamska z pewnym niepokojem śledziła wydarzenia, po czym śmiało zadeklarowała, że zmiany przetaczające się przez Bliski Wschód to „islamskie przebudzenie”: owoc naszej rewolucji z 1979 roku.

Zaraz potem, w lutym 2011 roku nadszedł czas na Libijczyka, Mu’ammara Kaddafiego, jednego z najbrutalniejszych i najdłużej utrzymujących się u władzy dyktatorów regionu. W przeciwieństwie do Mubaraka uparcie walczył aż do ostatniej chwili, bezwzględnie niszcząc

każdego, kto śmiał stawić mu czoło. Osiem miesięcy później jak tchórz ukrywał się w rurze ściekowej i został zastrzelony z małej odległości.

Dla Irańczyków to był trudny i niespokojny okres. W regionie pierwszy raz na poważnie zatrzęsło się właśnie u nas, po sfałszowanych wyborach. Czerwiec 2009 roku stanowi cezurę w najnowszej historii Bliskiego Wschodu. Nigdy przedtem bowiem nie zdarzyło się, by miliony obywateli zgromadziło się w stolicy, żądając zmian. Choć irański zryw wygasł, zdławiony przez reżim i chaotyczne, często sprzeczne postulaty jego zwolenników, pierwszego wyłomu dokonaliśmy my. Pierwsza iskra zapłonęła w Iranie. Z tym większym bólem więc Irańczycy obserwowali poruszenie i rozemocjonowanie w sąsiednich państwach arabskich. Skoro nadchodzi zmiana, dlaczego nie obejmuje również Iranu?

9 lutego, niecałe dwa miesiące po wybuchu tunezyjskiej jaśminowej rewolucji, teherańczycy nabrali śmiałości. Wystąpili o zgodę na manifestację poparcia dla powstańców z Tunezji i Egiptu. Reżim znalazł się w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Z jednej strony bowiem Republika Islamska wspierała arabskie powstania jako element „islamskiego przebudzenia", z drugiej zaś władza doskonale zdawała sobie sprawę, że jeśli pozwoli Irańczykom wyrazić solidarność z protestującymi – a także własne niezadowolenie – skutki mogą być dla niej opłakane.

Mehdi Karubi i Mir Hosejn Musawi, opozycyjni liderzy, którzy stali na czele Zielonego Ruchu, wzywali do demonstracji. A choć władze nie wyraziły zgody, Irańczycy i tak wylegli na ulice. Wielu raniono, wielu aresztowano, kilka osób zginęło. Sześć dni później ludzie wrócili na ulice i znów zostali zmiażdżeni przez policję. W Szirazie siły bezpieczeństwa zepchnęły z mostu studenta, zabijając go na miejscu. Tam również dokonano masowych aresztowań.

W uczelniach całego kraju trwały protesty studentów. Odwoływano zajęcia, mnożyły się zatrzymania. Wzmogły się też prześladowania działaczy, którzy już znajdowali się w więzieniach; pogarszały się również warunki odbywania kary. Największe miasta, zwłaszcza Teheran, zostały kompletnie odcięte i zablokowane. Policja w czarnym umundurowaniu bojowym otoczyła główne place i parki miejskie; patrole organizowały blokady na trasach szybkiego ruchu. Państwo nie zamierzało ryzykować. Nie mogło dopuścić, by Irańczycy zaczęli się domagać tej samej wolności, o którą walczyli Tunezyjczycy i Egipcjanie. Następny ruch stanowiło aresztowanie Musawiego i Karubiego. Uciekając się do zatrzymania głównych rywali prezydenta w ostatnich wyborach, reżim milcząco przyznawał się, jak bardzo boi się swoich obywateli. Żadna instytucja nie wzięła na siebie odpowiedzialności za tę decyzję, ale niektórzy strażnicy rewolucji i sam minister wywiadu publicznie sygnalizowali, że rozkaz wyszedł od najwyższego przywódcy.

Status Musawiego i Karubiego – bądź co bądź osób pełniących niegdyś ważne funkcje państwowe – nie zapewniał im przyzwoitego traktowania. Władza odmawiała im prawa do regularnych spotkań z rodziną; trzymano ich w mieszkaniach, których lokalizacji nie ujawniono; uniemożliwiano im pobyt na świeżym powietrzu; w posiłkach brakowało owoców i warzyw. Wkrótce obaj zachorowali, ale nawet w szpitalu strażnicy pilnowali ich dzień i noc. Początkowo w areszcie towarzyszyły im żony, ale po kilku miesiącach władze wypuściły żonę Karubiego. Podobno sam tego zażądał, bo jako duchownemu i konserwatywnemu wyznawcy islamu przeszkadzało mu, że agenci bezpieczeństwa często wpadali do pokoju bez uprzedzenia; nie pozwalali też jego żonie zamykać drzwi łazienki, kiedy się kąpała.

Zachodnie media falę protestów, która przetoczyła się przez region, ochrzciły mianem „arabskiej wiosny”. Nie wiem, kto ukuł tę frazę, ale trafił jak kulą w płot. Nie było żadnej wiosny. Ludzie mają krótką pamięć. Każdy, kto choć odrobinę zna realia Bliskiego Wschody, wiedziałby, że obalenie dyktatora nie oznacza końca dyktatury. Czyżby wszyscy już zapomnieli, co wydarzyło się w Iranie w 1979 roku? O zrywie, który historycy nazwali ostatnią wielką rewolucją XX wieku? Jak łatwo jednego dyktatora zastąpił drugi – tyle że w innym kostiumie ideologicznym. Rozmawiając teraz z arabskimi przyjaciółmi, tak pełnymi nadziei i wiary w możliwość zmian, nie chciałam wyjść na cyniczną Irankę, ale ogromnie niepokoił mnie wzrost popularności fundamentalistów, którzy natychmiast wynurzyli się z cienia, by przejąć władzę.

Zarówno w Egipcie, jak i w Tunezji islamiści zdobyli ją uczciwie, w wyborach. Po czym – zaraz po zwycięstwie – zaczynali od zdławienia ruchów feministycznych, zmieniając kodeks w duchu szariatu. Tak w każdym razie brzmiało ich tłumaczenie. Nowe przepisy pogłębiały istniejącą już dyskryminację płciową; ograniczały też wolność słowa, by obywatele nie mogli wyrazić niezadowolenia z tych porządków. Nowa władza stawiała także znak równości między polityką a islamem. Każdego, kto śmiał ją skrytykować, natychmiast obwoływano „niewiernym”.

Ciśnienie rosło tak bardzo, że w październiku 2011 roku w Tunisie tłumy zaczęły obrzucać bombami zapalającymi dom właściciela stacji telewizyjnej, która nadała *Persepolis*, animowany film na podstawie komiksu Mardżan Satrapi, opisującej swoje dojrzewanie w czasach irańskiej rewolucji islamskiej. Film co prawda nie miał nic wspólnego z Tunezją, ale znakomicie ukazywał rozczarowanie irańskiej młodzieży, która wraz z dojściem do władzy islamistów straciła wolność kulturową i społeczną. Salafitom, bo tak w świecie arabskim są nazywani islamscy

fundamentaliści, nie spodobała się zwłaszcza scena, w której Satrapi przedstawia Boga jako człowieka. Na pozór tym świętym oburzeniem zapałali z powodu bluźnierstwa, ponieważ islam w najsurowszej wersji zakazuje sporządzania wizerunku Boga, Proroka, w ogóle jakiegokolwiek człowieka lub zwierzęcia. Bardziej prawdopodobne jednak, że przestraszyli się przesłania filmu, ukazującego bezbronność świeckich w świecie konserwatywnej rewolucji i przedstawiającego, jak szybko islamiści u władzy potrafili zlikwidować przestrzeń, w której wcześniej funkcjonowali bardziej liberalni świeccy. Po tym, jak imam meczetu w śródmieściu Tunisu potępił w kazaniu film, tysiące wiernych wyległo na ulice, protestując i paląc biura stacji telewizyjnej. Władze ukarały też właściciela telewizji.

Również w Egipcie w wyborach prezydenckich zwyciężył fundamentalista, którego twarda polityka zmierzająca do całkowitego przejęcia władzy szybko zaczęła budzić poważne obawy. Muhammad Mursi, kandydat Stowarzyszenia Braci Muzułmanów, dążył do zmiany egipskiego prawodawstwa i zatrzymania procesu demokratyzacji, równocześnie starając się udobruchać Stany Zjednoczone, skąd najszerszym strumieniem napływała pomoc dla Egiptu. Kiedy Syryjczycy zbuntowali się przeciwko swojemu dyktatorowi, Baszarowi al-Asadowi, Mursi zdecydowanie poparł opozycję i zrobił afront Iranowi, który zabiegał o odbudowę stosunków z Egiptem zerwanych po rewolucji 1979 roku. Choć Mursi doszedł do władzy pod hasłami budowy rządu „dla wszystkich Egipcjan”, starał się przede wszystkim o umocnienie pozycji Braci Muzułmanów, nadając sobie daleko idące prerogatywy i próbując szybko przepchnąć przez parlament projekt konstytucji oprotestowany przez liberałów, stronnictwa umiarkowane oraz Koptów. W kwestii równouprawnienia kobiet Mursi oraz Bracia Muzułmanie bardzo szybko

odsłonili swój sposób myślenia. Odrzucili deklarację ONZ potępiającą przemoc wobec kobiet i podkreślili, że żonom powinno się zakazać oskarżania mężów o gwałt, dodając przy tym, że mąż sprawuje „pieczę” nad żoną.

Wszystkie te posunięcia – a zwłaszcza projekt konstytucji – tak rozwścieczyły Egipcjan, że znów wylegli na plac Tahrir. Po kilkudniowych protestach, zamieszkach i olbrzymich demonstracjach wojsko obaliło Mursiego. Doszło do sytuacji, gdy dwaj prezydenci – przedrewolucyjny Hosni Mubarak i porewolucyjny Muhammad Mursi – siedzieli w więzieniu, obserwując groteskę rozgrywającą się na ich oczach. Sekretarz generalny ONZ oraz szef Unii Europejskiej zażądali od egipskiego wojska uwolnienia Mursiego. Wielu zachodnich obserwatorów nie uznawało usunięcia prezydenta, widząc w tym wyłącznie przewrót wojskowy.

Ja jednak jako Iranka, która miała za sobą podobne doświadczenia, doskonale rozumiałam postawę Egipcjan. Wiedziałam, co pchnęło ich do wyjścia na ulice i demonstracji przeciwko Mursiemu. Cóż bowiem pozostaje społeczeństwu, gdy przywódca – wybrany w majestacie prawa, zgodnie z demokratycznymi procedurami – próbuje podkopać fundament, na którym zbudowano państwo, konstytucję oraz elektorat? Czy można dopuścić, by wyłoniony w wyborach powszechnych lider podeptał zasady, dzięki którym doszedł do władzy? Dla wielu Egipcjan obalenie Mursiego nie stanowiło pogwałcenia demokracji. Przeciwnie, był to bolesny, dramatyczny wybór, który pozwalał ją ratować.

Ja widziałam w tym wierną kopię irańskiej rewolucji, dlatego cieszyłam się, że Egipt – przynajmniej do pewnego stopnia – nie powielił naszych błędów. Na samym początku egipskich przemian, a potem w pierwszych dniach prezydentury Mursiego czułam się niezręcznie, ilekroć rozmawiałam z arabskimi znajomymi, zarzekającymi się, że nikt nie zdoła

zniszczyć ideałów rewolucji, a Mursi nie odważy się ograbić Egipcjanek z ich praw.

„Spójrzcie na mnie! – chciałam wykrzyczeć im w twarz. – Wierzyłam w rewolucję, która pozbawiła mnie urzędu sędziowskiego. Maszerowałam ulicami, skandowałam hasła wolnościowe i wspierałam rewoltę, którą później zagrabili islamiści, pozbawiając mnie kariery zawodowej, pozbawiając kobiety wszelkich praw".

Nic nie opisze mojej goryczy i niepokoju, gdy obserwowałam rozwój wypadków na Bliskim Wschodzie, a równocześnie słuchałam pełnych oburzenia komentarzy zachodnich liberałów, którzy potępiali „niedemokratyczną" postawę Egipcjan próbujących powstrzymać Mursiego i Stowarzyszenie Braci Muzułmanów, zanim będzie za późno.

Całe to zamieszanie z roku 2011, choć rozbudziło wielkie nadzieje, bynajmniej nie przyniosło światu arabskiemu podmuchu wiosny. Jeśli zaś chodzi o Iran, nie zanosiło się tam nawet na przedwiośnie. Irańczycy żyli uwięzieni w permanentnej zimie. Po aresztowaniu kluczowych przywódców opozycyjnych, Musawiego i Karubiego, nawet ci, którzy po cichu marzyli, że kiedyś wreszcie reżim będzie musiał sam się zreformować, stracili resztki nadziei. Co gorsza, mniej więcej w tym samym okresie na Zachodzie coraz większy posłuch zyskiwały najbardziej wsteczne siły wzywające do zmiany władzy. Tak działo się chociażby w Stanach Zjednoczonych, gdzie OBL, Organizacja Bojowników Ludowych Iranu, ugrupowanie założone jeszcze przed rewolucją z 1979 roku, które z czasem nabrało fanatycznego, agresywnego charakteru, cieszyło się rosnącym poparciem obecnych i byłych kongresmenów. Co z tego, że Waszyngton dawno już umieścił je na liście organizacji terrorystycznych? We wrześniu 2012 roku OBL odniosła sukces: decyzją Departamentu Stanu wykreślono ją z niechlubnego spisu.

W tym samym czasie wyraźnie rosła też sympatia do Cyrusa Rezy Pahlawiego, najstarszego syna ostatniego szacha, w kręgach monarchistów uważanego za prawowitego władcę Iranu. Mieszkał na stałe w Waszyngtonie, skąd prowadził ożywioną działalność polityczną, choć nie posiadał cech charyzmatycznego przywódcy opozycyjnego, a sami Irańczycy szczególnie nie marzyli o przywróceniu monarchii. Kiedy jednak sytuacja w Iranie wyglądała tragicznie, a wszystko wskazywało na to, że najwyższy przywódca już nigdy nie zrezygnuje ze stanowiska, Reza Pahlawi wydawał się kimś, w kim można było pokładać choć cień nadziei; wokół kogo można było się zjednoczyć.

W kwietniu 2011 roku mąż jednej z moich najbliższych przyjaciółek, Mehrangiz Karubi, popełnił samobójstwo, rzucając się z okna ich teherańskiego mieszkania. Mehrangiz, podobnie jak ja, była prawniczką i po rewolucji poświęciła się pisaniu książek prawniczych, wiele uwagi poświęcając kwestii dyskryminacji wobec prawa. Nasze rodziny się przyjaźniły. Moje córki wychowywały się razem z jej dziewczynkami. Mehrangiz też, tak samo jak ja, trafiła do więzienia Ewin. Jej zbrodnia polegała na tym, że za rządów Mohammada Chatamiego wyjechała na konferencję w Berlinie. Dostała za to 50 dni.

Jakiś czas po jej wyjściu na wolność u Mehrangiz rozpoznano raka piersi. Leczyła się za granicą. Podczas jednego z jej wyjazdów aresztowano jej męża, Siamaka Purzanda. Już wcześniej służby bezpieczeństwa wielokrotnie go zatrzymywały i zmuszały, by przed kamerą wygłaszał deklaracje, w które nie wierzył, i przyznawał się do czynów, jakich nie

popełnił. Nawet to jednak – podobnie jak w wypadku Dżawada – nie wystarczało agentom, którzy dalej go nękali.

Ponieważ Siamak w więzieniu zachorował, władze ostatecznie zgodziły się, by resztę wyroku odsiedział w areszcie domowym. Mijały miesiące. Siamak marniał w czterech ścianach mieszkania, tęskniąc za żoną, która w obawie o bezpieczeństwo jego i córek wolała nie wracać do kraju. Popadał w coraz większą depresję, aż pewnej nocy wyskoczył z okna mieszkania. Zginął na miejscu. Dzień później w wieczornych wiadomościach patrzyłam, jak jego córka, Lejli – którą znałam jeszcze jako dziewuszkę z kucykami – mówi o swoim ojcu. Oczy miała zapuchnięte od łez, z wysiłkiem dobierała słowa.

– Mój ojciec mężnie wybrał śmierć. I to taką, która obnaży niesprawiedliwość, jaką mu zadano.

Jej dojrzałość, cierpienie i smutek malujący się na twarzy wzruszyły mnie do łez. Siedziałam na kanapie, myśląc o ofiarach Republiki Islamskiej: rozdartych, okaleczonych rodzinach. Mojej i wielu innych. Lejli od dziecka obserwowała, jak rodzice trafiają do więzienia i z niego wychodzą. Na jej młodość cieniem kładł się niepokój, którego źródłem byli funkcjonariusze bezpieczeństwa. Podobny los spotkał moje córki. Droga, którą wybraliśmy ja i Dżawad, zmusiła je do przedwczesnej dojrzałości; dźwigały ciężar lęku i obawy, który powinni nosić jedynie dorośli. Z półmroku mojego salonu patrzyłam na odległe światła miasta. Wyobrażałam sobie, jak szybko rozświetliłby się horyzont, gdyby każda ofiara Republiki Islamskiej zajaśniała blaskiem pojedynczej gwiazdy.

Był pochmurny lutowy dzień. Szłam przez Cambridge. To walentynki, uświadomiłam sobie, patrząc na czekoladki i kwiaty królujące w sklepowych witrynach. Spacerowałam niespiesznie i chłonęłam urokliwą atmosferę miasta: brukowane uliczki, rdzawe cegły budynków uniwersyteckich, biegaczy w rękawiczkach i czapkach, roześmiane grupki mijających mnie studentów. Myślałam o Dżawadzie. Choć rana wciąż się nie zagoiła, tęskniłam za nim. Dziewczęta też, zwłaszcza gdy się spotykałyśmy. Kilka miesięcy wcześniej Negar i jej mąż Behnud przeprowadzili się do Bostonu, gdzie kontynuowali studia podoktoranckie najpierw na MIT, a później na Harvardzie. Obowiązkowo wybierałam się do nich z wizytą, bo Negar spodziewała się dziecka. Wreszcie spełniało się największe marzenie mojego dorosłego życia: wezmę w ramiona wnuka.

Dżawad od tygodni ze zdwojoną siłą walczył o paszport, żeby być przy narodzinach dziecka. Za każdym razem jednak Mahmudi wynajdował kolejny pretekst, blokując jego starania. Wniosek o nowy paszport – w zastępstwie zniszczonego i nieudolnie podrabianego dokumentu, który oddano mu po wyjściu z więzienia – został odrzucony.

W biurze paszportowym Dżawad otrzymał numer ewidencyjny, dzięki któremu mógł śledzić postęp sprawy. Ten doprowadził go do sądu, który ograniczył swobodę jego poruszania się. Następnie mój mąż dowiedział się, że jego nazwisko pojawia się w wytoczonej mi sprawie, gdzie zarzuca mi się „spisek przeciwko bezpieczeństwu narodowemu”.

– Figuruję na liście jako twój „współpracownik” – powiedział mi w czasie jednej z wieczornych rozmów telefonicznych. – Sędzia zacytował mi fragment dokumentu, który dostał. Wynikało z niego, że mój wyjazd z kraju „naruszałby bezpieczeństwo państwa”.

Sędzia, który wystawił zakaz, powiedział otwarcie, że dopóki Mahmudi nie wycofa ograniczenia, Dżawad nie ma co liczyć, że będzie mógł

podróżować. Termin porodu Negar zbliżał się wielkimi krokami. Dżawad był zdesperowany. Nadal raz w miesiącu albo raz na dwa miesiące stawiał się u Mahmudiego na przesłuchania. Ostatnio agent nabrał zwyczaju lekceważenia Dżawada, który godzinami sterczał w korytarzu albo poczekalni i dopiero pod koniec dnia słyszał, że ma wrócić następnego dnia: Mahmudi jest zbyt zajęty, by go przyjąć.

– To ich stały numer. Element gry psychologicznej – tłumaczyłam. – Chodzi o to, by cię zranić, rozdrażnić.

Chciałam przede wszystkim go uspokoić, ale w głębi duszy zastanawiałam się, czego właściwie od niego chcą. Przecież powiedział przed kamerami to, czego sobie zażyczyli. Wiedzieli doskonale, że trzymają go w ręku. O co chodziło tym razem?

Któregoś popołudnia Dżawad wprost poprosił Mahmudiego, by zniósł jego zakaz podróżowania.

– Moja starsza córka rodzi pierwsze dziecko. Pragnąłbym przy tym być – wyjaśnił. – Nie ma w Stanach żadnej rodziny. Ilekroć rozmawiamy, pyta, czy przyjadę.

Mahmudi potarł krótki zarost. Jego brązowe oczy błysnęły.

– Czemu twoja żona w końcu się nie zamknie?

– Nie słucha mnie. A pan doskonale o tym wie.

– Człowieku, co ci po takiej żonie? Gdyby cię kochała, zamknęłaby dziób na kłódkę. Chociażby ze względu na ciebie. Przecież zdaje sobie sprawę, że nie obali władzy i że w Iranie nic się nie zmieni. A mimo to uparcie robi swoje. Chociaż wie, że gdyby umilkła, wszystkie twoje problemy natychmiast by się rozwiązały.

Dżawad nic nie powiedział. Ostatecznie nie pozwolono mu wyjechać.

Tak oto tylko ja towarzyszyłam Negar w Bostonie. Tego wieczoru, gdy Dżawad powiadomił nas, że nie będzie mógł przyjechać, pomogłam jej

owinąć w kocyk małego Radeana. Posadziłyśmy obok niego pluszowego misia i nakręciłyśmy krótki filmik dla Dżawada. Spędziłam u Negar dwa miesiące. W ciągu dnia często brałam Radeana na ręce i spacerowałam z nim po pokoju, żeby córka mogła się wyspać. W domu panowała cisza. Negar drzemała, a Radean cicho sapał w moich ramionach. Jego oddech pachniał słodko, jak mleko.

Mahmudi zatrzasnął drzwi pokoju przesłuchań z takim impetem, że herbata na biurku zakołysała się w filiżance. Pomieszczenie wyglądało tak samo jak zawsze: nagie, białe ściany, które w świetle jarzeniówki wydawały się sine, dwa drewniane krzesła, poplamiona, bura wykładzina. Dżawad zauważył jednak, że na biurku leżało więcej teczek niż zwykle. To napełniło go otuchą.

Zbliżał się Nowruz – pierwszy dzień wiosny i perskiego nowego roku. Dżawad po raz kolejny zameldował się u Mahmudiego, by prosić o zgodę na wyjazd do Bostonu, gdzie rodzina mogłaby się spotkać w komplecie. Nargess i ja wybierałyśmy się z Londynu do Negar. Nie prosiłyśmy Dżawada, by do nas dołączył – wystosowanie zaproszenia wydawało się okrutne w sytuacji, gdy i tak nie mógł podróżować – ale kiedy usłyszał o naszych planach, postanowił zawalczyć jeszcze raz. Tym razem zmienił taktykę. Brat jego przyjaciela zajmował ważne stanowisko w Ministerstwie Wywiadu i bezpośrednio wstawił się u Mahmudiego za Dżawadem.

– A więc... – oświadczył Mahmudi, stukając wiecznym piórem w teczki. – Po raz kolejny wracamy do tej samej sprawy.

Dżawad czekał z dłońmi na kolanach. Uznał, że milczenie raczej nie wzbudzi gniewu przesłuchującego. Mahmudi podniósł pióro do światła i bacznie mu się przyglądał.

– Wypuszczę cię. Ten jeden raz. Ale na krótko. Najwyżej na miesiąc. A po powrocie zameldujesz się tu i podpiszesz oświadczenie, że za granicą nie oczerniałeś Republiki Islamskiej.

– Oczywiście. Czy wolno też dodać...

– Nie skończyłem – wpadł mu w słowo Mahmudi. – Jako zastaw zostawisz swoje mieszkanie. Jeśli znajdziemy tam coś, co nam się nie spodoba, przejmiemy je na własność. I masz też stale nosić przy sobie to wieczne pióro. W środku znajduje się GPS, więc będziemy śledzić każdy twój ruch. W każdej chwili będziemy mogli cię zlokalizować.

Sięgnął po pióro – to samo, którym bawił się od początku rozmowy – i obracał je w palcach. Nasze mieszkanie w Jusef Abad jako jedyne nie trafiło pod młotek na pokrycie zobowiązań wobec urzędu skarbowego. Mahmudi doskonale wiedział, że to nasza ostatnia nieruchomość. Jedyne, co nam zostało, a co przedstawia wartość emocjonalną i materialną.

Dżawad podziękował i błyskawicznie wyszedł, żeby Mahmudi nie zdążył się rozmyślić albo dorzucić kolejnej komplikacji. Po powrocie do domu natychmiast zadzwonił do przyjaciela z pytaniem, czy brat z Ministerstwa Wywiadu nie mógłby wynegocjować, żeby Mahmudi zrezygnował z nieszczęsnego pióra z GPS-em. W końcu Mahmudi ustąpił, ale i tak wziął w zastaw akt własności mieszkania. Gdyby Dżawad w ciągu miesiąca nie wrócił do Iranu, uległoby konfiskacie.

Dzieci dorastają, ale dla rodziców zawsze pozostają dziećmi. Kiedy w marcu Dżawad i ja wreszcie spotkaliśmy się w Bostonie po trzech latach rozłąki, czułam na sobie niespokojny wzrok córek. Był Nowruz, najważniejsze święto Irańczyków, a Negar właśnie urodziła dziecko. Mimo to pierwszego dnia po przyjeździe Dżawada ciągle uciekałam do kuchni, by zaparzyć herbatę, albo znikałam w łazience, żeby się pozbierać. Prawie nie wypuszczałam z ramion swojego wnuka, tuląc go i udając spokój.

Ten mężczyzna w salonie to już nie był mój mąż. Została jedynie skorupa człowieka, cień dawnego Dżawada. Postarzał się o dobre dziesięć lat. Na twarzy pojawiły się głębokie bruzdy, które nadawały mu wyraz nieustannej goryczy. A przecież kiedyś był to czarujący mężczyzna: uśmiechał się chętnie i szeroko; jego oczy lśniły, ilekroć rzucał inteligentne, dowcipne komentarze, które przychodziły mu z taką łatwością. Właśnie to najbardziej mnie w nim pociągało: emanował energią, przyciągał do siebie ludzi. Tymczasem teraz potrafił godzinami siedzieć bez słowa w kącie. Nawet przy wspólnym posiłku, kiedy wszyscy śmialiśmy się i snuliśmy wspomnienia, wciąż miał nieobecny wyraz twarzy, jakby duchem przebywał gdzieś daleko. Odnosił się do mnie z kurtuazją, ale chłodniej. Czułam, że dziewczęta, które bacznie nas obserwowały, też to dostrzegają. Nie opuszczało mnie też wrażenie, że między nami zieje otchłań. Już przed jego przyjazdem do Stanów nasze rozmowy telefoniczne stały się coraz krótsze i chłodniejsze. Zupełnie jakby nic już nas nie łączyło, jakbyśmy nie mieli wspólnych tematów.

Któregoś dnia późnym popołudniem wybraliśmy się na spacer. Krążyliśmy po ulicach w pobliżu mieszkania Negar. Drzewa wciąż były nagie, słońce świeciło anemicznie. Przed wejściem do parku Dżawad przystanął.

– Czyż sama nie powtarzałaś, że walka o prawa człowieka zaczyna się od własnej rodziny? – przypomniał. – Ilekroć zauważyłaś, że współpracownik zaniedbuje współmałżonka albo dzieci, zawsze zwracałaś mu uwagę, że rodzina stoi na pierwszym miejscu. Powiedz mi tylko jedno. Dlaczego sama nie postępowałaś zgodnie ze swymi naukami?

W parku znajdowało się kilka ławek. Usiedliśmy, choć było chłodno.

– Minęło ponad 25 lat, od kiedy zaangażowałaś się w działalność na rzecz praw człowieka – podjął mój mąż. – Czy przez ten czas wydarzyło się coś pozytywnego? Czy cokolwiek osiągnęłaś? Nawet jeśli wywalczyłaś zwolnienie dziesięciu więźniów, władza natychmiast aresztowała kolejnych 20. Czy przyniosłaś Iranowi wolność?

Słuchałam, cała sztywniejąc. Nie przerywałam. Pozwoliłam mu się wygadać.

– Jeśli stać cię na uczciwość wobec siebie, przyznasz, że wszystkie twoje wysiłki spełzły na niczym. Osiągnęłaś tylko jedno: ściągnęłaś nieszczęścia na siebie i swoją rodzinę.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Dobrze widziałam, jak bardzo jest zmęczony i załamany. Prześladowany przez Mahmudiego, nękany przez jego agentów stracił całą radość i energię. Teraz marzył jedynie o ciszy i spokoju, a ja nie winiłam go o to ani przez chwilę. Ale równocześnie... Wkrótce skończę 65 lat. Nie mogłam wyprzeć swoich ideałów, wartości, postępowania. Nie mogłam porzucić wszystkiego, na co pracowałam niemal całe życie; odwrócić się od kolegów zamkniętych w więzieniu. Nie mogłam zaszyć się gdzieś na drugim końcu świata i wyrzec się siebie. W myślach miałam mętlik. Nie mieściło mi się w głowie, że w bostońskim parku prowadzę tę rozmowę z człowiekiem, z którym spędziłam prawie 40 lat. Rozcierałam zmarznięte dłonie i przyglądałam się śmieciarce, która hamowała przed rzędem kamienic.

– Nie chcę powiedzieć, że nie mam na to odpowiedzi – odezwałam się wreszcie z namysłem. – Wiem jednak jedno. Dla mnie nic się nie zmieni.

Dżawad długo patrzył na mnie bez słowa. Nigdy, przenigdy nie zapomnę owego mroźnego wiosennego dnia, w którym wciąż więcej było zimy. Wtedy właśnie niczym źródło eksplodowały we mnie wyrzuty sumienia. Od razu zrozumiałam też, że owo źródło nie przestanie tętnić. Nigdy przedtem moje postępowanie nie budziło we mnie poczucia winy. Do tej pory wszystko ze sobą dzieliliśmy. Moje zaangażowanie i jego wpływ na nasze wspólne życie ewoluowało stopniowo. Jednak nawet w najtrudniejszych chwilach Dżawad zawsze mnie wspierał. Kiedy tłum próbował się wedrzeć do naszego budynku, zbiegł na dół, stawił czoło napastnikom, zmusił policję, żeby nas ratowała. Owszem, nigdy nie podzielał wszystkich moich ideałów, ale pozostał wobec mnie lojalny. Jedno nigdy nie ulegało wątpliwości: cała wina leży po stronie rządu. To nie ja nas raniłam.

Dziś nasze porozumienie gdzieś się ulotniło. Został jedynie ból na zniszczonej, znużonej twarzy mojego męża. Do długiej listy moich cierpień i smutków dopisałam kolejny punkt: rozpad małżeństwa. To był dla mnie straszliwy cios, ale wiedziałam, że jeśli zostaniemy razem, reżim nigdy nie da Dżawadowi spokoju. Gdyby chodziło tylko o mnie, walczyłabym. Zdawałam sobie jednak sprawę, że tylko w ten sposób – kończąc nasz związek – naprawdę go ochronię.

Dżawad spędził w Bostonie trzy tygodnie, potem wyjechał do Kanady, aby odwiedzić siostrę. Wrócił do Iranu przed upływem miesiąca, by zachować

jedyną nieruchomości, jaka mu została, i odzyskać akt własności mieszkania.

Ja tymczasem wróciłam do Europy i postanowiłam rozszerzyć działalność. Chciałam założyć i zarejestrować organizację typu non-profit, która łączyłaby różne aspekty mojej pracy na rzecz praw człowieka. Za radą prawników wybrałam na siedzibę Londyn i pod koniec 2013 roku zarejestrowałam Centre for Supporters of Human Rights (CSHR, Centrum Wspierania Praw Człowieka). Zakładając ośrodek, zamierzałam skupić się przede wszystkim na Iranie i prawie do obrony dla więźniów sumienia. Irańscy adwokaci, którzy tak niestrudzenie reprezentowali w sądzie więźniów politycznych, sami nieustannie nadstawiali karku. Reżim obserwował każdy ich ruch, wielu aresztował, a rodziny zastraszał. Irańska Rada Adwokacka terroryzowana przez Ministerstwo Wywiadu nawet nie próbowała bronić swoich prześladowanych członków. Dlatego od samego początku całą uwagę skupiłam na ratowaniu tych odważnych prawników. O ich problemach informowałam ONZ i Międzynarodową Radę Adwokacką.

Z czasem, dzięki współpracy z prawnikami, którzy po protestach z 2009 roku opuścili Iran, udało się stworzyć dynamiczną siatkę kontaktów, łączącą adwokatów w kraju i poza nim. Ilekroć to było możliwe, współpracowaliśmy w konkretnych sprawach, prowadziliśmy warsztaty i szkolenia, publikowaliśmy artykuły prawnicze. Ta łączność budziła w nas poczucie solidarności i motywowała do dalszych działań zarówno prawników zmuszonych do emigracji, jak i tych, którzy pracowali w Iranie.

Mimo nawału zajęć utrzymywałam kontakt z Dżawadem. Nasze rozmowy jednak stawały się coraz chłodniejsze i bardziej zdawkowe. Zwykle krążyły wokół naszych córek: ich pracy, dziecka Negar i studiów Nargess. Innych wspólnych tematów już nie mieliśmy.

Pewnego dnia Dżawad poinformował, że chce wystąpić o separację. Gdybyśmy się rozwiedli, może wreszcie pozbyłby się Mahmudiego. Poza tym mógłby się ponownie ożenić. Czy się tego spodziewałam? Szczerze? Chyba sama nie wiem. Rozumiałam jednak, że miał prawo cieszyć się normalnością, zamiast żyć w próżni, jak przez ostatnie cztery lata. Dlatego zgodziłam się i postanowiliśmy, że udzielę mu pełnomocnictwa, by formalnie wystąpił w sądzie o rozwód. Oczywiście w świetle irańskiego kodeksu nie potrzebował mojej akceptacji, ale formalna zgoda znacznie ułatwiła postępowanie.

Specyfika tułaczego losu emigranta polega między innymi na tym, że swoje przełomowe chwile przeżywamy w miejscach, z którymi nie wiążą się żadne wspomnienia. Tak oto pewnego ciepłego, letniego dnia znajdowałam się w Madrycie, gdzie miałam wystąpić na V Światowym Kongresie Przeciwników Kary Śmierci. Całą uwagę jednak skupiałam na innym zadaniu, wymagającym wizyty w ambasadzie Iranu, na której teren właśnie wchodziłam. Ambasada mieściła się w otynkowanej na biało willi w stylu hacjendy. Przeszłam przez czarną bramę z kutego żelaza. Niosłam formularz pełnomocnictwa, udzielałam w nim mężowi zgody na wszczęcie procedury rozwodowej. Pracownik ambasady przybił pieczątkę, a ja udałam się na pocztę i natychmiast wysłałam dokument Dżawadowi. Potem wygłosiłam swój referat na temat kary śmierci, w którym wyjaśniałam, że państwa autorytarne nadużywają jej, by dokonywać egzekucji na dysydentach – często niepełnoletnich.

Następnego dnia, 12 czerwca 2013 roku Irańczycy wybierali prezydenta. To już drugie wybory, w których nie mogłam wziąć udziału.

Dziwnym zrządzeniem losu znów byłam w Hiszpanii. Tyle że cztery lata wcześniej, w przeddzień wyborów prezydenckich, wylądowałam na Majorce. I wtedy, i dziś data ta okazała się punktem zwrotnym w moim życiu. Poprzednio moje losy potoczyły się tak, że nie mogłam już wrócić do kraju. Dziś zaś dobiegło końca moje 37-letnie małżeństwo.

Nawet kiedy obie strony zgadzają się na rozwód, jest to trudny i bolesny okres. Nie żałowałam swojej decyzji, zwłaszcza że inicjatywa wyszła od Dżawada. Mimo to jeszcze bardzo długo odczuwałam dotkliwą pustkę. Ilekroć w sklepie na lotnisku mijałam dział męskich perfum, coś jakby ściskało mi serce, bo przypominałam sobie, że zawsze z podróży przywoziłam Dżawadowi wodę kolońską. Znienacka też dopadały mnie wspomnienia. Pierwsze drzewo, które razem zasadziliśmy w sadzie. Czułość, z jaką opatrywał skaleczone kolana dziewcząt. Nikt już nie ganił mnie, że źle się odżywiam. Nikt nie znał mnie na wylot. Nie wiedział, jakie dowcipy najbardziej mnie śmieszą; jaką mieszankę herbaty najbardziej lubię. W Madrycie starałam się zapełnić czas spotkaniami. Tłumaczyłam sobie, że muszę zdusić ból. Wiedziałam, że nie mogę ulec przygnębieniu.

Dlatego jeszcze intensywniej zaangażowałam się w działalność CSHR. To ani na moment nie pozwalało mi zapomnieć, że urodziłam się w kraju, gdzie byle agent bezpieczeństwa mógł złamać komuś życie; a równocześnie przypominało, że nie warto oglądać się wstecz. Trzeba patrzeć przed siebie. W przyszłość.

Było też coś jeszcze, co pomogło mi się uporać ze smutkiem i cierpieniem. Moja młodsza córka, Nargess, powiedziała, że znalazła mężczyznę, z którym pragnie spędzić resztę życia, i przyjęła jego oświadczyny. Pewnego wieczoru umówiłyśmy się na kolację i przedstawiła mi narzeczonego. Ali był od niej trzy lata starszy. Pochodził z kulturalnej, irańskiej rodziny z klasy średniej. Skończył studia informatyczne na

renomowanej brytyjskiej uczelni. Pracował w Londynie, w instytucji rządowej. Uznałam, że to dobry kandydat na męża i udzieliłam im błogosławieństwa. Zaczęli więc przygotowania do ślubu, który miał odbyć się w sierpniu w Londynie.

Zdecydowali się na ślub cywilny, ale zależało im też na ceremonii religijnej w meczecie. Udaliśmy się do irańskiego duchownego – większość szyickich duchownych w Londynie to Irańczycy – by przedstawić mu sytuację.

– Chciałabym poprosić o koraniczne małżeństwo dla córki, połączone z odczytaniem sury – powiedziałam.

– Będą obecni oboje rodzice? I pani, i ojciec panny młodej? – upewnił się duchowny.

Wyjaśniłam, że ojciec mieszka w Iranie i nie będzie mógł uczestniczyć w ceremonii, ale to nie kłopot, ponieważ nie zależy nam na metryce ślubu z irańskiej ambasady.

– Zależy nam tylko na uroczystości religijnej – tłumaczyłam.

– Cóż, w takim razie nie mogę wyrazić zgody. Irańskie prawo na to nie pozwala – oznajmił wyniośle, szczelniej owijając się dżelabiją – Nie przekażę ambasadzie takiego wybrakowanego dokumentu.

– Ależ my niczego nie chcemy przekazywać ambasadzie! – protestowałam zdesperowana. – Jesteśmy muzułmanami, zależy nam na uroczystości religijnej. Tylko dla nas.

Po rewolucji irański kodeks rodzinny wzorowano na przepisach zawartych w Koranie i hadisach. Dlatego znalazł się tam zapis, że kiedy kobieta po raz pierwszy wychodzi za mąż, musi otrzymać zgodę ojca. Nawet jeśli skończyła 50 lat i, załóżmy, zajmuje stanowisko ministerialne. Jeśli ojciec jest nieobecny bądź nie wyraża zgody, kobieta musi udać się do sądu po specjalną zgodę na ślub. To archaiczne prawo oczywiście dotyczy

wyłącznie kobiet. Nic nie opisze, jakie uciążliwości się z nim wiążą. Równocześnie Irańczyk, który skończył 15 lat, może ożenić się z kim tylko zechce. Za to 50-letnia kobieta potrzebuje zgody.

– Gdzie w islamie zapisano taki obowiązek? – spytałam duchownego. – Na pewno nie w Koranie. Zapis wprowadzono na podstawie bardzo mętnego zapisu. Z teologicznego punktu widzenia istnieje mnóstwo źródeł o znacznie większym ciężarze gatunkowym.

– Republika Islamska nie dopuszcza innego rozwiązania, a ja nie chcę mieć kłopotów.

– Do diaska z takim mułłą, który nie ma pojęcia o własnej religii. Znam islam lepiej niż pan. Doskonale też pan zdaje sobie sprawę, że do ceremonii nie potrzebujemy duchownego.

Nawet nie czułam złości, jedynie smutek. Znałam podstawy i przykazania naszej religii lepiej niż ten mężczyzna, który paradował w szatach duchownego i uważał się za posłańca naszej wiary. Ostatecznie więc sama, bez zbędnej pompy odprawiłam ceremonię ślubną Nargess, odczytując im w domu stosowny fragment Koranu.

Cieszyłam się, że Nargess znalazła męża i zaczyna z nim wspólne życie. Byłam wdzięczna losowi, że ziściły się jej pragnienia, a ja będę mogła towarzyszyć córce i uczestniczyć w szczęściu Nargess. Żałowałam tylko, że przeze mnie musiała zmienić swoje plany. Marzyła o karierze prawniczej. Nie szczędząc trudu, skończyła studia w Iranie, zdała egzaminy i zaliczyła straż. Aby otrzymać licencję, musiała już tylko zdać ostatni egzamin przed Radą Adwokacką. Powinna była podejść do niego w 2009 roku, ale

rozsyłając wtedy wnioski o przyjęcie na studia doktoranckie, poprosiła o przełożenie egzaminu o rok. Irańska Rada Adwokacka odrzuciła jej wniosek, uzasadniając to tym, że jej matkę wykreślono z rejestru.

Wyrzucałam sobie, że przez moją działalność i szykany Ministerstwa Wywiadu Nargess nie będzie mogła prowadzić praktyki w Iranie. Ona jednak, co często podkreślała, podchodziła do tego zupełnie inaczej. Uważała, że więcej zdziała, pracując poza Iranem, zwracając uwagę światowej opinii publicznej na to, jak prawo jest tam naruszane. Przypominała mi też, jak bardzo buntowała się w młodości; jak bardzo drażniły ją ograniczenia i jak się wyrywała na wolność. W jednym ze swoich postów na blogu opisywała, że dopiero na emigracji znów nauczyła się doceniać ramadan. W przeciwieństwie do mnie nie obwiniała Mahmudiego o swój los.

Choć cieszyłam się, że Nargess zaczyna nowe, małżeńskie życie, wciąż przytłaczał mnie smutek. Minęły cztery lata, od kiedy opuściłam ojczyznę. Miejsce, które kochałam nad życie; które stanowiło dla mnie inspirację, pchało do działania, ukształtowało moją tożsamość. Żyłam z dala od serdecznych przyjaciół, oddanych kolegów i partnerów, z którymi przez tyle lat na co dzień pracowałam. Los wyrzucił mnie samotną na obce lądy, do świata, którego kultury dobrze nie rozumiałam; którego językiem nie władałam najlepiej. Córki miały już własne życie. Ja tymczasem musiałam rozstać się z mężem. Dżawad i ja od czasu do czasu do siebie dzwoniliśmy. To do niego zwracałam się, ilekroć potrzebowałam czegoś z Iranu. Przysyłał mi książki, a w każdy Nowruz – kalendarz, żebym mogła planować sobie rok. Te miłe gesty nie mogły jednak wypełnić pustki, która mnie otaczała. Po długim dniu spędzonym w pracy przychodził wieczór, który zazwyczaj spędzałam samotnie w mieszkaniu. Odrzucałam zaproszenia od sporej grupy znajomych, którą zdołałam zgromadzić.

Chciałam spędzać czas z moimi starymi przyjaciółmi, ale oni zostali w Iranie. Doskwierała mi samotność.

We wszystkich religiach monoteistycznych powtarza się ten sam wątek: samotność Najwyższego. Jest tylko jeden jedyny Bóg, który nie ma towarzysza ani wspólnika. Ilekroć ogarnia mnie smutek, wraca też filozoficzne pytanie: „Czy Bóg cieszy się, że jest sam?”.

19.
Krwawa lekcja

Pewnego jesiennego dnia w czasie swojej drugiej kadencji prezydent Mahmud Ahmadineżad udał się do miejscowości Bint Dżubajl na południu Libanu, by parę kilometrów od granicy z Izraelem zamachać irańską flagą. Przemówił do tłumów na tym samym, wypełnionym po brzegi stadionie, gdzie przywódca Hezbollahu, Hassan Nasr Allah, wygłosił triumfalną mowę po tym, jak w 2000 roku Izrael wycofał się z południowego Libanu. Pogranicze to do dziś stanowi jeden z najbardziej zapalnych regionów świata. Izraelscy snajperzy nieustannie czuwają tam wpatrzeni w wizjery karabinów, a bojownicy Hezbollahu tylko czyhają, by schwytać do niewoli żołnierza.

Choć ta walka toczy się z dala od naszych granic, Iran odgrywa w niej kluczową rolę. Jako założyciel i sponsor Hezbollahu dzieli jego sukcesy i finansuje straty. W wyniku konfliktu, który latem 2006 roku wybuchł między Izraelem a Libanem, czyli tzw. II wojny libańskiej, 90 procent budynków w Bint Dżubajlu uległo zniszczeniu. Senne miasteczko wśród gajów cedrowych obróciło się w ruinę i to właśnie Iran zapłacił za jego wskrzeszenie. Teheran sfinansował nowe osiedla, szpitale i szkoły, a Ahmadineżad teraz puszył się, przyjmując od Libańczyków hołdy i wyrazy wdzięczności. Na murach stadionu wśród portretów bohaterów Hezbollahu wisiały zdjęcia ajatollaha Chomejniego. Nad nim zaś łopotały sztandary Republiki Islamskiej i Hezbollahu razem z państwową flagą Libanu.

Hezbollah i Liban – czyli wrota, przez które jego pieniądze, broń i wojskowe wsparcie przepływają do sąsiadującej z nim Syrii – to niebagatelna inwestycja. Te sojusze odgrywają kluczową rolę w strategii Iranu. Mają potwierdzać jego pozycję dominującego gracza w regionie.

Stanowią też dogodną lekcję pokazową, uświadamiając obywatelom Iranu, jak się kończy, gdy ludzie zaczynają podskakiwać władzy. Dziś już przywykliśmy do obrazów syryjskiej wojny domowej, jednej z największych tragedii humanitarnych naszego młodego stulecia. Wiemy też, że w tym krwawym konflikcie wewnętrznym syryjscy sunnici starli się z reżimem Baszara al-Asada, który jest alawitą, czyli wyznawcą odłamu szyickiego islamu. Zanim jednak syryjski spór przerodził się w wojnę domową, stanowił powszechny protest przeciwko tyranii Asada. Dopiero prezydent Syrii, przy wsparciu irańskich popleczników, zamienił demokratyczny bunt w fanatyczną wojnę religijną. Irański reżim zaś ochoczo wsparł te działania, myśląc przede wszystkim o sytuacji na własnym terytorium, półtora tysiąca kilometrów dalej.

Rzeź, która rozpętała się w Syrii, stanowiła bowiem klarowne przesłanie dla Irańczyków, zarówno tych w kraju, jak i opozycji poza jego granicami. Republika Islamska wysyłała w ten sposób proste ostrzeżenie: jeśli spróbujecie się zbuntować, zmiażdżymy was. Nie cofniemy się o milimetr. Nie będziemy jak ten egipski mięczak Hosni Mubarak, który ustąpił ze stanowiska. Będziemy raczej Asadem, który obróci własny kraj w perzynę, ale nie odda władzy. Iran spotka ten sam los co Syrię.

Irańczycy nie myśleli o obaleniu rządu siłą. Tak się jednak złożyło, że konflikt w Syrii zbiegł się z trudnym, niepewnym okresem pomiędzy irańskimi protestami z 2009 roku a wyborami prezydenckimi z 2013. Irańczycy bacznie obserwowali zmiany w innych regionach Bliskiego Wschodu. Napełniały ich one optymizmem, dając nadzieję, że również i nasz reżim można by zmienić. Nauczka z 2009 roku była jednak dotkliwa, a obrazy zniszczeń w Syrii, które co wieczór oglądali w telewizji, uświadamiały Irańczykom, jak zareaguje Republika Islamska, gdyby wylegli na ulice, żądając transformacji. Moim zdaniem właśnie to

przeważyło, że – mimo fiaska tej strategii w ostatnich latach – ludzie znów zaczęli myśleć o wewnętrznych reformach. Wydawało się, że to jedyne wyjście. Trzeba krok po kroku naprawiać istniejący system. Dlatego w 2013 roku tak wielu Irańczyków wybierało się do urn, choć wydarzenia z 2009 roku wciąż były żywe w ich pamięci.

Równocześnie reżim też wyciągnął nauczkę z poprzednich wyborów. Dlatego komisja wyborcza uważnie prześwietliła kandydatów, dopuszczając wyłącznie tych, którzy będą całkowicie, ślepo posłuszni najwyższemu przywódcy. Żadnych Musawich czy Karubich, którzy mogliby się postawić i zmienić system. Każdy kandydat, co do jednego, musiał wykazać się absolutną, niewzruszoną lojalnością polityczną. Powinien też być człowiekiem, który nie boi się grać, a w razie konieczności przekonująco przedstawiać odgórne stanowisko, nawet jeśli się z nim nie zgadza. Sito musiało być wyjątkowo gęste, skoro nie przecisnął się przez nie Akbar Haszemi Rafsandżani, jeden z najważniejszych i najbardziej oddanych polityków Republiki Islamskiej, który po zakończeniu wojny z Irakiem przez dwie kadencje sprawował urząd prezydenta. To głosowanie miało bez cienia złudzeń i wątpliwości podkreślać absolutną, pełną i niepodważalną władzę najwyższego przywódcy.

Kandydat na prezydenta musiał też obowiązkowo potępiać *fitnę*, a właściwie spisek Zielonego Ruchu z 2009 roku, bo twardogłowy establishment tak przedstawiał teraz tamte protesty. Reformiści początkowo uzależniali swój udział w wyborach od uwolnienia Musawiego i Karubiego z aresztu domowego, ale potem zmienili kurs i zgodzili się przedstawić własnego kandydata. Żaden ze wskazanych przez nich polityków nie zyskał aprobaty rady ustalającej skład listy wyborczej, więc ostatecznie poparli bezpiecznego kandydata: Hasana Rohaniego, umiarkowanego

konserwatystę, od lat współtworzącego konserwatywną elitę polityczną kraju. Wielokrotnie zajmował on ważne stanowiska, ale widziano w nim przede wszystkim pragmatyka, a nie islamskiego, prawicowego ideologa.

W porównaniu z innymi kandydatami Rohani wydawał się najbardziej postępowy i zaczął trafiać do klasy średniej, elektoratu, który zwykle wsparłby polityka obiecującego głębokie reformy. W czasie jednej z prezydenckich debat telewizyjnych twierdził, że Iran nie powinien zabiegać o realizację programu jądrowego kosztem tego, co ważne dla obywateli.

– Dobrze, jeśli wirówka (do wzbogacania uranu) się kręci – mówił – ale trybiki państwa też muszą się obracać.

W słoneczny czerwcowy dzień 2013 roku Irańczycy ruszyli do urn, by po raz kolejny głosować na prezydenta. W ten sposób dali wyraz swojej wierze i zaufaniu, że tym razem – inaczej niż w 2009 – władza nie będzie manipulować głosami i pozwoli im wybrać przywódcę zgodnie z zapisami, nie zawsze skądinąd doskonałej, konstytucji. Faworytem establishmentu był twardy i zacięty negocjator Said Dżalili, ale tuż przed wyborami w kraju eksplodowało niezadowolenie i rozczarowanie *status quo* stworzonym przez Ahmadineżada. Co najważniejsze zaś, wściekli byli nie tylko zwykli obywatele, ale także kluczowe postaci reżimu, w tym również kandydaci na prezydenta. Ali Akbar Welajati, stary doradca najwyższego przywódcy ds. polityki zagranicznej, podobnie jak pozostali uczestnicy telewizyjnych debat prezydenckich, bezpardonowo atakował politykę zagraniczną i gospodarczą urzędującego prezydenta. Wreszcie w publicznej telewizji,

z ust najważniejszych osobistości życia politycznego padły zarzuty, że Ahmadineżad pchnął Iran na skraj wojny i zapaści ekonomicznej.

Co dzień rozmawiałam z moimi przyjaciółmi i krewnymi w Iranie. Wiedziałam więc, że w kraju szaleje inflacja, a upadek waluty bezpośrednio odbija się na poziome życia Irańczyków. Wiele koleżanek moich córek, które wyjechały z Iranu, by studiować za granicą, musiało wrócić do domu, bo w 2012 roku w ciągu dwóch tygodni wartość riala spadła o połowę. Sytuacja była tak zła, że Iran – niegdyś tak zamożny – zadłużył się w Banku Światowym, a poziom inflacji sięgał 50 punktów procentowych. Na załamanie gospodarki miały też wpływ amerykańskie sankcje, które hamowały wymianę handlową i odcinały Iran od międzynarodowego systemu bankowego.

Naturalnie najchętniej słuchano kandydata, który mówił o nadziei i umiarkowaniu; który obiecywał naprawić gospodarkę i stosunki Iranu z Zachodem. Tym człowiekiem był Hasan Rohani, który za symbol swojej kampanii wybrał klucz. Zobowiązywał się, że otworzy przed Iranem wszystkie drzwi, znów wprowadzi go do świata. Odniósł przytłaczające zwycięstwo już w pierwszej turze.

Kiedy ogłoszono wyniki, Irańczycy wylegli na ulice, by świętować. Tłumnie szli do parków, krążyli samochodami po głównych arteriach stolicy i trąbili radośnie. Niektórzy nawet wykrzykiwali: „Dziękujemy, dyktatorze!”, w ten sposób okazując najwyższemu przywódcy, jak bardzo nienawidzą jego autorytarnych rządów, a równocześnie wyrażając wdzięczność, że uszanował ich wybór.

Obserwowałam te wydarzenia z daleka, czując w ustach gorzko-słodki smak. Władza skutecznie nauczyła Irańczyków, że ich opinia ani oczekiwania się nie liczą. Dlatego teraz euforycznie cieszyli się, gdy głosy zostały uczciwie przeliczone. Nie przeszkadzało im nawet, że trudno było

mówić o prawdziwej rywalizacji, ponieważ kandydaci najpierw przeszli przez sito eliminujące osoby, które nie odpowiadały władzy. Zresztą właśnie o to chodziło reżimowi. Brutalnie dławiąc protesty w 2009 i zabijając marzenia Irańczyków o demokratycznych zmianach, wychował sobie elektorat, który pokornie przyjmował kandydatów narzuconych przez władzę: lojalnych i oddanych polityków obozu rządzącego.

Wystarczyło kilka dni – tyle, ile Rohani potrzebował na ogłoszenie składu rządu – by Irańczycy przekonali się, jak bardzo zostali oszukani. Nowy prezydent na ministra sprawiedliwości wybrał duchownego oskarżonego o bezpośredni nadzór nad masową egzekucją więźniów politycznych w 1988 roku, kiedy to zginęło prawdopodobnie cztery i pół tysiąca cywilów. Kiedy reprezentowałam rodzinę Dariusza i Parwane Forouhar, dysydenckiego małżeństwa zadźganego we własnym domu w 1998 roku, w zeznaniach agentów oskarżonych o zabójstwo nieustannie przewijało się nazwisko owego duchownego. Równocześnie zaś najwyższy przywódca w kolejnych przemówieniach zapewniał, że polityka zagraniczna ani wewnętrzna Iranu nie zagrozi jego obywatelom.

A co z Ahmadineżadem? Były prezydent, który w czasie drugiej kadencji miewał ostre zatargi z najwyższym przywódcą, ponownie znalazł się w centrum uwagi, deklarując dla niego poparcie. Ten z kolei odwdzięczył się, jeszcze tego samego lata stawiając go na czele Rady Arbitrażowej, najwyższego organu doradczego w Iranie, rozstrzygającego spory między parlamentem a Radą Strażników. Tak oto – choć powszechnie uważano, że kariera polityczna Ahmadineżada dobiegła końca – otworzył on nowy rozdział i został nagrodzony za lojalność wobec najwyższego przywódcy. Jak oświadczył Ali Chamenei, Ahmadineżad swoją „niestrudzoną pracą” na stanowisku prezydenta zasłużył na to, by powierzyć mu ster jednej z najbardziej wpływowych instytucji w państwie.

Ta nominacja stanowiła sygnał, że choć Ahmadineżad przestanie być w centrum zainteresowania, najwyższe osoby w państwie wciąż podzielają jego radykalne poglądy. Tymczasem Musawi i Karubi pozostawali w areszcie domowym, a setki innych Irańczyków, uwięzionych po wyborach prezydenckich z 2009 roku, nadal gniło w celach.

Państwo irańskie po mistrzowsku ukrywa przed obywatelami koszty swoich decyzji politycznych. Jedno z ulubionych powiedzeń ajatollaha Chomejniego po rewolucji 1979 roku brzmiało: „Rewolucję islamską należy eksportować poza granice Iranu”. Dopiero w następnych latach stało się jasne, co oznaczały te słowa i jakie działanie się za nim kryje. Właśnie stąd wzięło się finansowe i zbrojne wsparcie dla Hezbollahu, za którego pośrednictwem Iran rozszerza swoją strefę wpływów na Bliskim Wschodzie aż po granice Izraela. Stąd też dążenie Iranu do destabilizacji w regionach tak odległych jak Jemen, gdzie Republika Islamska wspiera szyickich rebeliantów. Starsze pokolenie z pewnością doskonale pamięta incydent w berlińskiej restauracji Mykonos, gdzie na polecenie rządu zastrzelono irańskich działaczy. Przykłady można mnożyć. To Iran wysyłał do Gambii broń, którą skonfiskowano u wybrzeży Nigerii. W ostatnich latach obserwujemy zaś wyniszczającą wojnę domową w Syrii, przez którą cztery miliony Syryjczyków uciekło z kraju. Współodpowiedzialność za ten konflikt ponosi Iran, który wspiera swojego sprzymierzeńca Baszara al-Asada. Ma w tym interes. Chodzi o to, by za wszelką cenę utrzymać trasę przerzutową do Syrii i zmusić do odwrotu sunnickich ekstremistów, którzy rozwścieczeni pomocą, jaką Iran udzielił w Iraku szyickim oddziałom, rozszerzyli front walki z Republiką Islamską. Oto właśnie pokłosie „eksportu” rewolucji według Chomejniego. W praktyce sprowadza się do tego, że Iran sięgał – i wciąż sięga – po każde narzędzie, by zwiększyć

swoje wpływy w świecie, nie licząc się z ceną, jaką zapłacą za to inne państwa.

Wydaje mi się, że światu, a zwłaszcza muzułmanom, powoli zaczynają się otwierać oczy. Wreszcie dostrzegają, że Iran wymachuje sztandarem solidarności z Palestyną głównie po to, by promować własne interesy. Kiedy palestyński przywódca Mahmud Abbas zaapelował do Zgromadzenia Ogólnego o przyjęcie Palestyny do ONZ, ajatollah Chamenei obwołał go zdrajcą. Najwyższy przywódca Iranu uważał, że w ten sposób Autonomia Palestyńska uznaje istnienie Państwa Izraelskiego. Palestyna to oczko w głowie Iranu. Powołuje się na nią, strojąc się w piórka obrońcy islamu na świecie. A co z masakrą muzułmanów w Czeczenii albo brutalnymi morderstwami ujgurskich muzułmanów w Chinach? Iran nawet się nie zająknął w tej sprawie, ponieważ Rosja i Chiny to jego sprawdzeni sojusznicy, wspierający ambicje nuklearne Republiki Islamskiej jako element własnej partii szachów prowadzonej ze Stanami Zjednoczonymi.

Te podwójne standardy i hipokryzja świadczą o tym, jak wielkie są ambicje polityczne tego kraju, i ukazują, że prezydent Rohani stanął przed ogromnie trudnym zadaniem. Polityka zagraniczna oraz *modus operandi* Iranu w świecie opierają się zazwyczaj na negatywnym działaniu: zbrojeniu swoich delegatów, wspieraniu bojówek oraz inwestycjach w „miękką siłę” szyitów. Odejście od tego wymagałoby od reżimu zwrotu o 180 stopni, całkowitej zmiany definicji interesu państwa. I ta zmiana musi się dokonać. Na dłuższą metę państwo, które prowadzi ciemne interesy i przez to traci pozycję w świecie, nie zapewni bezpieczeństwa swoim obywatelom. Za prezydentury Ahmadineżada stosunki z Iranem zerwały Kanada i Wielka Brytania, a sunnickie państwa regionu – zwłaszcza Bahrajn, Zjednoczone Emiraty Arabskie, Kuwejt i Arabia Saudyjska – odnosiły się do Iranu z dużym niepokojem i wrogością. Co więcej, rywalizacja Arabii

Saudyjskiej z Iranem stopniowo doprowadza do erozji Lewantu: w Iraku i Syrii wybuchają niejako zastępcze konflikty, a groźne sekciarstwo wywołuje chaos i nienawiść religijną tam, gdzie jeszcze pięć lat temu panowały harmonia i pokojowe współistnienie. Weszliśmy w bodaj najniebezpieczniejszy, najbardziej niepokojący okres w najnowszej historii Bliskiego Wschodu.

Wpisując się w układ, który rozkwita, wprowadzając chaos w regionie, Rohani będzie musiał postanowić, jak daleko pragnie się posunąć. Gdyby autentycznie chciał wykonać gest dobrej woli, powinien zaprzestać wspierania Asada w Syrii. Iran jednak zdecydowałby się na ten krok dopiero, gdyby naprawdę musiał. Niestety, mimo zniszczeń w Syrii, zrównania z ziemią Aleppo oraz masowej emigracji Syryjczyków wciąż jeszcze nie doszliśmy do tego punktu.

Wydawać by się mogło, że łatwiej jest Rohaniemu przeprowadzić reformy wewnątrz kraju. To, jak irański rząd traktuje własnych obywateli, jest jego wewnętrzną sprawą. Nie ma żadnego związku z bojówkami grasującymi w Iraku ani sukcesem lub klęską negocjacji w sprawie programu nuklearnego. Od 2009 roku w Iranie nastąpił wyraźny wzrost przypadków pogwałcenia praw człowieka. Stany Zjednoczone skierowały nawet „wysłannika specjalnego”, którego raporty przynoszą szczegółowy opis sytuacji w kraju oraz przedstawiają skalę problemu.

Jeśli chodzi o samo prawodawstwo – cały szkielet prawny, dzięki któremu Republika Islamska utrwala dyskryminację płciową oraz brutalne kary, takie jak biczowanie czy kamienowanie – Rohani nie ma wielkiego pola manewru. Zmianę kodeksu może przeprowadzić wyłącznie parlament, a w nim zasiadają ludzie starannie dobrani przez Radę Strażników. Dlatego – choć krajem rządzi pragmatyk – Iran pozostaje państwem, gdzie mężczyzna może poślubić nawet cztery kobiety; gdzie zdobycie przez

kobietę rozwodu graniczy z cudem; gdzie mężatka nie może podróżować bez pisemnej zgody męża. Lista paragrafów niegodnych nowoczesnego społeczeństwa ciągnie się w nieskończoność, ale trzeba spojrzeć prawdzie w oczy: Hasan Rohani nie ma najmniejszych szans, by cokolwiek zmienić w tej sferze.

Sukces za to mógłby odnieść, gdyby zajął się naruszaniem praw człowieka tam, gdzie wynika to nie z przepisów prawa, ale ze stosunku władzy do obywatela. Mam tu na myśli chociażby nocne naloty na mieszkania krytyków władzy; nieoficjalne areszty prowadzone przez strażników rewolucji; posługiwanie się torturami, aby wydobyć zeznania. Gdyby Rohani wykazał determinację, miałby tu coś do powiedzenia i mógłby ukrócić te praktyki.

Rohani i jego sojusznicy w rządzie tłumaczą, że najpierw muszą dobić z Zachodem targu w kwestii programu nuklearnego. Na fali tego sukcesu łatwiej będzie poruszyć bardziej drażliwe kwestie, zwłaszcza sprawę respektowania praw człowieka. Większość działaczy opozycyjnych i zwolenników demokratyzacji z różnych środowisk sceptycznie podchodzi do tych deklaracji. W Iranie zawsze wygląda to tak samo: najpierw trzeba osiągnąć spektakularny sukces polityczny, a dopiero potem reżim może łaskawie pomyśleć o ograniczeniu własnych przywilejów i zatroszczyć się o obywateli.

– Najpierw musimy zyskać większość parlamentarną – tłumaczyli reformiści za czasów Mohammada Chatamiego.

– Najpierw musimy pozbyć się Ahmadineżada – argumentowali podczas jego koszmarnej, ośmioletniej kadencji.

– Najpierw musimy naprawić sytuację gospodarczą – usprawiedliwiają się teraz.

A życie płynie dalej. Lata uciekają, podczas gdy Irańczycy wciąż są rozstrzeliwani, więzieni i torturowani; tysiące dziennikarzy, naukowców i działaczy zmuszono do emigracji.

Tymi samymi prawami rządzą się losy tych, którzy zostali w kraju. Właśnie dlatego zarówno ja, jak i większość myślicieli oraz działaczy dążących do demokratyzacji Iranu, odeszliśmy od tej postawy: „Najpierw to, a dopiero wtedy to”. Albo ster państwa przejmą politycy i reformatorzy, którzy rozpoczną bolesną, mozolną naprawę kraju od wewnątrz – krok po kroku, cegła po cegle, paragraf po paragrafie – albo dalej będziemy tak człapać, patrząc na upadającą gospodarkę, drzemiąc przy tureckich operach mydlanych, trwoniąc gigantyczny potencjał Iranu, aż z bliskowschodniego supermocarstwa staniemy się państwem drugiej kategorii, od którego świat się odwraca, a sąsiedzi traktują jak zarazę.

Jeśli Rohani naprawdę chce coś zmienić i odnieść realne zwycięstwo nad twardogłowymi, musi oprzeć się na niezadowolonych masach. To jedyna droga. Jeśli wyrazi zgodę na demonstracje, jeśli da większą wolność prasie, jeśli umożliwi publiczne debaty oraz swobodną wymianę myśli intelektualistów, dziennikarzy oraz lokalnych liderów, uwolni falę społecznego poparcia dla zmian. Ona zaś wstrząśnie systemem tak mocno, że zmusi tradycjonalistów, konserwatystów i fundamentalistów – z najwyższym przywódcą na czele – do odwrotu.

Irańskie negocjacje nuklearne wlokły się w nieskończoność, to pojawiając się, to znikając z czołówek gazet. Wydawało się, że strony nigdy nie osiągną porozumienia. Tymczasem pod koniec 2014 roku mój stosunek do „niezbywalnego” prawa Iranu do atomu – jak to określał reżim – uległ

zmianie. Bardzo długo byłam święcie przekonana, że w świetle prawa międzynarodowego Iran faktycznie mógł uruchomić program nuklearny, a rząd – choć w większości kwestii ekstremistyczny i niedemokratyczny – słusznie domagał się od społeczności międzynarodowej tego przywileju. Wielu znanych mi Irańczyków, zwłaszcza tych, którzy mieszkali w kraju i na własnej skórze odczuwali skutki zachodnich sankcji, niegdyś myślało tak samo.

Być może była to kwestia zwykłej dumy narodowej, a u niektórych nacjonalizmu. Irańczycy doskonale zdawali sobie sprawę, że z dnia na dzień biednieją, ponieważ rząd nie chciał się ugiąć w kwestii wzbogacania uranu. Trudno jednak było wyrobić sobie własną opinię. Od 2007 roku, kiedy nuklearne ambicje Iranu coraz bardziej psuły jego relacje ze światem, rząd wprowadził cenzurę w mediach. Od tej pory można było przedstawiać wyłącznie jego oficjalne komunikaty na ten temat. Skończyły się komentarze, dyskusje i chłodne analizy ekspertów w obiektywny sposób przedstawiające zalety oraz wady programu nuklearnego, wyjaśniające, jak wpłynie on na nasz narodowy interes. Ten knebel uniemożliwiał mediom wywiązywanie się ze swojej misji, która polegała na dostarczaniu opinii publicznej informacji w kwestiach o kluczowym znaczeniu dla państwa. W miarę jak nasz standard życia się obniżał, a skutki sankcji stały się odczuwalne na każdym kroku, zaczęłam się nad tym zastanawiać i uświadomiłam sobie, jak mało wiem. Czy program nuklearny jest wart tylu wyrzeczeń? Nawet jeśli stanowi nasze niezbywalne prawo?

W 2013 roku, w ramach rozmów przy okrągłym stole zorganizowanych w Belfaście przez Inicjatywę Noblistek, poznałam niezwykłą kobietę, Rebeccę Johnson, powszechnie szanowaną ekspertkę od rozbrojenia nuklearnego i traktatów o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej. Kilkakrotnie odwiedziła Iran i w celny, wyważony sposób zwróciła uwagę

na zagrożenie, jakie energia jądrowa stanowi dla środowiska naturalnego. Dlatego – tłumaczyła – należałoby jak najszybciej zmienić nasz sposób myślenia; przestawić się na poszukiwanie i wykorzystywanie odnawialnych źródeł energii, które nie stanowią dla obywateli takiego zagrożenia jak energia jądrowa. Zaproponowałam, by spotkała się ze mną i moimi współpracownikami. Zorganizowałam warsztaty, na których poznała liczną grupę irańskich obrońców praw człowieka oraz działaczy społecznych. Rebecca z kolei zaprosiła swoich współpracowników – wielu z nich było fizykami jądrowymi. Obnażyli oni kłamliwe argumenty, którymi posługiwała się Republika Islamska, tłumacząc, dlaczego z takim uporem zabiega o program nuklearny. Dowiedzieliśmy się między innymi, że energia jądrowa nie ma nic wspólnego z badaniami nad radioterapią wykorzystywaną w leczeniu raka; poznaliśmy też zagrożenia związane z toksycznymi odpadami powstającymi podczas wzbogacania uranu.

Rozmowy z Rebeccą oraz jej kolegami, a także długie godziny spędzone na zgłębianiu tej, bądź co bądź, dość specjalistycznej wiedzy sprawiły, że całkowicie zmieniłam zdanie na temat energii jądrowej i irańskiego programu nuklearnego. Wreszcie dotarło do mnie, że energia nuklearna – nawet wykorzystywana w celach pokojowych – stanowi gigantyczne zagrożenie. Niemcy już się od niej odwracają i do 2022 roku zamkną wszystkie elektrownie nuklearne. Stany Zjednoczone z kolei nie będą stawiać nowych. Awaria reaktora w japońskiej Fukushimie w 2011 roku wszystkim nam uświadomiła, jak niebezpieczna może być energia jądrowa. Nawet gdy sprawuje nad nią nadzór sumienne i odpowiedzialne państwo, a Iran niestety się do takich nie zalicza.

Jeśli Republika Islamska tak uparcie zabiega o dostęp do uranu, żeby skonstruować bombę, zachowuje się nieodpowiedzialnie i lekkomyślnie. Jeśli zaś – jak twierdzi – chodzi wyłącznie o paliwo do reaktora jądrowego

w Buszehr, nie działa w interesie Iranu. W naszym kraju nie brakuje słońca. Państwo mogłoby szybko przestawić się na energetykę słoneczną i skutecznie wykorzystywać ogniwa fotowoltaiczne. Nie zapominajmy też, że Iran ma na swoim terytorium trzecie na świecie złoża ropy naftowej i drugie gazu ziemnego. Do tego dodajmy jeszcze coś: pod Iranem przebiega jeden z największych na świecie uskok tektoniczny. Powoduje on regularne wstrząsy, a co kilka lat duże trzęsienie ziemi. Jeśli połączymy wszystkie te czynniki, staje się oczywiste, że Iran nie musi – a wręcz nie powinien – narażać życia obywateli, zabiegając o energię nuklearną. Po prostu nie wolno nam tego robić.

Diametralna zmiana poglądów kazała mi rozpocząć kampanię zmierzającą do tego, by kwestia programu jądrowego i energii nuklearnej znalazła się w centrum debaty publicznej w Iranie. Irańczycy musieli poznać całą prawdę, dowiedzieć się, w imię czego przez tyle lat znosili sankcje i związaną z nimi biedę. Kampania stopniowo nabierała rozpędu. Z czasem Irańczycy coraz śmielej zabierali głos i organizowali przestrzeń do debaty o tym, co najlepsze dla kraju. W 2014 roku na Uniwersytecie Teherańskim odbyła się dyskusja panelowa, w której obok siebie usiedli politolog Sadegh Zibakalam i Ahmad Szirzad, były parlamentarzysta, obecnie wykładowca fizyki. Obaj publicznie potwierdzili, że program nuklearny zaszkodził Iranowi i wyniszczył go bardziej niż ośmioletnia krwawa wojna z Irakiem.

W sierpniu 2014 roku młoda Iranka Marjam Mirzachani zdobyła najwyższe wyróżnienie w środowisku matematyków – Medal Fieldsa – często nazywany matematycznym Noblem. Irańczycy byli uszczęśliwieni, tylko

o tym rozmawiali w mediach społecznościowych, gratulując Marjam i dzieląc się dumą z jej sukcesu. Iranki, które pragnęły studiować w kraju, od czasów Ahmadineżada właściwie mogły pożegnać się z marzeniami. Wprowadził on na uczelniach limit przyjęć dla kobiet, w praktyce zatrzaskując przed nimi wrota wydziałów fizyki, chemii i innych kierunków. Te, które mimo wszystko chciały poświęcić się swoim ukochanym dziedzinom, miały niezwykle ograniczony wybór. Świat ambitnych kobiet bardzo się zawęził. Zwłaszcza że coraz trudniej było o wizę studencką. Ze względu na sankcje wiele uczelni z angielskim jako drugim językiem wykładowym przestało organizować egzaminy w Iranie. Spadek wartości riala zaś sprawiał, że nawet studia w tańszych krajach, takich jak Malezja, stawały się nieosiągalne.

Wysłałam Marjam oficjalne gratulacje, by podkreślić rangę jej sukcesu, a także by przypomnieć Irankom w kraju, że mimo wszystko warto walczyć o wykształcenie. W końcu Marjam zrobiła licencjat na Uniwersytecie Technologicznym im. Szarifa. Dopiero potem kontynuowała studia w Stanach Zjednoczonych. Swój list zakończyłam słowami: „Kiedy wrócisz do Teheranu, zapytaj, dlaczego młody fizyk siedzi w więzieniu”.

Zdanie to znalazło oddźwięk w irańskich mediach. Krótko i celnie tłumaczyło, dlaczego w Iranie pojawił się taki niedobór wykształconych, utalentowanych młodych ludzi. W 2011 roku skazano na więzienie Omida Kokabiego, młodego irańskiego fizyka atomowego. Przed aresztowaniem Kokabi prowadził badania do pracy doktorskiej na Uniwersytecie Stanowym w Teksasie. Kiedy przyjechał odwiedzić w Iranie rodzinę, został zatrzymany i skazany na dziesięć lat więzienia za rzekomą „współpracę z wrogimi państwami”. W 2013 roku Kokabi napisał z więzienia Ewin list, w którym wyjaśniał, że aresztowano go po tym, jak odmówił pracy przy irańskim projekcie wojskowym. Po jego publikacji 31 laureatów Nagrody

Nobla w dziedzinie fizyki podpisało się pod pismem do irańskiego rządu z prośbą o uwolnienie młodego naukowca.

Losy Kokabiego i Marjam najlepiej ukazują, dlaczego tylu wybitnych irańskich studentów decyduje się na emigrację. Za granicą mogą prowadzić badania w najlepszych, najbardziej prestiżowych ośrodkach naukowych bez obawy, że podpadną władzy, która albo patrzy na naukowców podejrzliwie, albo na siłę rekrutuje do służby państwu. Niezwykłe osiągnięcie Marjam świadczy, że poza krajem młodzi wspinają się w swojej dziedzinie na prawdziwe wyżyny.

Tymczasem – mimo wygranej Rohaniego – w Iranie sytuacja kobiet pogarszała się z dnia na dzień. We wrześniu 2014 roku szef teherańskich służb porządkowych wprowadził zakaz zatrudniania kobiet w miejskich kawiarniach i restauracjach, pozbawiając w ten sposób pracy tysiące kobiet, w większości studentek, które w ten sposób dorabiały. Instrumentalistki coraz częściej skarżyły się, że władze kolejnych miast zabraniały im występów na scenie. W tym samym czasie burmistrz Teheranu, Mohammad Bagher Ghalibaf, zarządził, że urzędniczki nie mogą pracować razem z mężczyznami. Dodał też, że spędzając całe dnie poza domem, w towarzystwie mężczyzn, kobiety podważają wartości rodzinne. Młodych szczególnie zabolała decyzja ratusza, który zakazał kobietom oglądania finału piłkarskiego Pucharu Świata w kinach i kawiarniach, w ten sposób niszcząc wieloletnią tradycję. Wszystkie te posunięcia stanowiły element podstępnego planu zmierzającego do wprowadzenia segregacji płciowej. Rozłożony na etapy, stopniowo obejmujący kolejne sfery życia docelowo miał wyrugować kobiety z życia publicznego, choć mimo dotychczasowych ograniczeń starały się jak najaktywniej w nim uczestniczyć.

Owszem, rząd Rohaniego próbował interweniować. Zwracał uwagę, że takie ograniczenia w miejscu pracy kłócą się ze zobowiązaniami, jakie

wziął na siebie Iran, wstępując do Międzynarodowej Organizacji Pracy. To jednak nie zmieniało faktu, że konserwatyści zachowali olbrzymie wpływy, które wykorzystywali do konsekwentnej zmiany Iranu, by pasował on do ich patriarchalnej wizji świata i społeczeństwa. To wystarczyło, aby złamać wątły opór Rohaniego.

Wszystkie te działania stanowiły ponure dziedzictwo ośmioletnich rządów Ahmadineżada i systematycznych prześladowań działaczy społecznych w kraju. Nie do wiary, że jeden człowiek zdołał skutecznie zdławić irańskie ruchy kobiece i, co gorsza, na nowo oswoił rodaków z myślą, że kobiety stanowią łatwy cel ataków zarówno ze strony państwa, jak i zwykłych Irańczyków. Jesienią 2014 roku przez miasto Isfahan przetoczyła się wezbrana fala ataków na kobiety. Mężczyźni z motocykli - oblewali kwasem siarkowym kobiety idące ulicą albo czekające w samochodach na zmianę światła. Kiedy liczba poszkodowanych sięgnęła 15, wśród mieszkanek Isfahanu wybuchła panika. Mimo to policja nie zdołała ustalić ani zatrzymać sprawców. Tymczasem na Facebooku kobiety otwarcie pisały o atakach. Mówiły, że zostały namierzone przez bojowników za swoje „nieskromne” ubranie. Nie wiem, czy sprawcy działali z własnej inicjatywy, czy na czyjeś polecenie. Jedno nie ulega wątpliwości: klimat polityczny w kraju sprzyjał przemocy wobec kobiet. Twardogłowi parlamentarzyści starali się przepchnąć ustawę, która chroniłaby bojówkarzy starających się „egzekwować” prawo religijne.

Jeśli chodzi o najbrutalniejsze przejawy agresji wobec kobiet, których świadkami jesteśmy na Bliskim Wschodzie i w państwach islamskich, sytuacja w Iranie – mówiąc ogólnie i biorąc pod uwagę przeciętny poziom społeczeństwa – nie wygląda najgorzej. W krajach takich jak Pakistan ataki z wykorzystaniem żrących substancji są na porządku dziennym. W wielu społeczeństwach zabójstwa honorowe, wymuszone małżeństwa i przemoc

domowa stanowią smutną codzienność. W Iranie też występują wszystkie te zjawiska, ale na znacznie mniejszą skalę niż w sąsiednich państwach. Iran to jednak nie Afganistan ani Egipt czy Arabia Saudyjska. 99 procent dziewcząt i młodych kobiet potrafi czytać. Kobiety stanowią 60 procent studentek irańskich uczelni. Wystarczy też w godzinach szczytu przejść się ulicami dowolnego irańskiego miasta: zobaczymy tłumy kobiet razem z mężczyznami wychodzące z biur, wsiadające do autobusów i metra. Kobiety są aktywnymi, zaangażowanymi uczestniczkami życia publicznego, coraz częściej też stają się głównymi żywicielkami rodziny.

Opisuję to wszystko, by pokazać, jak bardzo zmieniło się irańskie społeczeństwo. Twardogłowi stanowią dziś mniejszość. Cały dramat Iranu polega na tym, że niestety władzę w państwie sprawują przedstawiciele skrajnej mniejszości. I jak wszyscy dyktatorzy, kurczowo, za wszelką cenę trzymają się władzy. Wybujałe ambicje irańskiego rządu coraz częściej budzą gwałtowny opór w krajach arabskich od Egiptu po Irak. Coraz bardziej martwię się, jakie zagrożenia niesie to dla mojej ojczyzny. Pozostaje mi tylko wierzyć i gorąco modlić się, by obecni przywódcy Republiki Islamskiej nie zmienili Iranu nieodwracalnie. Wiem, że pewnego dnia wrócę do kraju. Nie wiem jednak, czy to będzie ten sam kraj, który opuściłam.

Tej samej nocy, gdy wysłałam list gratulacyjny do Marjam Mirzachani, naszej genialnej matematyczki, na moją komórkę przyszedł SMS z nieznanego numeru.

Chcesz, żebyśmy potraktowali ją tak samo jak ciebie?
Jeśli sama się nie zamkniesz, my zrobimy to za ciebie.

W grudniu 2014 roku moja współpracownica Narges Mohammadi (która regularnie narażała się władzy i odsiedziała wiele wyroków) poleciała do Zahedanu, miasta na wschodnim pograniczu Iranu, by w imieniu Centrum Obrony Praw Obywatelskich wręczyć nagrodę Molawiemu Abdulowi-Hamidowi, sunnicie, który przewodniczył piątkowym modlitwom. Irańscy sunnici darzyli go podobnym uwielbieniem jak nastolatki swoją ukochaną gwiazdę rocka. W Iranie większością są szyici. Sunnici, przeważnie Beludżowie pochodzący z Beludżystanu, prowincji na południowo-wschodnich krańcach kraju, stanowią mniej więcej dziesięć procent populacji i są dyskryminowani. Traktuje się ich jak obywateli drugiej kategorii, nigdy też nie piastują kierowniczych stanowisk w rządzie, wojsku ani żadnej instytucji państwowej. W ośmiomilionowym Teheranie ratusz nie wyraził zgody na budowę żadnego sunnickiego meczetu.

Szczególnie teraz, kiedy na Bliskim Wschodzie rośnie napięcie między odłamami islamu, Iran powinien podwoić wysiłki na rzecz integracji sunnitów. Tylko tak zdoła uniknąć eskalacji przemocy i wybuchu krwawych konfliktów na tle religijnym, które dziś niszczą Irak i Syrię, a zagrażają też innym państwom Zatoki Perskiej. Molawi Abdul-Hamid mógłby być wymarzonym sprzymierzeńcem, gdyby tylko państwo go doceniło.

Kilka miesięcy wcześniej sunnickie radykalne ugrupowanie Dżaisz al-Adl zaatakowało posterunek na granicy irańsko-pakistańskiej, biorąc do niewoli pięciu irańskich pograniczników. Udało się ich uwolnić dopiero po interwencji Abdula-Hamida. Wysyłał on emisariuszy do porywaczy i zaklinał: „Błagam, ze względu na mnie, uwolnijcie irańskich zakładników”, a ci usłuchali.

To on nieustannie apeluje do Beludżów, by nie unosili się gniewem, uspokoili się. Stara się trzymać ich w ryzach, nie dopuścić do wybuchu. Taki człowiek to skarb, wzorowy obywatel. A jednak Republika Islamska go nienawidzi. Aresztowała jego synów, zabiła jego krewnych, zakazała mu podróży. Mimo to Abdul-Hamid nadal próbuje uciszyć sekciarskie zapędy, rozładować napięcia etnicznie. Nie rezygnuje z wysiłków, chociaż – tuż po tym, jak wynegocjował uwolnienie irańskich pograniczników – kilku parlamentarzystów publicznie zarzuciło mu, jakoby ponosił odpowiedzialność za cały incydent. Skoro separatyści go posłuchali, najwyraźniej to on stał za tym atakiem, brzmiało ich tłumaczenie.

O nagrodzie, którą Centrum Obrony Praw Obywatelskich przyznało Abdulowi-Hamidowi, zrobiło się dość głośno, co mnie bardzo cieszy. Zwłaszcza w kontekście tego, co się dzieje na Bliskim Wschodzie. Czasy są burzliwe. Tym bardziej więc zależy mi, by połączyć Irańczyków z różnych środowisk i odłamów religijnych. Wszystkim im chcę powiedzieć: „Jesteśmy z wami. Stanowimy całość. My wszyscy jesteśmy Irańczykami. - Jesteśmy razem”. Niestety, w irańskim społeczeństwie ta postawa wciąż się nie ukształtowała. Owszem, wielu znanych intelektualistów, pisarzy i ekspertów myśli w ten sposób, ma bardzo postępowe podejście do kwestii wyznania czy tożsamości etnicznej. Ciągle jednak nie nauczyliśmy się o tym rozmawiać i zachęcać do takiej postawy. Jeśli środowisko obrońców praw człowieka wskaże drogę, myślę, że zdołamy ocalić takie rozumienie irańskiej tożsamości. To zaś bardzo się nam przyda w czasach, gdy Bliski Wschód zmaga się z głębokimi podziałami na tle religijnym.

Następnego dnia po powrocie z Zahedanu, gdzie Narges wręczyła nagrodę Abdulowi-Hamidowi, wezwano ją na przesłuchanie. Agenci złośliwie przekręcali jego nazwisko, mówiąc o nim „Molawi Abdel-

Chabis”, co oznaczało „nikczemny Molawi Abdel”. Zażądali, by wyjaśniła, dlaczego przyznaliśmy nagrodę duchownemu.

– Od kiedy przyznanie nagrody jest niezgodne z prawem? – odpowiedziała Narges pytaniem. – Zwłaszcza teraz, w czasach takich napięć, czy naprawdę źle postępujemy, próbując zbliżyć ludzi?

Niewiarygodne. W regionie wybuchają kolejne konflikty na tle różnic religijnych, tymczasem państwo irańskie nie robi nic na rzecz integracji sunnitów; nie ma ambicji, by stać się dla innych krajów arabskim wzorem; pokazać, że Iran potrafił zdobyć lojalność zarówno szyitów, jak i sunnitów. Niestety, podobnie jak w innych kwestiach, Republika Islamska woli patrzeć o jeden krok naprzód, zamiast o dziesięć.

20.
Podejrzany sąsiad

Kiedy drzwi sąsiedniego biura otworzył korpulentny Irańczyk i zawołał do mnie po persku: „Dzień dobry, pani Ebadi!”, w pierwszym odruchu pomyślałam, że będę musiała się przeprowadzić. A przecież wydało mi się, że nie mogłam wybrać trudniej dostępnej siedziby dla swojej organizacji pozarządowej CSHR. Biuro mieściło się w nowoczesnym, przeszklonym wieżowcu w londyńskiej dzielnicy Hammersmith, gdzie znajdowały się też gabinety dyrekcji Harrodsa. Do kwestii bezpieczeństwa podchodzono tam bardzo poważnie. Każdy, kto wchodził do budynku, musiał pokazać identyfikator. Kawiarenkę na dole prowadził zarządca budynku i wpuszczał jedynie lokatorów oraz ich gości. Lokale były tam tak drogie, że zamiast szarpnąć się na prawdziwe biuro, wynajęłam pokoik wielkości perskiego kobierca. Mieściły się tam tylko dwa biureczka, ustawione tak blisko, że kiedy siedziały dwie osoby, ciągle szturchały się łokciami.

Unijni szefowie ochrony raz za razem proponowali, żebym zatrudniła ochroniarza, ale ja nie chciałam tego robić. Zbyt świeże były w pamięci irańskie lata, kiedy państwo z urzędu przydzielało mi „ochronę”. Rzekomo dla mojego bezpieczeństwa, a tak naprawdę, żeby nieustannie mnie obserwować. Dwóch ochroniarzy chodziło za mną jak cień. Nie odstępowali mnie na krok, słuchali moich rozmów, przyglądali się rozmówcom. Kiedy wybrałam się z Dżawadem do restauracji, siadali przy sąsiednim stoliku. Wiedziałam, że w Europie ochroniarz rzeczywiście będzie się troszczył o moje bezpieczeństwo, ale mimo to nieswojo się czułam na myśl, że ktoś stale by mi towarzyszył. Nie mogłam też znieść myśli, że ktoś musiałby spędzać cały dzień na nogach, sterząc jak kołek i pilnując mnie.

Zdawałam sobie jednak sprawę, że muszę zachowywać daleko posuniętą ostrożność. Irańscy szpiedzy bardzo aktywnie działali w Europie. Laptopy wielu irańskich dysydentów i dziennikarzy przebywających na emigracji padały łupem dziwnych złodziei, którzy nie kradli niczego poza tym. Londyńskie uniwersytety zaś stanowiły miejsce, gdzie młodzi szpiedzy Republiki Islamskiej zdobywali ostatnie szlify. Ostatecznie postanowiłam więc, że zamiast zafundować sobie ochroniarza, wolę mieszkać i pracować w dobrze chronionych budynkach. Ponieważ dużo podróżowałam, ciasne biuro nie stanowiło dla mnie problemu. Uznałam, że szklany wieżowiec w centrum Londynu, gdzie spotykało się niemal wyłącznie Brytyjczyków w obowiązkowych garniturach, to idealne miejsce na siedzibę CSHR.

Aż do dnia, gdy na korytarzu pojawił się tajemniczy Irańczyk, przedstawiając się jako nowy sąsiad. Moja asystentka Leila i ja byłyśmy zdumione i powitałyśmy go z rezerwą.

– Pamiętam, że poznaliśmy się w Teheranie. Zdaje się, że w kancelarii pani Karubi.

Mężczyzna był po czterdziestce. Miał czerwone policzki, gęste, czarne włosy i łukowate brwi.

– Był pan jej klientem?

– Nie, nie... Wpadłem do niej porozmawiać o pisarzu, naszym wspólnym znajomym.

– Przykro mi, ale zupełnie sobie nie przypominam tego spotkania.

Wyjaśnił, że pracuje w branży petrochemicznej. Wynajął biuro trzy miesiące temu, ale dopiero dziś znalazł czas, żeby się do niego wprowadzić. Wręczył mi wizytówkę. Spytałam, jakim cudem mimo międzynarodowych sankcji bankowych prowadzi interesy w Europie.

– Wiemy, jak je obejść – odparł ze śmiechem. – Pracujemy z Rosjanami.

Spławiłam go grzecznie, mówiąc, że muszę pilnie zadzwonić, po czym weszłam z Leilą do naszej klitki. Na wizytówce widniało logo firmy. Jedna połowa była zapisana cyrylicą. Znajdował się też na niej adres w Rosji. Nabazgrałam na niej „podejrzany sąsiad”, wyjęłam notes i wzięłam się do pracy.

Kilka minut później rozległo się pukanie do drzwi.

– Pozwolą panie, że zajmę im chwilę? – spytał.

Ścisnęłyśmy się, żeby zrobić mu miejsce. Chwila potrwała półtorej godziny. Zaczął od: „Co pani porabia w Londynie?”, po czym zasypał mnie niezliczonymi pytaniami. Interesowało go, jak wyglądają moje obecne kontakty z Iranem, skąd dostaję fundusze, z kim pracuję. Przypominało mi to jedno z niezliczonych przesłuchań, którym poddawano mnie w Teheranie. Mają tupet, myślałam, że nawet tu, w sercu Londynu, imają się tych samych sztuczek: wynajmują sąsiednie biuro zupełnie jak w Teheranie.

Rozmawialiśmy na różne tematy, ale wyraźnie podkreślałam, że choć irański rząd traktuje mnie podejrzliwie, jak polityczną rywalkę, władza ani polityka kompletnie mnie nie interesują. Wiedziałam, że reżim w to nie wierzył. A mój rozmówca prawdopodobnie też nie.

Jednego wciąż nie pojmuję. Naprawdę uważają, że jestem aż tak głupia, żeby marzyć o urzędzie prezydenta Iranu? I to w tak burzliwych czasach, kiedy na Bliskim Wschodzie wybuchają kolejne wojny, a w Iranie cele pękają w szwach od więźniów politycznych i opozycjonistów wszelkiej maści? Czasem naprawdę się zastanawiam, co siedzi im w głowach. A może sami tak uzależnili się od władzy i przywilejów, że myślą, iż każdy tego pożąda. Czemu tak uparcie wypytują, skąd biorę pieniądze? Przecież

wiedzą – potwierdzają to zabrane przez nich papiery – że nigdy nie wzięłam łapówki. Świadczy też o tym standard mojego życia. Gdybym leżała na forsie, wynajmowałabym coś większego zamiast tej klitki. Nie mieszkałabym też w skromnym mieszkaniu. Nie poruszała się po Londynie czerwonymi piętrusami.

Bez trudu mogłabym spławić natręta, ale cierpliwie odpowiadałam na każde pytanie. Chciałam po raz kolejny dowieść szpiegom Republiki Islamskiej – jeśli był jednym z nich, a wiele na to wskazywało – że nie mam nic do ukrycia. Że jedynie występuję w obronie praw człowieka; że działam zgodnie z prawem; że nigdy nie naruszyłam irańskiego prawa – ani teraz, ani w przeszłości. Wyjaśniłam, na czym polega działalność CSHR. Podkreśliłam, że obecnie całą uwagę skupiamy na tym, czy i jak da się pogodzić islam ze sprawiedliwymi, równymi prawami dla kobiet, zwłaszcza w dziedzinie prawa rodzinnego.

Rozmówca przeskakiwał z tematu na temat, szybko przechodząc do kwestii gospodarczych. W pewnym momencie wspomniał o miliarderze Babaku Zandżanim, który poszedł do więzienia za korupcję.

– Zandżani nie zrobił nic złego. Mnie również zaproponowano, żebym handlował ropą, ale odmówiłem – mówił. – A mogłem stać się bogaty jak on.

Milczałam, choć miałam na końcu języka, że Babak Zandżani był obrzydliwym złodziejem.

– Niestety, nie będziemy długo sąsiadami – odezwałam się. – W styczniu się wyprowadzamy.

– Tak? Dokąd?

– Przenosimy się do siedziby ONZ w Nowym Jorku. Użyczają czasem lokale organizacjom pozarządowym i zaproponowali nam biuro.

Nieco mijałam się z prawdą, ale chciałam mu pokazać, że mamy możnych opiekunów.

A niech spróbuje tam mnie dopaść, pomyślałam z mściwą satysfakcją.

Wreszcie skończył, podziękował i poszedł sobie. Spodziewałam się, że jeszcze kiedyś go zobaczę. A w każdym razie jego sekretarkę czy innych pracowników. Szkoda, żeby to kosztowne biuro miało stać puste. Kiedy opowiadałam znajomym i współpracownikom o podejrzanym sąsiedzie, wszyscy zgadzali się, że musiał być agentem wywiadu.

– Przysłali go albo żeby cię zabić, albo żeby z tobą porozmawiać. Pierwsze jest mało prawdopodobne. Nie zawracaliby sobie głowy wynajmowaniem biura – skomentowała sucho jedna moja przyjaciółka. – Ale najwyraźniej wciąż się ciebie boją, skoro tak bacznie cię obserwują.

Czasem patrzę na jego wizytówkę, którą wciąż trzymam w szufladzie. Szpiedzy Republiki Islamskiej posiadają niezliczone tożsamości i paszporty. Nawet owiani złą sławą politycy, sędziowie, którzy mają na sumieniu najgorsze zbrodnie, urzędnicy pracujący nad programem nuklearnym, którym Unia Europejska zakazała pobytu na swoim terytorium – wszyscy oni mają drugie paszporty: autentyczne dokumenty, ale ze zmienioną tożsamością. Dzięki nim mogą podróżować mimo sankcji. Nazwisko się nie liczy. Biorą trzeci albo czwarty paszport i lecą do Londynu czy Paryża, śmiejąc się nam wszystkim w twarz.

Mijają miesiące. Sąsiednie biuro wciąż świeci pustkami. W środku nigdy nie pali się światło, a małą szybkę w drzwiach zasłania karton. Myślę o sprzęcie podsłuchowym, który z pewnością znajduje się w środku, i zastanawiam się, czy pokrył się już kurzem.

Kiedy jestem w Londynie, wieczorami zwykle wychodzę na swój nieduży balkon i patrzę na Tamizę i miasto rozciągające się u moich stóp. Przywykłam, że widzę przed sobą Elburs. W pamięci wciąż mam wyrytą odległą linię wzgórz, ale powtarzam sobie, że nie jestem pierwszą Iranką, która straciła ojczyznę, bo odważyła się powiedzieć władzy prawdę. Od kiedy perscy poeci zaczęli przelewać słowa na papier, dzięki literaturze możemy śledzić długą walkę naszego kraju o sprawiedliwość. Może dlatego Irańczycy znajdują taką pociechę w satyrze? Pewnego wieczoru wybrałam się na przedstawienie, które wystawił w Londynie znakomity irański satyryk Hadi Chorsandi. Dramat napisany po persku nosił tytuł *Proces siostry Szirin Ebadi*. Oglądałam go, czując w ustach słodko-gorzki smak. Siedząc na ciemnej widowni, dziękowałam Bogu, że dożyłam chwili, gdy najgorsze chwile w moim życiu przekuto w sztukę.

W sędziego-duchownego wcielił się sam Chorsandi. Siedział za biurkiem, spod galabii, którą raz za razem poprawiał z dostojną miną, wystawały mu stopy w klapkach. W pewnym momencie zadźwięczała komórka. Policjant uprzedzał, że zaraz przywiozą na rozprawę siostrę Szirin Ebadi.

Na scenę weszła kobieta, a sędzia natychmiast zasypał ją pytaniami, w większości idiotycznymi. Ilekroć próbowała mu przerwać, wrzeszczał:

– Milcz albo każę cię rozstrzelać!

Choć to miało być przesłuchanie, sędzia sam zadawał pytania i na nie odpowiadał. Kobieta coraz bardziej się niecierpliwiła.

– A zatem, czy kiedykolwiek odwiedzałaś Szirin Ebadi w domu? Co robiła? Przyrządzała koftę? Założę się, że jedną ręką wyrabiała mięso, a drugą rozmawiała z CIA!

– Hadżi Aga, nie da się wyrobić kofty jedną ręką.

– Cicho! Bo cię zastrzelę!

Po dłuższej chwili takiego przesłuchania rozległo się wezwanie muezina na modlitwę. Sędzia zerwał się zza biurka.

– Pójdę coś przekąsić i się pomodlić. Rozstrzelamy cię później.

Kiedy zszedł ze sceny, kobieta stanęła twarzą do publiczności i odebrała swoją komórkę.

– Ten osioł myśli, że jestem siostrą Szirin Ebadi i nie chce się ode mnie odczepić! Powiedzieli, że źle się poczuł, i poprosili, żebym go zbadała, ale nie dopuszcza mnie do głosu. Jak mam mu wytłumaczyć?

W tym momencie publiczność orientuje się, że kobieta jest pielęgniarką zatrudnioną przez sąd.

Kiedy wraca sędzia, kobieta nie daje mu się odezwać. Krzyczy, ledwo mężczyzna pojawia się na sali rozpraw:

– Proszę! Niech pan mnie posłucha przez sekundę! Przyszłam zmierzyć panu ciśnienie!

Na tym historyjka się kończy – satyra na irański wymiar sprawiedliwości. Chorsandi mówił, że pomysł podsunęło mu zdanie, które wypowiedziałam po aresztowaniu siostry:

– Skoro tak traktują siostrę noblistki, to co robią bezimiennemu studentowi albo dziennikarzowi bez znanego nazwiska?

Sztuka – oby! Gorąco się o to modlę – stanie się kiedyś jedynie przypisem w mojej historii. Wciąż wierzę, że nadejdzie dzień, gdy znów będę mieszkać w jednym mieście z moją siostrą i bratem; że co rano będzie mnie budził ptasi świergot, trąbienie samochodów i pokrzykiwanie złomiarza – czyli poranny śpiew Teheranu. Sad wciąż pozostaje pod opieką moich przyjaciół. Drzewa pewnie urosły o kilkadziesiąt centymetrów. Wyobrażam sobie, że pewnego dnia siądę w ich cieniu i będę kosztować owoców, wspominając, jak niegdyś z wielką miłością sadziłam je razem z Dżawadem. Straciłam więcej, niż wyobrażałam sobie w najgorszych

snach, ale i tak dziękuję Bogu, że nawet z wygnania mogę budować mój kraj. Wierzę w Iran i jego naród, wierzę w jego możliwości i wielkość. Ta myśl ani przez chwilę nie opuszczała mnie w mojej długiej, niełatwej wędrówce. Wiem, że pewnego dnia Irańczycy odnajdą drogę do zasłużonej wolności i sprawiedliwości.

Moja ukochana przyjaciółka i wielka poetka Simin Behbahani zmarła w Teheranie, gdy przebywałam na uchodźstwie. Nie mogłam przyjechać na pogrzeb, by się z nią pożegnać, ale wspominałam wspólne długie spacery u stóp gór Elburs. Do dziś pamiętam nasze rozmowy o kruchości życia i o wszystkim, co przykuwa nas do Iranu. Czy jest na świecie drugi kraj tak bardzo miłowany? Budując drugie życie, słyszę w głowie echo jej poezji.

Moja ojczyzno, odbuduję cię.
Choćby z cegieł swojego życia.
Wzniosę kolumny, na których wesprzesz dach.
Choćby z własnych kości.
Jeszcze raz poczuję kwiaty,
które tak kocha twoja młodzież.
Jeszcze raz obmyję cię z krwi
strumieniem swoich łez.

Epilog

Latem 2015 roku, kiedy właśnie kończyłam te pamiętniki, po dwóch latach intensywnych negocjacji i trwającego o wiele dłużej otwartego konfliktu, Iran podpisał z Zachodem historyczne porozumienie w kwestii programu nuklearnego. Po raz pierwszy w długiej historii burzliwych, naznaczonych nieufnością stosunków ze Stanami Zjednoczonymi, na czele obu państw stali umiarkowani politycy. Dzięki temu obie strony zdołały odrzucić brzemię przeszłości i uwzględnić obawy drugiej strony. Prezydent Barack Obama zapewnił Amerykanów, że w umowie zawartej z Iranem znalazły się zapisy, na których tak zależało społeczności międzynarodowej, a których wcześniej nie udało się wynegocjować. Wprowadza ona ograniczenie możliwości wzbogacania uranu, określa liczbę wirówek, daje Zachodowi narzędzie kontroli poprzez inspektorów, którzy będą nadzorować, czy Iran przestrzega warunków porozumienia i nie próbuje stworzyć broni jądrowej. Prezydent Hasan Rohani ze swojej strony zaś udowodnił, że zasłużył na zaufanie, którym obdarzyli go wyborcy: doprowadził do zniesienia sankcji niszczących gospodarkę kraju, a równocześnie obronił zręby pokojowego programu nuklearnego, do

którego Iran – jako sygnatariusz układu o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej – miał prawo.

W zwykłych Irańczykach, od dekady żyjących w obawie przed militarną interwencją Ameryki lub Izraela i najdotkliwiej odczuwających skutki sankcji gospodarczych, porozumienie budzi przede wszystką wielką nadzieję. Ponieważ Iran nie mógł prowadzić transakcji handlowych ani eksportować ropy, w ostatnich latach wartość riala spadała na łeb na szyję. Teraz Irańczycy niecierpliwie czekają, aż gospodarka znów stanie na nogi, a ich kraj wyrwie się z politycznej izolacji. Życzą sobie, aby wszelkie zdobyte fundusze rząd przeznaczał na obywateli żyjących w kraju, a nie na broń dla oddziałów Hezbollahu w Libanie czy wojska Baszara al-Asada w Syrii.

W ciągu kilku dni od zawarcia porozumienia Brytyjczycy otworzyli swoją ambasadę w Teheranie, a do stolicy Iranu zaczęły ściągać europejskie i amerykańskie firmy, by skorzystać z boomu gospodarczego, który powinien nastąpić z chwilą, gdy zostaną zniesione sankcje finansowe. Historia uczy, że państwa, które nawiązują kontakt ze światem, szybko zaczynają budować relacje handlowe i przyciągają zagraniczne inwestycje, co stanowi punkt wyjścia, by w przyszłości stać się pełnoprawnym członkiem społeczności międzynarodowej. To zaś z czasem może doprowadzić do zmiany postawy irańskiego rządu. Prezydent Rohani, minister spraw zagranicznych Dżawad Zarif oraz inni przedstawiciele umiarkowanego nurtu popierający nowe porozumienie nuklearne głęboko wierzą, że właśnie tak należy dbać o interes narodowy. W ich ujęciu powinien on opierać się na wzroście gospodarczym oraz stabilnych relacjach z państwami regionu i światem. Niestety, w Iranie wciąż nie brakuje twardogłowych, którzy uparcie obstają przy idei wzbogacania uranu za wszelką cenę. Oni stawiają znak równości między interesem

narodowym a ideologią. Czas pokaże, czyja wizja zwycięży, a także czy porozumienie – przez wielu okrzyknięte już historycznym – trwale zmieni i wyprostuje poplątaną trajektorię Republiki Islamskiej.

Kiedy piszę te słowa, umowa w sprawie programu nuklearnego zyskała akceptację amerykańskiego Kongresu oraz irańskiego parlamentu, a zatem dokument – na dobrą sprawę będący traktatem o kontroli zbrojeń – wkrótce zostanie ratyfikowany. To jednak wciąż nie rozwiązuje innego podstawowego problemu. Iran nadal wtrąca się w sprawy bliskowschodnich sąsiadów. Jako jedyne państwo, gdzie szyizm stanowi główny nurt religijny, chce zapewnić sobie dominującą pozycję wśród współwyznawców, troszczyć się o rozwój tego wyznania w innych państwach i zachęcać tamtejszych szyitów, by powstawali przeciwko rządzącym. Właśnie ta ambicja leży u źródeł zaangażowania Iranu w Libanie, Iraku, a ostatnio również w Jemenie. Naturalnie działania Iranu niepokoją Arabię Saudyjską, która uważa się za ostoję sunnizmu w regionie. Rywalizacja obu państw destabilizuje dziś Bliski Wschód i to się nie zmieni mimo podpisania porozumienia nuklearnego.

Najwyższy przywódca Iranu ajatollah Ali Chamenei wciąż głośno powtarza, że Republika Islamska nie ufa Stanom Zjednoczonym, a Ameryka pozostaje jej wrogiem. Dla irańskiego duchowieństwa nienawiść do Ameryki stanowi kamień węgielny, na którym zbudowano rewolucję. Ilekroć trzeba zdławić opozycję kraju, duchowni przypominają o niecnych zamiarach Amerykanów i twierdzą, że dysydenci chodzą na smyczy Waszyngtonu. Trudno wyobrazić sobie Republikę Islamską pojednaną ze Stanami Zjednoczonymi. Rewolucja bowiem stale musi mieć wroga, żeby nie odpowiadać przed obywatelami za swoje czyny. A władza w Iranie wyjątkowo nie lubi brać na siebie odpowiedzialności.

Dziś, kiedy Irańczycy świętują zamknięcie najgorszego rozdziału w ostatniej historii kraju, nie chcę wyjść na zgorzkniałego cynika. My jednak, którzy tak długo żyjemy w cieniu tej władzy, że zdążyliśmy poznać ją na wylot, nie mamy złudzeń. Brutalność i brak tolerancji Republiki Islamskiej nie znikną jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Zbyt wcześnie, by przesądzać, co porozumienie w sprawie programu jądrowego przyniesie Iranowi, Bliskiemu Wschodowi i całemu światu. Ja, podobnie jak moi rodacy, będę bacznie wypatrywać i niecierpliwie czekać, aż otworzy się droga, która – oby! – doprowadzi nas do wolności.

Od autorki

Napisałam tę książkę przede wszystkim po to, aby dać świadectwo temu, co Irańczycy musieli znosić w ostatniej dekadzie. Jej czytelnik przekona się, jak państwo policyjne wpływa na życie poszczególnych osób, niszcząc też całe rodziny. Opisałam swoją historię również dlatego, by dać czytelnikowi do myślenia. Skoro rząd w taki sposób traktuje laureatkę Pokojowej Nagrody Nobla – która może liczyć na zainteresowanie światowych mediów, a przy tym jest prawniczką i doskonale zna system prawny swojego kraju – to cóż może zrobić ze zwykłym obywatelem niemającym takiego oparcia ani wiedzy? Czuję się w obowiązku podzielić swoją historią w imieniu wszystkich bezimiennych Irańczyków, więźniów politycznych i więźniów sumienia, którzy siedzą zamknięci w celach Iranu; Iranu, czyli największego na świecie więzienia dla dziennikarzy, prawników, bojowniczek o równouprawnienie kobiet i wreszcie studentów, którzy zamiast zdobywać wiedzę, gniją w celach. Kolejne pokolenie, którego talenty i marzenia roztrwoniono. A choć naród irański żyje w piekle państwa policyjnego, nie da sobie odebrać nadziei na zmiany. Będzie się jej trzymał aż do końca.

Podziękowania

Mam dług wdzięczności u wielu osób. Zaciągnięty niedawno i nagromadzony przez lata.

Pragnę zatem podziękować mojemu wieloletniemu przyjacielowi Abdolkarimowi Lahidżiemu, od którego tak dużo się nauczyłam. A także moim córkom, Negar i Nargess, w których znalazłam oparcie w trudnym okresie po 2009 roku. Zawsze byłyście radością mego serca. Dziękuję również mojemu eksmężowi Dżawadowi za 37 lat trudów, które znosił na skutek mojej pracy. Doceniam jego wyrozumiałość i życzę mu szczęścia na nowej drodze życia. Jestem też ogromnie wdzięczna mojemu bratu Dżafarowi i siostrze Nuszin za ich lojalność i wsparcie. Szczerze żałuję, że przez moją działalność musieli znosić przesłuchania agentów bezpieczeństwa.

I jeszcze moi cudowni współpracownicy: Abodlfatah Soltani, Mohammad Seifzadeh i Narges Mohammadi, którzy pomagali mi w zakładaniu Centrum Obrony Praw Obywatelskich i którzy z tego powodu dziś siedzą w więzieniu. To wyłącznie dzięki ich wsparciu i staraniom licznych kolegów udało nam się w stosunkowo krótkim czasie poczynić tak wielkie kroki na rzecz praw człowieka w Iranie. Dziękuję także pozostałym kolegom z ośrodka. Ich ciężkiej pracy i wysiłkowi zawdzięczam, że życie na wygnaniu stało się odrobinę lżejsze. Mam nadzieję, że kiedyś spotkamy się w demokratycznym, świeckim Iranie i razem będziemy bronić prześladowanych, walczyć o poszanowanie praw człowieka.

Dziękuję laureatkom Nagrody Nobla, z którymi założyłam Inicjatywę Noblistek, a także naszemu personelowi, na którym zawsze mogłam polegać.

Azadeh Moaveni, która dzień i noc niestrudzenie zabiegała, by ta książka mogła się ukazać. Davidowi Ebershoffowi za oddanie i sumienność, z jaką czytał strona po stronie, oraz za jego cenne wskazówki. Karolinie Sutton, która służyła mi swoim wieloletnim doświadczeniem i pomagała usuwać wszelkie przeszkody.

O autorce

Dr Szirin Ebadi była jedną z pierwszych kobiet na stanowisku sędziego w Iranie. Stała się też pierwszą w historii kraju przewodniczącą Trybunału, zasiadała również w Sądzie Najwyższym, dopóki rewolucja islamska z 1979 roku nie pozbawiła jej urzędu sędziowskiego. W latach 90. Ebadi wróciła do praktykowania prawa jako obrończyni kobiet i dzieci. Zakładała ośrodki pomocy prawnej, które stały się bodźcem do reformy prawa i publicznej debaty o dyskryminacyjnych przepisach usankcjonowanych przez Republikę Islamską. Broniła najbardziej znaczących irańskich więźniów sumienia, a w 1999 roku na skutek swojej działalności spędziła miesiąc w więzieniu. Przez wiele lat angażowała się w oddolne ruchy walczące o równouprawnienie kobiet. W 2003 roku otrzymała Pokojową Nagrodę Nobla. Od zamieszek w 2009 roku po wyborach prezydenckich mieszka na wygnaniu.

Tytuł oryginału
Until we are free

Copyright © 2016 by Shirin Ebadi
All rights reserved.

Projekt okładki, wyklejek i stron tytułowych rozdziałów
Magdalena Danaj / porysunki.com

Opracowanie okładki
Adam Pietrzyk

Opieka redakcyjna
Natalia Gawron

Korekta
Irena Gubernat
Grażyna Rompel

Konsultacja merytoryczna
Jakub Szymczak

Opracowanie ilustracji
Katarzyna Leja

Copyright © for the translation by Anna Maria Nowak
© Copyright for this edition by SIW Znak Sp. z o.o., 2017

ISBN 978-83-240-4241-8

Znak Horyzont
www.znakhoryzont.pl

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl
Więcej o naszych autorach i książkach: www.wydawnictwoznak.pl
Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37
Dział sprzedaży: tel. 12 61 99 569, e-mail: czytelnicy@znak.com.pl
Wydanie I, Kraków 2017.

Plik opracował i przygotował Woblink

woblink.com